OPOWIADANIE

11 Natasza Goerke | Pani Miyoshi i wiatr · **23** Han Kang | Dziewięć opowieści · **47** Clare Wigfall | Rachunki · **67** Philip Ó Ceallaigh | Crusoe · **83** Jon Boilard | Na Green Street · **99** Philip Ó Ceallaigh | Ucieczka z Moskwy · **113** Andrzej Sosnowski | Chopin for Girls · **123** Petra Soukupová | Sajgonki · **141** Dariusz Muszer | Spowiedź Hagida · **159** Julia Fiedorczuk | Rozgwiazda · **175** Xabier Montoia | Prozy · **193** Alain Mabanckou | Kogut samotnik · **205** Ołeksij Czupa | Cisza jako choroba genetyczna · **219** Wioletta Grzegorzewska | Znikająca wyspa · **233** Petra Soukupová | Atlas świata

Nr 3, luty 2016
ISSN: 2299-4874

WYDAWNICTWO IGLOO

OPOWIADANIE

OPOWIADANIE

Nr 3, luty 2016

Międzynarodowy Festiwal Opowiadania
Towarzystwo Aktywnej Komunikacji | Wrocław 2016

spis treści

7–8 Przedmowa
9–10 W pokojach

11–22 **Pani Miyoshi i wiatr** | Natasza Goerke
23–46 **Dziewięć opowieści** | Han Kang
47–66 **Rachunki** | Clare Wigfall
67–82 **Crusoe** | Philip Ó Ceallaigh
83–98 **Na Green Street** | Jon Boilard
99–112 **Ucieczka z Moskwy** | Philip Ó Ceallaigh
113–122 **Chopin for Girls** | Andrzej Sosnowski
123–140 **Sajgonki** | Petra Soukupová
141–158 **Spowiedź Hagida** | Dariusz Muszer
159–174 **Rozgwiazda** | Julia Fiedorczuk
175–192 **Prozy** | Xabier Montoia
193–204 **Kogut samotnik** | Alain Mabanckou
205–218 **Cisza jako…** | Ołeksij Czupa
219–232 **Znikająca wyspa** | Wioletta Grzegorzewska
233–249 **Atlas świata** | Petra Soukupová

Przedmowa

Gdy piszę te słowa, trwa ostatnie spotkanie Kopublikacji – pięciomiesięcznego projektu, w którym kilkudziesięciu polskich projektantów i ilustratorów pracowało nad jedną książką. Każdy z 15 zespołów, złożonych z przedstawicieli 3 grup – projektanta szaty graficznej, ilustratora i literatnika, pracował z wybranym opowiadaniem. Nad prawidłowym przebiegiem akcji czuwali opiekunowie grup, kolejno: Zofia Oslislo, Paweł Mildner oraz inicjatorzy całego przedsięwzięcia: Maciej Kodzis i Grzegorz Owczarek (Pillcrow). Grupy spotykały się w różnych konfiguracjach, nigdy wszystkie razem. Ich główny cel to opracowanie antologii tekstów podsumowujących 11. edycję Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania. Ale zapewniliśmy im, mam nadzieję, wiele dodatkowych atrakcji. W projekcie wzięło udział ponadto 10 tutorów – specjaliści od layoutu: Tomasz Bierkowski (touché!), Paweł Krzywda i Agata Korzeńska (Idee studio), Marian Misiak, Dariusz Bieniek, od ilustracji: Sławek Czajkowski/Zbiok, Ola Niepsuj, Wojtek Kołacz/Otecki oraz literatnictwa: Ewa Landowska, Łukasz Dziedzic i Viktoriya Grabowska. Ich zadaniem było inspirować uczestników do poszukiwań indywidualnego języka wypowiedzi. I to uczestnikom dziś należą się największe brawa. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilkanaście dni oddamy czytelnikom publikację będącą efektem współpracy ponad setki osób. Ogromna energia, bo wszyscy tu pracują na jeden cel.

Na tej ostatniej prostej pracę organizuje Zofia, wszystko przebiega w gorączkowej, ale bardzo dobrej atmosferze. Warsztaty z projektowania przechodzą w pracę na ostrym dedlajnie. Przez chwilę nie działa sieć. Opiekunowie grup robią ostatnie korekty i motywują do pracy. Do ekipy powrócił Dariusz Bieniek i nadzoruje tu DTP. Trwają ostatnie ustalenia ze zleceniodawcą; Marcin Hamkało, dyrektor festiwalu, właśnie zaakceptował projekt okładki. Wszyscy teraz szlifują element, za który są odpowiedzialni. Redaktorka tomu, Agnieszka Wolny-Hamkało dopieszcza przedmowę. Rusza korekta. Pracujemy na żywo. Jutro wielki dzień – wszystkie elementy złożą się w całość i zostanie przedstawiona nam pierwsza wersja projektu. Za cztery dni idziemy do druku.

Ponieważ tych wszystkich rzeczy nie można nauczyć się „na sucho”, mamy w głowie kolejną edycję. Tymczasem pełna koncentracja nad realizacją bieżącego zadania. Mamy nadzieję, że efekt rzeczowy naszych działań obroni się sam z siebie.

tekst:
Katarzyna Roj
Galeria Dizajn BWA Wrocław

W pokojach

Antologia jest jak kamienica z wieloma oknami. Powinna tworzyć spójną całość, mieć jakiś architektoniczny projekt, wspólny fundament – ale pokazywać różne pokoje, zapraszać czytelników do środka. Oto jak pomysłowo pisarze umeblowali swoje mniej lub bardziej kameralne światy, używali różnych narzędzi, jedni byli czuli, inni chłodni i precyzyjni. Nasza kamienica jest nie tylko czynszowa, zdaje się, że jest też czymś w rodzaju emigranckiego hoteliku z „Łuku Triumfalnego" Remarque'a. W Paryżu tuż przed wybuchem II wojny światowej w dyskretnym hotelu pomieszkiwali uciekinierzy i wygnańcy mówiący różnymi językami. My też pokazujemy teksty pochodzące z różnych krajów, mówiące wieloma językami, a więc zakorzenione w różnych kulturach. Ale to nie wszystko. Bo dlaczego by nie pójść dalej za tą metaforą? (Metafory są niebezpieczne – pisał Milan Kundera – miłość może się zacząć od jednej metafory). Bo przecież każdy pokój powinien mieć inny wystrój, idealnie dopasowany do mieszkańca. Dlatego do współpracy zaprosiliśmy galerię Dizajn. Antologia jest efektem zderzenia języków współczesnej prozy i grafiki, typografii i projektowania. Tekst zmienia się w zależności od tego, jak wygląda – rozbicie, światło, nawet kolor czcionki – wszystko to ma znaczenie i wpływ na odbiór historii. A historie są różne, łączy je jednak forma opowiadania, czyli fakt, że sprzedano je na krótkim dystansie. Literacka miniatura jest najtrudniejsza. W wierszu zdania są nagie i jakby bliższe skórze, ale mogą być całkiem abstrakcyjne. W powieści można zgubić się i odnaleźć, można przekłamać kompozycję, zburzyć proporcje i to ukryć. W opowiadaniu wszystko jest na zewnątrz. To połączenie precyzji wiersza i epickiego świata, jaki buduje powieść. Mówi się, że to najtrudniejsza formuła. Na szczęście ma swoich wielbicieli. Jest w czytaniu antologii coś melancholijnego, co czujemy, kiedy nocą stoimy na dworze i patrzymy na oświetloną kamienicę, w której po kolei gasną pokoje. Oto światy specjalnie dla nas wymyślone tak szybko się kończą, na naszych oczach jedne przechodzą w inne, jakbyśmy oglądali serię krótkich romansów. Z drugiej strony jest w tym czar próżnego, sierpniowego popołudnia, kiedy z suto zastawionego stołu bierzemy co chcemy. Nadgryzamy owoc i odrzucamy, sięgamy

po coś innego, co zasmakuje nam bardziej. A posiłek dostajemy przyzwoity, bo w antologii znajdą państwo tak różne rzeczy, jak ironiczno-sentymentalny, dwuznaczny w tonie „Chopin for girls" Andrzeja Sosnowskiego, baśniowo-totemiczny „Kogut samotnik" Alaina Mabanckou, czy do szpiku anglosaski, flirtujący z łotrzykowskimi powieściami tekst „Na Green Street" Jona Boilarda. Znajdą tu państwo teksty z Polski, Korei, Irlandii, Francji, Czech, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Ukrainy, Stanów Zjednoczonych. Różne głosy, bohaterki i bohaterów: świat widziany oczami dziecka i starca. Uliczny ton i poetykę baśni, lekkość pełną kolokwializmów i rozbujany liryzm. Oto różne literackie konstytucje i różne pomysły na życie. Są światła w oknach kamienicy. Nikt nie śpi, można wejść.

Agnieszka Wolny-Hamkało

Pani Miyoshi i wiatr
Natasza Goerke

Ilustracje:
Agnieszka Sierzputowska

Liternictwo:
Michał Sosiński

Projekt graficzny i skład:
Ola Wasilewska

Zapowiadany od tygodnia Yagi nie przeszedł jednak bokiem i w południe dotarł do granic miasta. Niebo niepostrzeżenie przybrało barwę ziemi, ulice opustoszały, jedna po drugiej gasły sklepowe witryny, szklane tafle biurowców i latarnie. Egzaltowany falset z głośnika, nakazując spokój, po raz kolejny nawoływał do niezwłocznego opuszczenia budynku i pani Miyoshi, popijając małymi łykami zieloną herbatę, podeszła do okna. Neon w kształcie pandy na czubku przeciwległego wieżowca kołysał się niczym uczepiona bambusowej tyczki trójwymiarowa pocztówka. Jego kontury stopniowo pochłaniała mgła. Spadł deszcz. Wielkie krople w rytmie *moktaka* uderzały w przylepiony do szyby nos pani Miyoshi – najpierw rzadko, nieregularnie, potem coraz szybciej i miarowiej, coraz gęściej. Wiatr przybierał na sile, zagłuszając swym hukiem wycie karetek i syren. Światła ostatnich samochodów chwiejnym, podwodnym blaskiem torowały sobie drogę w postępującym bezkształcie, a wskazówki zegara na wieży Hattori bezładnie krążyły po tarczy, nie odmierzając czasu. Czas mijał, nie mijając.

Jarzeniówki w mieszkaniu na dziewięćdziesiątym ósmym piętrze gwałtownie zamigotały i skwiercząc, jak ginąca w płomieniu świecy ćma, ostatecznie zgasły. W ciemności pokoju zieleniał teraz jedynie prostokąt awaryjnych lampek wokół drzwi, i pani Miyoshi, zaciskając palce na filiżance, po raz pierwszy w życiu ze zdumieniem odkryła, że nic nie musi. Nieznana dotąd, wyzwolona z okowów lęku radość wypełniła jej serce, a pragnienie życia, które zazwyczaj rośnie w obliczu śmierci, ustąpiło miejsca poczuciu bezgranicznej

ulgi. Krzesło drżało wraz z całą podłogą, ustawione w progu buty przesuwały się w stronę okna. Zadzwonił telefon, wypełniając na chwilę pokój pierwszymi tonami *Forbidden Colours*, ale umilkł, zanim pani Miyoshi – po omacku grzebiąc w zawieszonej na krześle torbie – zdążyła go znaleźć. Z kuchni dobiegł dźwięk tłuczonego szkła, szuflady wysunęły się z biurka, a bambusowy wieszak, pchnięty następnym, jeszcze silniejszym szarpnięciem wiatru, upadł, wytrąciwszy jej z dłoni filiżankę. Klimatyzacja nie działała i powietrze w pokoju stawało się duszne.

Trzymając się ściany, pani Miyoshi chwiejnym krokiem podeszła do regału i wygrzebała schowany za książkami wachlarz. Opięty na smukłych, drewnianych płytkach jedwab był wilgotny, roztaczał delikatny, ledwie wyczuwalny zapach przejrzałej mandarynki i smutku. Wzory, które go pokrywały, kształtem sw y m przypominały nieco płatki śniegu, niewidoczne w ciemności, ale wyczuwalne pod palcami. Wachlarz był pamiątką rodzinną, którą od czasów Meiji kolejne matki w milczeniu przekazywały swym najstarszym córkom. Spowijała go mroczna tajemnica. Szeptano, że należał do jednej z niedoszłych konkubin prapradziadka – do przepięknej Sachi, która odrzuciła jego względy, zakochawszy się w rybaku. Siłą doprowadzona do łoża, Sachi związała sobie kolana i w chwili, gdy niechciany kochanek stanął w progu, ostrym *tanto* przejechała po szyi i popełniła *jigai*. Szeptano, że krew, która wsiąkła w jedwab jej wachlarza, nigdy nie wysycha, i że potrafi ożywiać martwe dusze kobiet.

Pani Miyoshi poczuła w piersi ukłucie, a do oczu napłynęły jej łzy. Szczelnie zamknięte, rozsądkiem obwarowane serce łomotało w uszach i bijąc na alarm, desperacko broniło się przed demonem tęsknoty. Za późno jednak – stary jak świat Akashita, przybrawszy postać chmury, przeniknął już jej duszę i pani Miyoshi osunęła się na podłogę. Przed oczami przemykały jej dziesiątki obrazów, klatki zapomnianego filmu, migawki z dzieciństwa. Tęsknoty pierwsze i zarazem ostatnie. Przypomniała sobie, że tęskniła kiedyś za matką, która o poranku zostawiała ją w progu przedszkola i odbierała, kiedy słońce już zgasło. Że tęskniła za cieniem ojca, pochylającym się nad nią w nocy, kiedy udawała, że śpi. Że tęskniła za deszczem, by rozłożyć wreszcie różowy parasol. Wszystko to, duże i małe, powróciło nagle z ogromną siłą i odżyło, jakby zdarzyło się wczoraj.

Pani Miyoshi wiedziała jednak: władca tęsknoty, stary Akashita, podobnie jak inne zjawy, jest wytworem umysłu i poddają mu się tylko ludzie słabi. Nie wierzyła w demony i duchy, w groźne *yōkai*, *obake* czy *yūrei*, w wielkobrzuche *gaki* o szyjach dzieci. Nie wierzyła w Nobake-babę przybierającego postać wiatru, w niebieskiego Aotabo, który nigdy nie był młody, w Aondona, białego ducha miłości zaklętego w papierową latarnię, w Ashiaraiyashiki z wiecznie brudnymi nogami, w Yakubyō-gami, który sprowadza nieszczęścia i kataklizmy. Nie wierzyła nawet w żywiące się ludzkimi myślami *omoi*, demony z wulkanu Fuji, które giną w mękach, napotkawszy człowieka niemyślącego o niczym, ani w Ame-onna, ducha smutnej kobiety, która

przybrawszy postać deszczu, skłania mężczyzn do samobójstwa. Nie wierzyła w nic. Wszelkie przesądy i zabobony napawały panią Miyoshi zażenowaniem równym temu, jaki budziły w niej wróżby w świątyni Sensō-ji czy parodia mądrości zapieczona we wnętrzu chińskiego ciasteczka.

Otarłszy łzy, ze wstydem pozbierała się z podłogi. Jej oczy powoli oswajały ciemność. Ciemność była teraz szarością, w której majaczyła rzeczywistość: kontur biurka, krzesło, drzwi łazienki, wielki kwadrat okna. Deszcz falami zalewał szybę. Panda nikła, już tylko czasami wyłaniając się z mgły – raz w lewym rogu okna, raz w prawym. Jej coraz bardziej wahadłowy ruch bezna mię tn ie odmierzał siłę wiatru.

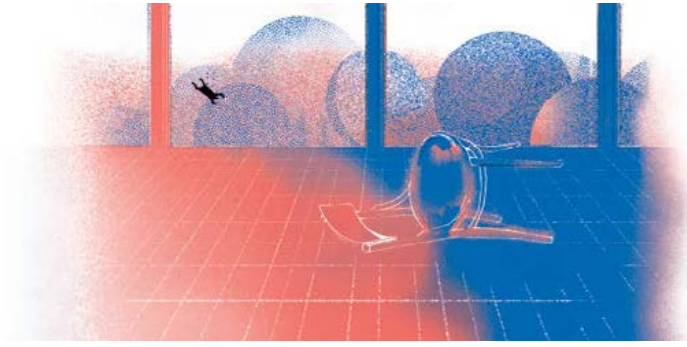

Pani Miyoshi odłożyła wachlarz i przytknęła czoło do szyby; nie tęskniła za niczym. Wiedziała przecież – za chwilę Yagi i tak zmiecie wszystko: regał z książkami w trzech językach, komputer, biurko, zapisane maczkiem notesy z logo University of Tokyo, wąskie łóżko,

trzy pary butów, suszarkę do włosów, sukienki na bambusowym wieszaku, szkatułkę z laki, wachlarz z plamami płatków śniegu. Yagi pochłonie to wszystko, czego nie ogarniała, a co od pięćdziesiątego roku ery Shōwa, czyli od czterdziestu niemal lat, składało się na jej istnienie.

Z megafonów na dachach samochodów dobiegały szczątki nawoływań. Głos tonął w strumieniach deszczu. Katastrofa była nieunikniona, ale pani Miyoshi się nie bała.

Wiedziała: grozę można oswoić. Podawana w regularnych dawkach groza przestaje działać na zmysły, powszednieje, tak jak powszednieje każdy z niezliczonych smaków tofu, które tak zachwycają gości zza oceanów. Widmo katastrofy wpisane było w jej dzieciństwo, w jej młodość, w każdą bez mała chwilę. Miarowo i monotonnie, siłą nawyku, który koszmar odziera z grozy, widmo katastrofy od zarania wyznaczało rytm jej życia. Przerywane w połowie lekcje, próbne alarmy i symulacje ewakuacji równie były naturalne jak wizyty u dentysty czy w zoo, a miłość – podobnie

zresztą jak przyjaźń – w obliczu nieuniknionego nigdy nie zdołała rozkwitnąć. Katastrofa była jedynie kwestią czasu, i na tę właśnie chwilę przygotowywano ją od samego początku, od dnia, w którym po raz pierwszy ujrzała świat.

Pani Miyoshi świat ujrzała nocą, kiedy księżyc jaśniał w swej pełni nad dachami Yokohamy. Po trosze na cześć księżycowej poświaty, po trosze na cześć niewinności nadano jej imię Tsukiko – *Tsuki* i *ko*, srebrzyste światło i dziecko. Była bystrą dziewczynką. Pierwsze *kanji* namalowała już w przedszkolu, czytać też uczyła się szybko, a ikebany, które układała z papierowych gałęzi i kwiatów, pochwalił kiedyś nawet ojciec. Ojciec był dygnitarzem rządowym, a jego pracę skrywała tajemnica tak wielka, że nawet matka nie wiedziała, co on robi. Z domu zawsze wychodził pierwszy, a wracał, kiedy wszyscy już spali, więc mała Tsukiko widywała go tak rzadko, że kiedy umarł na serce nie dożywszy jesieni życia, nie poczuła smutku. Sama zresztą też, w miarę dorastania, coraz więcej czasu spędzała poza domem – dojazd do szkoły w Tokio, a potem mnożące się zajęcia dodatkowe – lekcje angielskiego, sport, prowadzenie gospodarstwa. Uczyła się dobrze, aż za dobrze. Wyróżniała się na tle klasy, co nie przysparzało jej sympatii i nieraz znajdowała w butach podłożone igły. Chowała się wtedy w toalecie i płakała. Przyjaciół nie miała. Na przyjaźń tak czy tak już wtedy nie starczało czasu. Słowo „przyjaźń" brzmiało abstrakcyjnie, było nie tyle słowem, co obcobrzmiącym słówkiem, jednym z tych, które wkuwała po angielsku, przeczuwając jedynie ich znaczenie. Wolność, tęsknota,

Kochanowskiego. Płakała, wczytując się w „Treny", a kilka sonetów Sępa-Szarzyńskiego z niespotykaną u kobiet pasją przełożyła na język japoński.

Wszystko to było dawno temu, tak dawno, że pani Miyoshi, wspominając Tsukiko, z niedowierzaniem kręciła głową. Tsukiko umarła. Tsukiko wyrosła ze swego imienia, tak jak gdzie indziej dzieci wyrastają z butów. Odkąd napisała doktorat i podjęła pracę na uniwersytecie, została panią Miyoshi, a własne imię z czasem tak stało się dla niej obce, że słysząc je nieraz na ulicy, nawet odruchowo nie odwracała głowy. Od śmierci matki imieniem tym nazywała ją już właściwie tylko siostra, no i czasami mąż siostry, pan Atagi Kenichi. Pan Atagi Kenichi był inżynierem, pracował w firmie Yonex i jako specjalista od sprzętu do badmintona zjeździł pół świata. A i do niego przyjeżdżali ze świata goście, więc kiedy pan Atagi pił z gośćmi sake, pozwalał mówić do siebie po imieniu. Ba, stawał się wtedy nie tylko Kenichim – dumny jak góra Fuji Atagi Kenichi-san przy gościach przeistaczał się nagle w jowialnego, tryskającego życiem Kena. A pani Miyoshi stawała się wtedy, na kilka wieczornych godzin, powabną jak księżycowe światło, dziewczęcą Tsukiko.

Od ulicy dobiegł łomot wdzierającej się w labirynty miasta fali, a chwilę potem przeciwległy wieżowiec runął we własną otchłań. Stojąca przy oknie pani Miyoshi poprawiła grzywkę. Kuchenna szafka pękła, po podłodze potoczyły się butelki. Regał z książkami odpadł wraz ze ścianą i przygniótł wachlarz. Wiatr wdarł się do pokoju i pani Miyoshi, czując suchość w ustach, chciała sięgnąć po wodę. Ale wiatr był szybszy.

...

Dwudziesty szósty rok ery Heisei dobiegł końca. Wysoko nad miastem krążyły helikoptery. Pod gruzami zadzwonił telefon i ciszę wypełniły na chwilę pierwsze tony *Forbidden Colours*. Z czarnych chmur wyłonił się księżyc.

Dziewięć opowieści

Han Kang

Przełożyła:

Justyna Najbar-Miller

Ilustracje:

Aleksandra Grzegorek

Liternictwo:

Damian Langosz

Projekt graficzny i skład:

Anna Kaleta

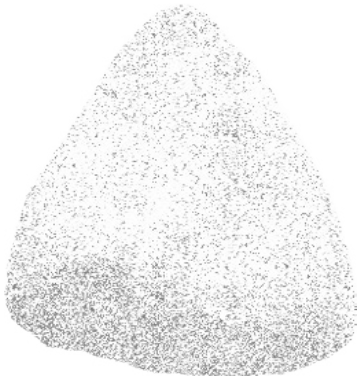

1. Pierwsza miłość

Tamtego ranka dziewczynka po raz kolejny wraca z wyspy rowerem, uczepiona pleców chłopca. Żelazny bagażnik nie jest niczym przykryty. Twarde siedzenie wrzyna się w jej kościste pośladki za każdym razem, gdy rower podskakuje na drodze.

– Boli?

– Uhm.

– Bardzo?

– Nie.

– Jak cię bardzo boli, to mów!

– Tylko trochę.

Wjeżdżają na drogę biegnącą wzdłuż brzegu morza. Rower trochę się trzęsie. Wracają z wyspy już trzeci dzień z rzędu. Dziewczynka uczy się tam jeździć na rowerze. Wyspę łączy z lądem wąski dwustumetrowy most, więc rzadko spotyka się tam duże samochody. Najwyżej motory albo ciągniki. Wcześniej ćwiczyli jazdę na rowerze właśnie na tej nadmorskiej drodze, którą można objechać całą zatokę, i nawet nieźle jej szło, ale traciła równowagę za każdym razem, gdy w polu widzenia pojawiał się jakiś większy pojazd.

Tego dnia na wyspie udało jej się bez niczyjej pomocy przejechać aż kilkaset metrów i chociaż kierownica bardzo się trzęsła, dziewczynka pedałowała zawzięcie od początku do końca. Zdyszany chłopiec biegł za rowerem, dopingując ją.

– Świetnie!

– Świetnie!

– Naprawdę świetnie ci idzie!

Chciała zerknąć do tyłu, bo jego krzyk stawał się coraz słabiej słyszalny, ale bała się, że się wywróci, więc pędziła dalej, patrząc prosto przed siebie. Kiedy po pewnym czasie spojrzała w tył, był już daleko za nią: biegł polną ścieżką, z trudem łapiąc oddech, maleńki jak palec.

Zjeżdżają z szosy na lewo i wjeżdżają na polną drogę biegnącą wzdłuż rowu na granicy z polami ryżowymi. Z nieba leje się żar. W powietrzu

unoszą się suche ziarenka piasku. Zaraz za rowerem na polną ścieżkę wjeżdża ciężarówka, głośno trąbiąc klaksonem. Pojazd jest bardzo duży, zajmuje całą szerokość drogi.

– Trzeba ustąpić miejsca.

Ciężarówka siedzi im na ogonie. Droga jest wyboista. Nie mają jak się zatrzymać. Na krawędzi drogi znajduje się głęboki rów.

– Trzymaj się mocno.

– Uważaj.

– Nie bój się.

Chłopiec pedałuje uparcie, mocno ściskając kierownicę. Zjeżdża prawie na samą krawędź drogi. Stara się zachować minimalny odstęp, żeby tylko nie wpaść do rowu. Ciężarówka wyprzedza ich z dużo większą prędkością, chociaż nie aż tak znowu szybko.

Samochód znika w oddali, a chłopiec oddycha z ulgą. Przyśpiesza i wjeżdża na sam środek drogi. Nie wie, że kiedy starał się ustąpić miejsca ciężarówce, stopa dziewczynki zahaczyła o pnącze ciernistego krzewu rosnącego przy drodze, a kolce, wrzynając się głęboko w grzbiet stopy, zostawiły na niej trzy ukośne linie. Nie wie, że jej stopa krwawi, a dziewczynka mocno zagryza usta, starając się wytrzymać ból.

Chwilę potem prosi, żeby zrobił przerwę. Chłopiec zatrzymuje rower. Zauważa ranę na nodze i broczącą z niej krew. Dziewczynka z trudem zsiada z bagażnika i uśmiecha się.

– To nic takiego.

– Co ci się stało?! – chłopiec wpada w złość.

Wcale nie na nią. Jest wściekły na siebie – dosłownie kipi z gniewu. Wygląda, jak gdyby miał zaraz wybuchnąć płaczem.

– Wszystko gra. To nie twoja wina.

– No niech to, psiakrew! – chłopiec bije się w pierś – Tak mi głupio! I co teraz? Co teraz?

– Jak wrócę do domu, posmaruję maścią i tyle.

Chociaż dziewczynka udaje, że nic się nie stało, w rzeczywistości czuje potworny ból. W jej oczach zbierają się łzy, a na stopie czerwone krople krwi.

Kilka dni później skończyły się wakacje, wyjechała więc z tamtej nadmorskiej wioski i wróciła do miasta. Po zaliczeniu pierwszego semestru przeprowadziła się natomiast do jeszcze większego miasta. I już nigdy więcej nie udało jej się spotkać tamtego chłopca.

Pewnego zimowego wieczoru, w dniu swych trzydziestych urodzin, myje stopy w umywalce i niespodziewanie zastyga. Rana dawno się zagoiła i nie pozostał po niej ślad. Grzbiet zimnej stopy przeszywa jednak to samo światło słońca, które paliło tamtego dnia, gdy kolce wrzynały się w jej skórę tak głęboko, że zagryzała wargi z bólu; to samo światło, pod którego wpływem morski piasek, zmieszany piaskiem z pól ryżowych i polnych dróg, unosił się w górę i pylił tak bardzo, że piekły ją oczy.

2. Wiatr

Było jeszcze ciemno, gdy odeszła.

Ostrożnie zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku i obejrzała się do tyłu. Miała wrażenie, że mrok chłodnego korytarza zatapia w niej wyzywające spojrzenie. Zmieniała się pora roku. Kobieta zdjęła płaszcz. Wydobyła z torby sweter i naciągnęła go na bluzkę, a potem znów otuliła się płaszczem.

Pozostali lokatorzy pogrążeni byli we śnie. Ze szczelin w drzwiach nie sączyły się jeszcze smugi światła. Tylko w końcu korytarza w pobliżu schodów ewakuacyjnych migotała mgliście naga żarówka o niewielkiej mocy. Kobieta skierowała kroki w stronę rzucanego przez nią światła. Pewnie na zewnątrz jest jeszcze zimniej, pomyślała. Odeszła, zostawiając za sobą ciepłą kołdrę i wystygłą herbatę, książki pełne podkreśleń, niespokojne noce i odbicie wpatrujące się w nią z zaparowanego lustra.

Gdy tylko znalazła się na zewnątrz starego budynku, zatrzymała się jakby zaskoczona. To wiatr ją zaskoczył. Wybrałam niewłaściwą porę roku, zamruczała do siebie pod nosem. Ruszyła pośpiesznie poboczem ciemnej drogi. Z każdym krokiem przeżywała rozterki. Za każdym razem, gdy stąpała po ziemi, starała się zdeptać swoje obawy i wątpliwości.

W żadnym oknie nie paliło się jeszcze światło. Chwilę wcześniej umyła włosy – potargane unosiły się teraz w powietrzu niczym rybia płetwa. Mijały ją samochody pędzące po opustoszałej jezdni. Z każdym oddechem – ustami, nosem, gardłem – wchłaniała w siebie mrok. Kroczyła naprzód. Biała para z ust rozpryskiwała się w powietrzu niczym sztuczne ognie. W ich kłębowisku znikała powoli jej twarz. Starym szalikiem targał wiatr. W podmuchu wiatru znikał jej płaszcz, wychudzone ciało. Stopniowo rozpadała się na kawałki.

Od tamtej pory zaginął po niej ślad.

3. Zielone góry

Czasami nawiedzał ją pewien sen. Śniła, że błąka się u podnóża góry zabudowanego gęsto domkami o blaszanych dachach. Celem jej wędrówki był zielony szczyt. Ginął wśród sinoszarych chmur, wysoki i urwisty. To, że góra była wysoka i urwista, wcale jej jednak nie martwiło. Problem polegał na tym, że nie potrafiła znaleźć drogi na szczyt.

Jej pole widzenia było nieostre, jak gdyby nie miała okularów. Wydawać by się mogło, że wystarczy kierować się w górę, ale pełna ślepych uliczek okolica miała strukturę labiryntu. Wokół było bardzo cicho. Chciało jej się pić. Między ogrodzeniami przemknął staruszek ze stadem krów i mali chłopcy w brudnych ubraniach. Ogrodzenia domów nie miały bram. Jest tam kto? Kiedy pukała w mur, nawołując, odpowiadał jej własny, ochrypły głos.

Zielony szczyt góry zmoczył deszcz. Sinoszare chmury rozpadały się stopniowo na błyszczące krople deszczu. Stała w jakimś zaułku i spoglądała w górę, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Gdybym tak potrafiła latać..! Stała tak przez jakiś czas i czuła palące pragnienie, a potem budziła się ze snu.

Widywała góry nie tylko we śnie, czasami przyglądała się im na jawie. Seul to miasto otoczone górami – można tam z łatwością napotkać pasma góry Pukhansan czy Kwanaksan, które wznoszą się wysoko do nieba, górując nad okolicą. Zielone góry, których wierzchołki toną w chmurach i we mgle. Bywało nieraz, że przerywała pracę i stojąc w miejscu jak zaczarowana, wpatrywała się w ich ciemnozielone zbocza i głęboki cień, którym kładły się w dolinie.

4. Światło księżyca

Wybudziła się ze snu, bo miała wrażenie, że jakaś zimna dłoń dotknęła jej czoła. To światło księżyca zalało las za oknem i pogrzebało jego cień, a potem zabarwiło na niebiesko wezgłowie ich łóżka. Pogrążony we śnie mężczyzna poruszył się niespokojnie, a potem wyciągnął ramię w jej kierunku. Jego ręka bezwładnie opadła na pustą część łóżka – kobieta usiadła wcześniej na samej krawędzi. Jasne światło księżyca oświetliło jego rzęsy, usta otwarte jak u małego dziecka.

Kobieta zgięła się wpół. Nie chcąc, żeby we śnie poczuł się samotny, przytuliła twarz do zewnętrznej krawędzi jego dłoni.

5. Ramiona

Ktoś zapytał mnie kiedyś, która część ludzkiego ciała najlepiej wyraża ludzkie emocje. Odpowiedziałam wtedy, że są to ramiona. Przecież wystarczy na nie spojrzeć, żeby uświadomić sobie, że ktoś czuje się samotny. Ramiona twardnieją pod wpływem napięcia, kurczymy je pod wpływem strachu i rozpościeramy szeroko, kiedy jesteśmy pewni siebie.

Zanim cię spotkałam, zdarzało mi się, że w okolicy pomiędzy karkiem a ramionami czułam rozdzierający ból. Starałam się wówczas rozmasować bolące miejsce i myślałam: gdyby tak moja dłoń zmieniła się w światło słońca! Albo delikatny majowy wiatr!

To było wtedy, gdy po raz pierwszy szliśmy chodnikiem, tuż obok siebie. Uliczka nagle się zwęziła i zmniejszył się dystans pomiędzy nami. Czy pamiętasz? To właśnie wtedy zetknęły się nasze ramiona. I zastukały nasze samotne kości, wydając odgłos przypominający dźwięk buddyjskiego dzwonka z brązu. Dobiegający z dala dźwięk wietrznego dzwonka z sercem w kształcie ryby.

6. Wolność

O świcie przyśnił się jej sen, w którym kroczyła nieznaną ścieżką pośród nocy. Nagie drzewa rozpościerały tysiące białych ramion, a ponad nimi migotały gwiazdy przypominające odłamki porcelany. Ścieżka, początkowo wąska, stawała się coraz szersza, im dłużej nią podążała. Kobieta podniosła głowę i rozejrzała się dookoła, ale wokół nie było żywej duszy.

Nie starała się odnaleźć mężczyzny. Nie starała się też go do siebie przywołać. To samotna, osobista wędrówka. Przy jej boku nie było mężczyzny i nigdy go nie będzie. Fakt tak oczywisty, że trudno wykrzesać choćby krztę tęsknoty. Szeroko rozpostarła ramiona, chcąc się raczej upewnić, że nikt jej nie towarzyszy. Czuła się poruszona przepastnością nocy. W uszach dźwięczał jej odgłos wody, która płynęła pod powierzchnią ziemi w stronę wyschniętych korzeni drzew.

Kiedy okno rozjaśnił bladoniebieski brzask, otworzyła oczy. Zobaczywszy śpiącego tuż obok mężczyznę, poczuła się zakłopotana i to nie z powodu orzeźwienia, jakie przyniósł ze sobą ten sen, lecz raczej wolności, której posmakowała, podążając tamtą zimową ścieżką skąpaną w świetle gwiazd.

7. Głos

Mężczyzna słyszał kiedyś, że po śmierci człowiek zachowuje słuch najdłużej ze wszystkich zmysłów. Ucho wychwytuje dźwięki tego świata do ostatniej chwili, kiedy człowiek nie jest już w stanie niczego zobaczyć, kiedy nie czuje już żadnych zapachów ani żadnego bólu. Podobnie jak w okresie płodowym, kiedy niczego nie widzimy, ale słyszymy już różne dźwięki.

Mężczyzna związał się z kobietą, której głos był o wiele piękniejszy niż jej twarz. Zwykł zasypiać, wsłuchując się w jej szept rozlegający się w mroku sypialni. Także w ciągu dnia przerywał wykonywaną pracę i przymykał oczy, kiedy cichutko nuciła jakąś piosenkę.

Kiedy jej wyznał, że jej głos przywodzi mu na myśl ołówek i że go uwielbia, wybuchnęła śmiechem delikatnym jak źdźbło trawy.

– Co ty powiesz?

Nie tłumaczył już potem, że chodzi mu o odgłos ołówka, który skrzypi na kartce papieru w samym środku nocy.

Martwiło go tylko jedno: że głos kobiety zniknie z tego świata szybciej niż on sam.

8. Zachodnia strona lasu

Kobieta i mężczyzna wynajmowali mieszkanie w dwupoziomowym budynku, który znajdował się w górach, blisko lasu. W letnie noce z dala dobiegało ich kukanie kukułek, a wiosną na strumień płynący w dolinie spadały płatki dzikich wiśni i płynęły z nurtem. Często wybierali się na spacer po lesie, kiedy nadchodził wieczór. Na zachodzie las rozrastał się wyjątkowo bujnie, a podświetlone światłem wieczornego słońca blaszki liści wywijały się na wszystkie strony.

Pewnego ranka wczesną jesienią, kiedy się wyprowadzali, podeszła do niej sąsiadka – blada kobieta w średnim wieku. Znała ją z widzenia, ale nigdy nie zamieniły ze sobą ani słowa. Sąsiadka wsypała w jej dłonie garść zielonych owoców głożyny.

– Gdzieś wyjeżdżacie?

– Przeprowadzamy się do miasta.

– To bardzo daleko.

– Nie aż tak znowu daleko – uśmiechnęła się do sąsiadki. A tamta, jakby zawstydzona, wytarła dłonie w spódnicę i odeszła. Z jej kieszeni, wypełnionej po brzegi owocami głożyny, uniósł się przyjemny aromat.

Zaraz po tym, jak się przeprowadzili, nadeszła prawdziwa złota jesień. Pewnego wieczoru założyli klapki i wyszli na oszkloną werandę po zachodniej stronie mieszkania. Za oknami widać było zachodzące słońce. Hen daleko szyby wieżowców odbijały czerwone światło. W pobliżu przechodzili ludzie i kursowały samochody. Słychać było natarczywy dźwięk syreny.

Otworzyli okna na oścież. Tuż obok na półce leżały zasuszone owoce głożyny, wybrali więc po jednym i włożyli je sobie do ust. W milczeniu kontemplowali ich słodkawy smak.

9. Czas

Idzie, trzymając go za rękę. Kolejny raz okrążają górę w drodze na szczyt, tymczasem na świecie robi się coraz ciemniej, a w dali, tu i ówdzie, zapalają się światła.

– Czy wiesz, dokąd idziemy? – pyta.

– Szedłem za tobą – odpowiada mężczyzna głosem dudniącym jak ze studni. Jego szczupła dłoń jest mokra od potu, a w oczach, za szkłami okularów, zbierają się łzy.

– A ja myślałam, że to ty znasz drogę.

Na jego twarzy rysowało się wcześniej zaskoczenie – teraz wydaje się raczej osamotniony niczym chore dziecko.

– Przytul mnie.

Kiedy przytula ją do siebie, kobieta zyskuje pewność. Ten niewysoki, drobny mężczyzna jest jednym z kilku miliardów ludzi i mógł się nigdy nie narodzić, albo też nigdy jej nie spotkać, ale to właśnie w jego ramionach odnajduje ciepło, którego poszukiwała przez całe życie.

– Wracajmy – proponuje mężczyzna, rozluźniając uścisk.

– Nie znamy przecież drogi powrotnej? – pyta kobieta.

– To prawda.

– Nie możemy więc zawrócić.

Mężczyzna chowa dłonie w kieszeniach płaszcza. W milczeniu zwiesza ramiona.

– Nie boisz się? – pyta.

– Boję.

– Nie miałem pojęcia.

– Nie szkodzi. Wkrótce i tak nadejdzie noc.

Mężczyzna milczy. W jego milczenie zakrada się ciemność. Półmrok łączy niebo i ziemię w jedno ciało, aż coraz trudniej określić granicę między nimi. Kobieta dostrzega, że na głowie mężczyzny pojawiły się siwe włosy. Dostrzega bruzdy, które zaczynają się żłobić na jego czole.

– Kiedy zapadnie mrok… – odzywa się wreszcie mężczyzna – kiedy zapadnie mrok i nic już nie będzie widać, niczego nie będzie można dotknąć ani usłyszeć, i wszystko się uspokoi jak we śnie, wówczas…

– Wówczas?

– Nie bój się i nie myśl, że jesteś sama. Pamiętaj o mnie.

Kobieta udaje, że się gniewa.

– Jak możesz mówić coś takiego? To ty o mnie pamiętaj!

Jego twarz ginie w mroku. Kobieta nie widzi już jego ust. Jego głos staje się coraz cichszy.

– Ściemniło się.

– I pewnie jeszcze się ściemni.

– Czy wystarczy iść naprzód?

W dali gasną migoczące światła. Do uszu kobiety, niewyraźnie, jakby z wcześniejszej egzystencji, dobiega odgłos oddechu mężczyzny.

Zakrzywiają się ich ramiona, a chód staje się powłóczysty. W mroku lśnią ich włosy przypominające białe skrzydła. Idzie, trzymając go za rękę wilgotną od potu.

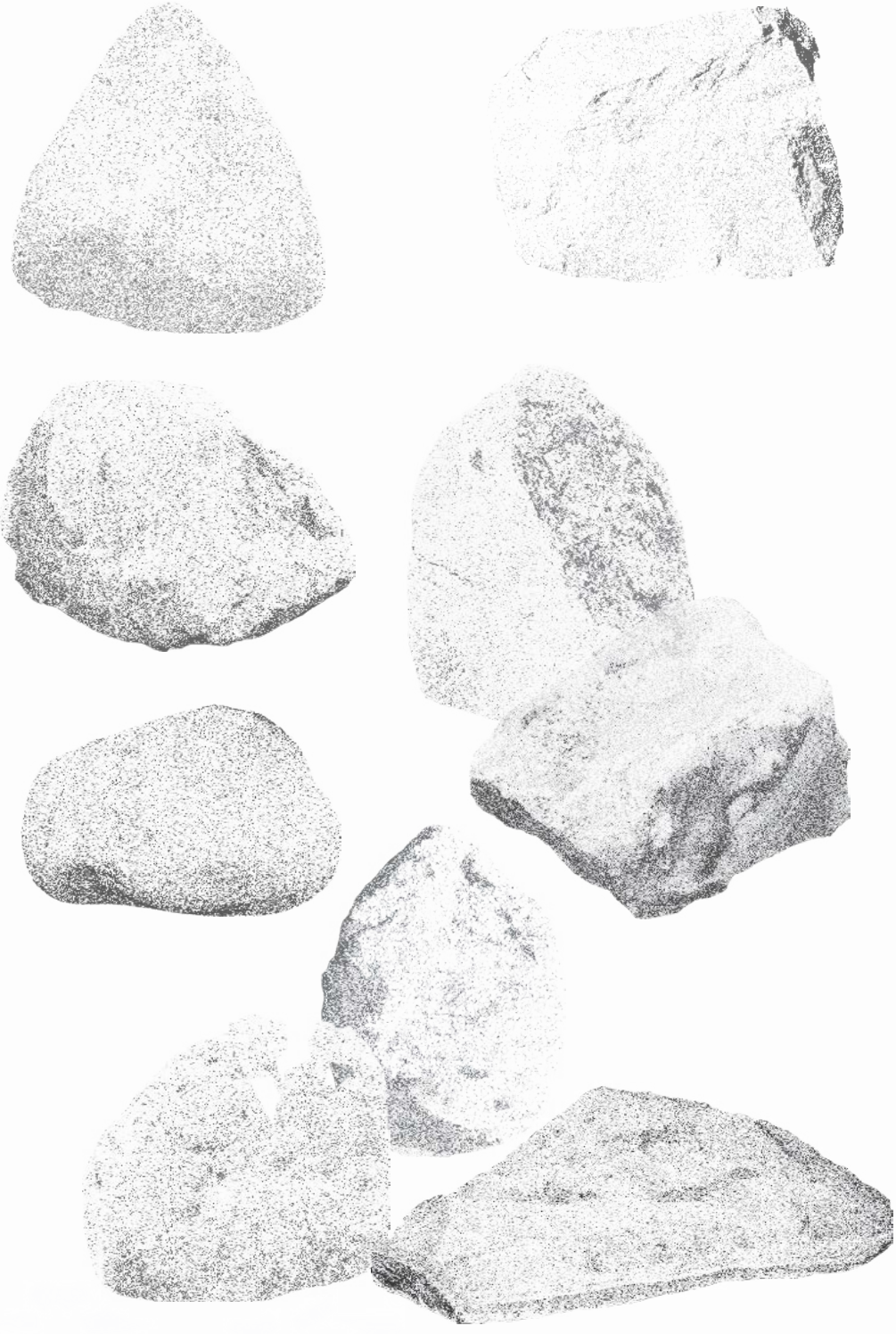

Rachunki

Clare Wigfall

Przełożył:

Marcin Wróbel

Ilustracje:

Karolina Pospischil

Liternictwo:

Justyna Dybala

Projekt graficzny i skład:

Katarzyna Pisula

Wszystko, czegom sie nauczyła o rachowaniu, pojełam, nimem skończyła 10 rok życia. Wpierw nauki my mieli na liczydle, co je pani uczycielka na swoim biurku stawiała. Potem uczyli nas liczyć, pilnie spisywać kredo cyfry na tabliczkach, co to sie je ścierało rękawem, jak sie komu rachunek nie zgadzał. Zawszem lubiła te wszystkie rachunki: dodawanie, odejmowanie, mnożenie i dzielenie.

Kiedy miałam 9 roków, nagrodem dostała za znajomość tabliczki mnożenia: książke o pozłacanych kartach, co jo misjonarze z lądu szkole podarowali. Tytuł miała Zbawienie duchowe. Wiedzieli, żeśmy ludek bezbożny, nijak to jednak ich nie powstrzymywało od starań. Ociec księge nad kominkiem ustawił, bośmy jeszcze nigdy w chacie żadnych książek nie mieli, a żadne z nas nie śmiało jej tknąć, coby nie ubrudzić, minął jednak czas jakiś i sadza pokryła papierowo obwolute, a kartonowe okładki pomarszczyły sie z gorąca. Rzekłby ktoś, wstyd tak księgi traktować, ale po prawdzie, to gorsze rzeczy sie na świecie zdarzajo.

Byli i tacy na tej wyspie naszej, co wciąż sie dziwowali, na co nam to całe rachowanie. Nic z tego nie pojmowali, bo żaden ich tego nie wyuczył. Tych kilku szczęściarzy, co na palcach poradzili rachować, mówiło, że nic więcej im nie trza. Wbijanie nam do łbów czegoś tak niejasnego jak arytmetyka zdało im sie całkiem niepotrzebnym. Żaden jednak przy pani uczycielce słowa nie powiedział, bo nie dość, że kobita z lądu ku nam przypłyneła, to jeszcze była okropecznie śliczna. Znać było po niej dobre wychowanie i kazała mówić do siebie pani Galbraith, choć na wyspie panował obyczaj, że miano sie po oćcach brało. Mie wszyscy wołali Peigi NicFionnlaigh, bom jest Peigi, córa Finlaya. W obecności

pani Galbraith baby ze wsi trzymały język na wodzy, udając wielgie damy, a chłopy całkiem języka w gębie zapominały, jak rzadko. Pewnikiem ze wstydu, bo to za uczycielko wzdychali w tych snach gorączkowych, które sie czasem chłopom zdarzajo. (Wiem to, bom usłyszała o tym od brata mojego Iaina, jak skończył 14 rok życia).

I tak to trwało, pani uczycielka wciąż nas rachować uczyli, aż w końcu czas naszedł, by szkołe opuścić, bośmy już po 10 roków mieli. Pożytku z tego w sumie było małowiela, bo nie licząc tych paru okazji, kiedy trzeba było wiedzieć, ile jaj na ląd wysłać należy, abo sprawdzić godzinę, abo porachować owce, co padły na mrozie, znajomość rachunków na nic sie nie zdała. Temu też wielu ludzi nie rozumiało, co mie do tych liczb tak ciągnie. Mie sie zaś zda, że to właśnie one logike nadajo naszemu światu. Potrafio go wyjaśnić. Dzięki nim wiela można zrozumieć i dostrzec prawdę. Pocieszenie nieso.

Weźrzyjmy na ten przykład na małżeństwo. Na naszej wyspie mieszkajo 33 osoby, wliczając w to mie. 6 z nich to rodzina. Z pozostałych 26 (wykluczam samo siebie z tego równania) 10 ma mniej niż 15 lat i też trzeba je wykluczyć. Z reszty 8 to mężczyźni, z czego 5 żonatych. 8 – 5 = 3. 3 kawalerów starszych niż 15 lat, z czego, co warto pamiętać, 1 kołowaty na umyśle, 2 niepomiernie szpetny i skłonny do humorów, 3 jest wdowcem od dobrych 4 dekad, zaś wszyscy razem i każdy z osobna majo niepohamowany pociąg do whisky – choć prawde mówiąc, dotyczy to każdego chłopa na naszej wyspie (a i kilka bab też by sie znalazło).

To właśnie piękno rachunków. Dzięki nim fakty stajo sie tak proste i uporządkowane, że nie uchodzi sie z nimi wadzić. Nawet jak rozwiązanie ci nie pasuje, wszystko sprowadza sie do arytmetyki. Do liczb. Do rachowania.

A kto byłby na tyle głupi, by sprzeciwiać sie rachunkom?

6ᴗtg

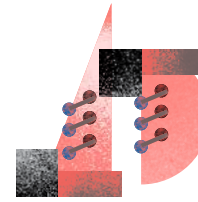

Kiedy miałam 7 roków i 1/4, przypłyneły na wyspe jakieś paniska. Powiadali, że so z Cambridge, co jest w Anglii. Wiedzielimy, co to Anglia, pani uczycielka mówiła o niej na lekcjach jeografii. Słyszelimy, że kraj nasz dzieli sie na 4 regiony, a Anglia to gdzieś tam na dole leży i że majo tam takie rzeczy, jak automobile, co so jak furmanka, tyle że jeżdżo całkiem same.

Chłopy te mieli brody fryzowane i każden 1 owijał szyje jedwabnym szalem, a mówili w języku, którego żadne z nas nie rozumiało. Namiot swój lichy, brezentowy rozstawili na północnym kraju wyspy, kędy 2 roki temu nasi ludzie, co torf zbierają, znaleźli poczerniało ręke wystająco z bagniska i tam jo też zostawili, z szacunku dla tych, co jich śmierć przed czasem skosiła.

Jak już mówiłam, ludzie u nas mało pobożni i żaden nie wierzy w boga w niebiesiech, za to każde dziecko żyje w strachu przed utopcami, co czajo sie na bagnach. Kryjo sie śród torfowisk, czekając sposobności, by kogoś zwieść ku sobie i pociągnąć w głębinę. Mówi się, że so rozumne i oślizłe, a w mgliste noce nawołujo wędrowców cichymi głosami. Chłopy, co po nocach wracajo chwiejnym krokiem, wypiwszy kropelkę, powiadajo czasem, że z mgieł śpiewy młodych panien dochodzą, kusząc ich pożądliwie. Trza naprawde nerwów stalowych, by przejść mimo onych nawoływań.

1 razu widziałam nawet byka, co utknął w grzęzawisku. Nim go wyciągli, cały aż po kark sie zapad, ale tonął tak powoli, jakby w ogóle nic sie

nie działo. 8 chłopa musiało sie z nim szarpać, obwiązawszy sznurami za rogi.

Roztropność, z jako nasi podchodzili do bagien, angielskim panom obca całkiem była. Zdarli torf metalowymi narzędziami i wyciągli nieboszczyka z wilgotnych objęć ziemi, co to kiedyś była jak woda, i wciągła te biedno duszyczkę. Wyspiarzom pozwolono sie przyglądać. Topielec wyglądał, jakby sie uspał, kręgosłup miał wygięty jako róg barani, a kolana do piersi dociskał. Paskudna, czarno-brązowa skóra łyskała na śrebrno i odłaziła od kości, jak miąższ z gnijącego owoca. Matowe, ryżawe włosy wyglądały jak wełna, nim sie jo wyczesze, a trzewiki skórzane, co sie nogów wciąż trzymały, poczerniały jako i reszta trupa całego.

Nie mogłam przestać sie gapić na to ciało leżące na drewnianym stole. Zakazali nam go dotykać. Dorosłym też, traktując ich jak niedouczonych smarków. Nie wiem, co we mie wtedy wstąpiło, prawdo jest chyba, że coś nas czasem przymusza, żeby jakiś ruch wykonać, choć sami nie wiemy co. Sięgłam ręko do trupa, jak do zabawy z Iainem czy Mairead. Ociec zaraz dał mi po łapach.

– Myślisz, że onego to tak raduje? – warknął. – Podobałoby ci sie, jakby sie ludziska na ciebie tak gapili? Albo jakby jakaś siksa pchała sie z ręcami?

A potem wytarmosił mie za ucho, jakby to była moja wina, żeśmy wszyscy byli tak ciekawi.

Śledzie

Sezon na śledzie zaczyna sie w styczniu. Żywimy sie głównie solono rybo i zimniokami i jak co niektórzy powiadajo, to dlatego męczo nas bóle brzucha, na które skarży sie większość naszych. Statki z lądu wracajo do portów obładowane beczkami pełnymi wypatroszonych i zapeklowanych śledziów.

Jak północne wiatry nie wiejo zbyt mocno, dziewczyny i ci, co nie majo innej roboty, wsiadajo na łódź i płyną, by pomóc przy patroszeniu.

10 rok już mija, kiedy przy tym robię, ale dalej nie umiem wytrzymać na morzu. Boje sie wody i po prawdzie, każda podróż to dla mie prawdziwe skaranie, gdy łódź sie giba z boku na bok, a ja modlę sie tylko, żeby utrzymać w żołądku poranno owsiankę.

Łońskiego roku było całkiem tak samo. Wyszłam ze wsi przed świtem i przeszłam 4 mile do brzegu, świecąc sobie latarnio. Rachowałam bezwiednie w myślach, wierząc, że jeśli uda mi sie dotrzeć nad morze w parzystej liczbie kroków, to woda nas nie pochłonie. Dorachowałam do nieparzystej. Wtedym jednak obmyśliła, że trza też doliczyć droge powrotno, co nio wieczorem wracać będę, i dodałam jo do rachunku, podwajając sume kroków. Jakoś mie to uspokoiło.

Na brzegu czekały już 3 inne dziewczyny, chustami okutane i czerwone od chłodu i deszczu. Były tam 2 śliczne siostry, Anna i Caìtriona NicPhàdraig i młoda Màiri, córka Alasdaira, co grał na skrzypkach.

Ta z nami pierwszy raz płyneła. Brakowało za to siostry Domhnalla MacAindreasa, Maureen NicAindreas, co braki na umyśle miała trochę. Zważywszy na to, co zaszło łońskiego roku przy patroszeniu ryb, wszystkieśmy sie zgodziły, że tak najlepiej będzie. Nie chciałymy już drugi raz takiego wstydu przeżywać. Zreszto biedna Maureen zległa jakiś czas temu w łóżku, zmożona chorobo, i rzadko jo widywałymy. Przez chwile wymieniałymy sie uprzejmościami, aż w końcu zobaczyłymy łodź, co jo po nas wysłali, jak kołysała sie na falach w świetle poranka.

Pomyślcie sobie teraz, jakem była zdziwiona, gdym w człowieku stojącym przy rumplu rozpoznała Willeama MacGhobaina, com z nim do szkoły chodziła. W pamięci żem miała bladego, cichego chłopaczynę, któren lat 13 mając, na krup zachorzał i posłali go wtedy do ciotki, co na lądzie mieszkała, by go tam w szpitalach kurowali. W tamtych czasach zdarzyło sie 1 czy 2, że inne dziecka rozeźliły mie paplaniem, że Willeam czuje ku mie jakąś mięte. Nigdy potem już na wyspe nie wrócił, a jam przez te lata prawie wcale o nim nie myślała.

Dalej był tak blady, jakem go pamiętała, ale gębe miał osmagano wiatrem i mrozem i stał, opierając dłonie w rękawicach o wiosła. Miał pociągło, łagodno twarz i włosy jasne sterczące na wszystkie strony, jasne były też jego brwi i rzęsy. Pomógł każdej 1 z nas zapakować sie do łodzi, a kiedy naszła moja kolej i wyciong do mie rękę, zobaczyłam, że mie poznał. Zaraz mie wstyd ogarnął, bo zarumienił sie przy tym niczem panienka.

Puściłam go i z głowo spuszczono siadłam na swoim miejscu, dalej żem jednak widziała jego gorejące lica i uszy. W duchu żem westchła sobie, że nic a nic sie nie zmienił, jaki głupi był, taki został.
– Willeam MacGhobain? – zagadałam z nadziejo, że dziewuchy nie patrzo na jego czerwone poliki. – Ze 14 lat jużeśmy sie nie widzieli, no nie? – Znaczyło to, że nie widziałam go o 1 rok dłużej, niż w ogóle go znałam. Znaczy, że po prawdzie niewiela o nim wiem.

Reszta na łodzi młodsza od nas była, tedy żadna Willeama nie poznała, ale my 2 ciągle gadalim, gdy machał wiosłami, płynąc po szarych wodach.

– Nie wyszłaś za mąż? – spytał, rzadko sie bowiem widziało zamężno babe przy patroszeniu.

Rzekłam mu, że całkiem mi dobrze tak, jak jest i że roboty mi nie brak. Ociec po śmierci matki nijak by sobie beze mie nie poradził, a Iain, jak mu wyklarowałam, znalazł sobie małe poletko i chatę, gdzie sie przeprowadził razem z żono i 3 dzieciaków.

– A twoja siostra? – przypomniał sobie.

– Mairead już nie ma między żywemi – powiedziałam, bom sie nie czuła na siłach, żeby wyjaśniać. Poza tym zerwał sie ostry wiatr, a łódź sie chybała coraz to mocniej. Odetchłam głęboko, coby nerwy skołatane ukoić, a potem pocieche próbowałam znaleźć w tym, żem parzysto liczbe kroków naliczyła. Dla spokojności porachowałam w myślach kilka razy do 8. Anna i Caìtriona śpiewały sprośno morsko balladę, a ja pojąć nie mogłam, że im ciągle tak wesoło.

– A ty? – wróciłam do rozmowy. – Żona i dziecka u ciebie jakieś?

Tym razem to on odwrócił wzrok, a z powodu wiatru ledwie usłyszałam, gdy rzekł cicho, że jego żona odeszła.

Zobaczyłam go znowu pod koniec dnia, gdy odwiózł nas do domu.

– Będziesz tu jutro, Peigi NicFionnlaigh? – zapytał.

– Pewno tak – odparłam. – A ty, Willeamie MacGhobain?

– Pewno tak. – Na jego twarzy pojawił sie uśmiech.

Idąc do sie, próbowała żem ten uśmiech z pamięci wymazać. Mgła wyłaziła ze wszystkich stron i mimo światła latarni ledwiem widziała ścieżkę. W takie noce trzeba sie mieć na baczności. Ale myślami ciąglem wracała do tego, co powiedział Willeam; wyobrażałam sobie jego życie na lądzie, w tym wielgim, murowanym domu, gdzie żył z 2 swoich małych ½ sierotek i staro ciotko cierpiąco na artretyzm.

Takem sie nad tym zamyśliła, żem prawie nie dosłyszała głosu, co rozległ sie śród mgieł.

Zrazu pomyślała ja, że to jakieś maleńkie zwierzątko, jagniątko może, co zagubione kwili za matko. Ale to nie był czas kocenia sie owiec. Dźwigłam latarnie i nasłuchiwałam, otoczona wilgło mgło. Zdało sie, że dźwięk kędyś z daleka idzie, palcyma wiatru niesiony. Niczegom nie widziała poza żółto poświato rzucano przez mojo lampeczke. Znowuż usłyszałam ten głos – cichutkie, przeraźliwe skamlenie. Przeszły mie dreszcze i przez chwile brakło mi tchu w piersiach.

Znów uszu żem nastawiła, ale słychać było ino wycie wiatru przelatującego nad pustkowiem. „Coś ci sie w głowie roi, córko Finlaya", rzekłam se w duchu i żwawo poszłam dalej, do ciepłego domu i tatki, któremu niosłam w torbie śledzie. Wtedy znów to usłyszałam. To razo odgłos zdał sie dochodzić skądeś bliżej i był znacznie głośniejszy. Tak tęskne i żałościwe było to kwilenie, aże mie coś ścisło w dołku.
Przystałam zaraz.

– Zostaw to, głupia – ofukłam sie na głos. – To przeca ino jakiś utopiec zwodzić cie próbuje. Idźże dalej, durna babo! – Serce jednak trzymało mie w miejscu. Choć rozsądek i czucie co inszego mi podpowiadały, piski z ciemności jakoś czuło strune we mie poruszyły i nie mogłam już dalej iść mimo.

Zeszłam ze ścieżki, ostrożnie nogi stawiając, by grunt twardy wyczuć, i słuchając, skąd ów dźwięk dobiega. Czasami zdał sie głośniejszy, czasem całkiem go słychać nie było.

– Hej! Jest tam kto? – wołałam, a wietrzysko niesło moje krzyki pod czarne niebo.

3 razy zeszłam ze ścieżki na 8 kroków, we mgłe wchodząc coraz głębiej, choć wiedziałam, że zawracać muszę, jak sama nie chce sie stracić. Rozsądek szybko mi wrócił i gotowa byłam poniechać dalszego

szukania, kiedym naraz zobaczyła w świetle latarni jakiś niewyraźny kształt, leżący na ziemi. Podskoczyłam ze strachu jak głupia. Zdało mi się, że to zmora jakaś, co tylko sie czai, by zaraz sie na mie rzucić, ale nic sie nie poruszyło. Jeszcze nigdym w życiu sie tak nie bała. Ale jak już zaszłam tak daleko, to nie mogłam przecie teraz sie cofnąć. Latarenke na drzewo zawiesiłam, na kolana padłam i po ziemi zaczełam ostrożnie macać, mgłe rozgarniając. Naglem poczuła pod zziębniętymi palcami szorstki wełniany koc, tak stary, jak tylko można sobie wyobrazić. Brudny, potargany, w rzepach cały, jakby z obory wyciągnięty. Szarpłam za róg i jękłam ze zdziwienia, widząc, co skrywał.

To nie był duch. Ani utopiec. Żadna zmora. Miałam przed sobo żywe dziecko.

Niebożątko znów kwilić zaczeło, smagane lodowatym wiatrem.

Zimnioki

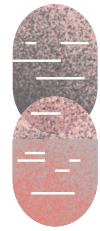

Kiedy moja babka była mało dziewuszką, zaraza wytruła zimnioki. Opowiadała nam, jak ze starzykami musieli rozmiękłe bulwy z ziemi wykopać. Zimniok za zimniokiem, każden 1 pomarszczony i nadgnity. Wybrali z nich, co sie dało, a reszte na kupe zwalili w rogu pola i zostawili, by zgniło do końca. Rodzice babki myśleli, czy nie wyjechać, na łódź jak inni sie wtarabanić i popłynąć przez wielgie morza, do kraju, co zwał sie Kenejda. Ale żyli my tu cało rodzino od wieków i pradziady inszego życia nie umieli sobie wyobrazić.

Babka nigdy żadnych szkół nie kończyła. Nikt głowy wtedy do nauki nie miał, z powodu zarazy szkołe zamkli, a dziecka i tak za słabowite były, coby każdego dnia leźć taki kawał drogi. Nie znała tedy arytmetyki, nie umiała przeczytać żadnej książki, nikt jej nie wyuczył jeografii, nawet podpisać sie nie poradziła. Umiała za to śpiewać. Nawet w późnych leciech głos miała dźwięczny i czysty jako ta woda w strumieniu. „Dzięki piosnkom zawszem pełny brzuch miała", rzekła mi kiedyś, kiej spytałam, jak udało jej sie przeżyć, gdy pomarło tak wielu.

Śpiewała nam te same przyśpiewki, co od swojej matki znała, a jeji mama wyuczyła sie ich od swojej. Pamiętam, jak walczyłam z opadającymi powiekami, gdymy cało trójko leżeli z Iainem i Mairead pod kocami na tym samym łóżku, co i teraz leżę, wsłuchując sie w trzaskanie ognia na palenisku i głos naszej babki.

To właśnie tymi kołysankami uspokajałam teraz te dziecinę.

– Cichajże mi, cichaj. Lulajże, lulaj, siwe oczka stulaj – nuciłam. Dziewczynka była taka maleńka i delikatna, że cały czas sie o nio bałam. Ciemie dalej miała miękkie, z kępko najcieniuchszych brązowych włosków, jakiem w życiu widziała.

Ociec zrazu nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Kazał mi jo odnieść tam, skąd jo przyniosłam, postawiłam sie jednak i powiedziałam, że niczego takiego nie zrobie i tak też sie właśnie stało, widział bowiem, że nie ustąpię, a sam był już stary i nie tak silny jak dawniej. Rzekłam mu, żeby wybił sobie z głowy te głupie pomysły i sagan nasz największy na ogień nastawił.

Dziecko w sam raz mieściło sie w garncu, a ja zażartowałam, że moglibymy z niego zrobić potrawkę. Ociec sie obśmiał. Dalej nie zrobiłam mu tych śledzi i głodny był pewnie jak wilk. Czas jakiś polewał dzieciątko wodo, a ja trzymałam główke onego i baczyłam, coby sie nie utopiło. Nic sie nie wyznawałam na takich sprawach, nie wiedziałam, jak sobie z nim poradzić, zwłaszcza że dzieciok od mydła i wody był ślizgi. Porachowałam mu wszystkie paluszki, każden jeden był na miejscu.

– Zda mi się, że ta mała dopiero co na świat przyszła. – Ociec przyźrzał sie jej bystro. – Pewnie z dzień ma abo dwa.
Kiedymy jo suszyli przy ogniu, dziewczynka kwilić zaczeła, to pomyślałam, że głodna pewnikiem będzie, więc owinełam jo poszwo z poduszki i najmiększym kocem, jakim znalazła, ociec zaś poszli do obory, coby garnczek mleka dla niej udoić. Nakarmiłam kruszynkę, używając palca i srebrnej łyżeczki, aż w końcu najedzona zasneła w mych objęciach.

– Tatko sam będzie musiał te śledzie sobie nagotować – powiedziałam ońcu. – Mała ruszyć mi sie nie da.

przesądy

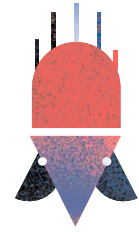

Każdy wie, że jak dwie wrony latajo nad domem, to rychłego wesela można sie spodziewać, albo że jak kto w niedziele grób wykopie, to w ciągu tygodnia trzeba będzie kopać drugi, coby kogoś z jego rodziny pochować, albo że w majowe święto gałązka jarzębiny nitko czerwono przewiązana chroni przed urokami i zapewnia pomyślność wszelkiej żywiźnie. Dorastalimy śród przesądów. Poznalimy je, nie wiedząc kiedy. Każde z nas najpierw zakłada prawy trzewik, choć wcale nie myśli czemu.

Księżyc, co dziecku w gębusie świeci, zwiastuje złe rzeczy, zły omen jest też wtedy, jak złożyć je do spania w nowej kołysce. Ubranka, nim je dziecku nałożyć, nad ogniem powiesić trzeba, a jak je od duchów chcesz ustrzec, to masła trza mu dać kapke i zmusić, by zjadło.
Zrobiła żem, co sie dało, coby jo chronić. Mój brat Iain dalej mie jednak ostrzegał.

– Weźże ino mie posuchej, Peigi, nasze ludzie nijak tego dziecka nie polubio. Nie po tym, jak żeś je naszła we mgle i nikt nie wie, skąd ono. A te czerwone znamie na jej gębie, co próbujesz go nie widzieć, też sie nikomu nie spodoba. Musi jakieś czarodziejstwo sie tu dzieje i zaraz będzie gadanie, że mała na nas jakieś nieszczęścia sprowadzi.

Odwróciłam sie do niego plecami i przyciskając malutko do piersi, wróciłam do swojej chaty.

W końcu wszyscy przyszli jo obejrzeć. Musiało tak być. Zatrzymać ich nijak nie szło, bo to przecież nie uchodzi. Wypili nam wszystko herbate, a od ciągłego nalewania whisky rozbolała mie ręka. Napiekłam tyle ciastków maślanych, co to sie nimi u nas przy narodzinach częstuje, aże mi mąki całkiem brakło.

Każden 1 trzymał język za zębami, bo tak nakazywał dobry obyczaj, alem widziała ich spoźrzenia, a jak żem poszła sprawdzić, co u małej, śpiącej w kołysce wybłaganej od brata i jego żony, przez cienkie ściany naszej chaty słychać było te ich wszystkie spekulancje, przed którymi ostrzegał mie Iain. Słuchać tegom nie chciała, tedy porachowałam pare razy do 8. Patrząc na ślicznіusio gębule małej, nijak żadnego czarodziejstwa uwidzieć nie umiałam.

Odwiedził nas tego dnia nawet Domhnall MacAindreas, choć jako żywo nigdym nie widziała, by miał jakąś słabość do dziecek. Między nami 2 żadnej przyjaźni nigdy nie było, bo to paskudny człek z brzydko gębo i takimż charakterem. Dość, żeby ino weźrzał na mie, a zaraz żem czuła sie brudna.

– Prawda to, Peigi NicFionnlaigh, co ludzie powiadają, żeś jakoby we mgle najducha naszła, co gębe ma naznaczono diabelskim znamieniem? Bo takem pomyślał, że zajde i spoźrzę.
– A to nie whisky cie tu ściągła, Domhnallu MacAindreas?
– Na whisky też chętnie spoźrzę, ale pierwej wolałbym obeźrzeć tego dziecioka. –Wpakował sie do środka, nawet butów nie wytarłszy.

Wcale mi sie to nie podobało, ale nic żem poradzić nie mogła, więc powiodłam go do sypialni. Jak tylko włochatymi paluchami kocyk małej odsunął, aże sie wykrzywił z obrzydzenia. Ino cudem żem sie powstrzymała, coby nie poślinić chusteczki i nie otrzeć jej gębusi tam, gdzie jo pomacał.
– Nic dobrego z tego nie przyjdzie – burknął. – Wierz mi, Peigi NicFionnlaigh. Nic a nic.
Po mojemu takie głupoty nie zasługujo na żadno odpowiedź.

Wieczorem pomyłam 9 talerzy, 12 szklanek, wyrzuciłam 2 puste butelki po whisky i znalazłam 1 pełno szklanke – te samą, któro upodobała sobie nasza matka, z niebieskim wzorkiem na brzegu. To w niej dostał whisky Domhnall MacAindreas. Nigdy sie jeszcze nie zdarzyło, by odmówił komuś kropelki, tedy musiałam uznać, że zrobił to, coby nam dokuczyć. Każden przecie wie, że zdrowie nowego szkraba wypić trza, bo mu sie jakieś nieszczęście jeszcze zdarzy.

Ominął mie cały tydzień roboty przy patroszeniu. Jakem szła przez wzgórza, dotarło do mie, żem przez cały ten czas ani razu nie pomyślała o Willeamie MacGhobainie. Zdawało mi się, że od chwili kiedym 1 raz weszła do jego łodzi, przeszły całe wieki. Ciekawam, czy zauważył, że mie nie ma.

Blisko plaży ogarnął mie taki niepokój, że musiałam porachować pare razy do 8. Tamte na pewno już mu o wszystkim wypaplały. Ledwiem sie powstrzymała, by biegiem ku niemu nie lecieć i za ręke z krzykiem nie chwycić, mówiąc, że głupim gadkom wierzyć nie trzeba, żadnych złych omenów nigdzie tu nie ma. Dziewuszka niczego diabelskiego w sobie nie miała, zwykły dzieciaczek, tylko prześliczny. Sam by to pojął, gdyby tylko mógł jo zobaczyć.

Kiedym jednak wzieła go za ręke i wlazłam na łódź, zaskoczył mie tym, że wcale niczemu sie nie dziwował. Uśmiechnął sie tylko i spytał, jak jo nazwałam.
– Sine – powtórzył, gdym mu wyjawiła jej imie, jakby sprawdzając, jak smakuje to słowo, co w naszym języku znaczy podarek.
– Sine – zawtórowałam.

mleko

Przyszed do nas pewnego wietrzystego popołudnia.

Byłam sama z małą, ociec poszed w pole, pomóc Iainowi przy chorej owcy. Niebo zaciągło sie chmurami i trza było palić lampke. Czekała na mie cała kupa wełny do gręplowania, ale pierw musiałam mleko na ogień nastawić, bo mała mogła za chwile zbudzić sie głodna. Aż uwierzyć trudno, jako mocno wyrosła i jaka była dorodna i zdrowa. Walenie do dźwi tak mie przeraziło, żem rozlała mleko na palenisko. Dobijał sie do nich jak wariat jakiś, a chwile później wpad do środka, wpuszczając zimny wiatr.

– Gdzie ten bękart?! – ryczał. – Gdzieś go schowała?!
Jeszczem nigdy nie widziała, żeby ktoś był tak wściekły, aż mu skry szły z oczów. Nimem sie zdążyła odezwać, już sie do środka wpakował. Słowa plugawe z ust jego płynęły, a jak o stół sie potknął, to cisnął nim przez izbę, aże go na 2 części rozbił. Woniało od niego gorzało, śmierdział jak namokła wełna, potem i brudem. Z kłakami, co sterczały na wszystkie strony, wyglądał jak jakiś obłąkaniec i w ogóle na mie nie zważał. Ochrypłym głosem wykrzykiwał takie bluźnierstwa, jakich żem nigdy jeszcze nie słyszała.

Pytali mie potem, czemużem nic nie zrobiła, ale żaden nie pojmie, jak krótko to wszystko trwało.

Starczyło, że uźrzał kosz przy piecu stojący i zaraz włochate paluchy weń wraził, porywając mało z poduszek jak worek zimnioków.

Wrzasłam. Tylem zdążyła zrobić. Potem walnął mie w głowe i poleciałam na ścianę, a nimem sie podniosła, on już zniknął za dźwiami. Poleciałam za nim, rycząc, by zostawił malutko, ale Domhnall MacAindreas był rosłym chłopiskiem i jeszcze pare razy cisnął mie na ziemie, jakbym była mucho, co to jo idzie odgonić jednym pacnięciem. Nie dał sie zatrzymać, choć ledwie stał na nogach od tej gorzały.

Wierzcie, żem naprawde próbowała. Szarpałam go za rękaw, wyrwałam mu kudły, ciągłam go za portki tak długo, póki mie nie skopał. W życiu mi na niczym tak nie zależało, jak na tym, coby go zatrzymać. No i wtedy to sie stało.

Dziś zda mi sie, że wszystko działo sie strasznie pomalutku, choć to nieprawda jest przecież, bom tylko pobladnąć zdążyła. Domhnall MacAindreas wyszed tyłem spomiędzy uschłych kolcolistów, a potem ręko machnął i dzieciok szerokim łukiem furgnął ku niebu. Na czarnej powierzchni torfowiska ostała sie ino biała koronkowa poszwa, com jo nio wcześniej owineła.

– Żebyś sczezł, najduchu!– wrzasnął MacAindreas, chwiejąc sie na nogach. – Już po tobie, szatański bękarcie! – przeklął jo na pożegnanie.

Prawde rzekłszy, rozum żem wtedy straciła. Nim wyciągli mie z bagna, cała byłam oblepiona gęsto czarno mazią, a Iain sprał mie po gębie, bym odzyskała rozsądek i przeźrzała na oczy. Słusznie przecież nasza matula mawiała, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

Jeszcze tego samego roku wróciłam do roboty przy patroszeniu ryb i znów zobaczyłam Willeama MacGhobaina, jak stoi przy rumplu.
– Miło cie widzieć, Peigi NicFionnlaigh – powitał mie ze smutnym uśmiechem.
– I wzajemnie, Willeamie MacGhobain – odparłam.
Pochorowałam sie prawie od razu, jak tylko odbilim od brzegu i musiałam zamknąć oczy, bom czuła, że tym razem owsianka na pewno ze mie wylezie.

Milczelim przez cało drogę, pewno temu, że nie wiedział, co miałby mi powiedzieć. Ale gdy płynelim nazad, dotknął przypadkiem mojego kolana, poruszając wiosłem, a potem zapytał: – Co ty tak ciągle rachujesz, Peigi NicFionnlaigh?
– Co? – Weźrzałam na niego, nie wiedząc, co mu po głowie sie roi.
– To nic. – Potrząsnął głowo. – Nieważne – uśmiechnął sie i rzekł: – Słyszałem, że pare miesięcy temu byłaś na lądzie.
– Zgadza sie – potwierdziłam. – I już więcej nie chce tam jechać. Ludzisków tyle i brudu… Jak ty z tym potrafisz poradzić, to całkiem nie wiem. – Była to moja 1 podróż poza naszo śledziowo wysepke.
Spoźrzał na mie, przekrzywiając głowe, tedym zrozumiała, że chyba sie o coś boczy. Zawszeć był przecie z tych wrażliwych.
– Cóż, przynajmniej wygląda na to, że sąd go sprawiedliwie osądzi – stwierdził cicho.
– Tak będzie.

Zapatrzył sie przed siebie i zacisnąwszy usta, przez jakiś czas machał wiosłami w milczeniu. Pożałowałam go trochę. Tyle miał dla mie dobroci, a ja mu tak odpłacałam. Alem nie wiedziała, jak to naprawić.
– Żeby zrobić coś takiego własnej kołowatej siostrze, to nigdy nie zrozumiem – rzekłam w końcu, żeby coś powiedzieć. Łódź kolebała sie na boki, a mi robiło sie coraz słabiej.

Liczby nie chciały sie zgadzać, nie umiałam ich nijak pozbierać do kupy.

Zerkłam na niego kątem oka, a on odwdzięczył sie smutnym weźrzeniem i wiosłował dalej po ciemnych wodach.

Pomyślałam, że musze wyglądać jak ostatnia paskuda, bo żołądek dalej wywracał mi sie na nice i ledwie sie trzymałam. Śmierdziało ode mie rybimi flakami, solo i szarym mydłem. Mogłabym sie gibnąć przez burte i raz na zawsze sie stracić pod tymi szarymi falami.
Byłoby to jednakowoż głupie.

Crusoe

Philip Ó Ceallaigh

Przełożył:

Łukasz Witczak

Ilustracje:

Nadia Linek

Liternictwo:

Sonia Ryszytyło

Projekt graficzny i skład:

Marcin Homan

Miałem kiedyś dom w Bukareszcie. Stał na szczycie wzgórza; na tyłach, gdzie zbocze gwałtownie opadało, wychodził na zachód kamienny taras z widokiem na spory kawał miasta. Bukareszt jest raczej płaski, więc na górze ogarnia człowieka błogi spokój, jakby unosił się ponad wszystkim, zwłaszcza gdy trzyma w ręku drinka, co zdarzało mi się często. W promieniach wieczornego słońca miasto żarzyło się, jak gdyby ktoś je podpalił. Kiedy indziej zaciągało się mgiełką upału i smogu – przymykałem wtedy oczy i wyobrażałem sobie, że jestem na maleńkiej wysepce i spoglądam na zamglone morze.

CRU
SOE

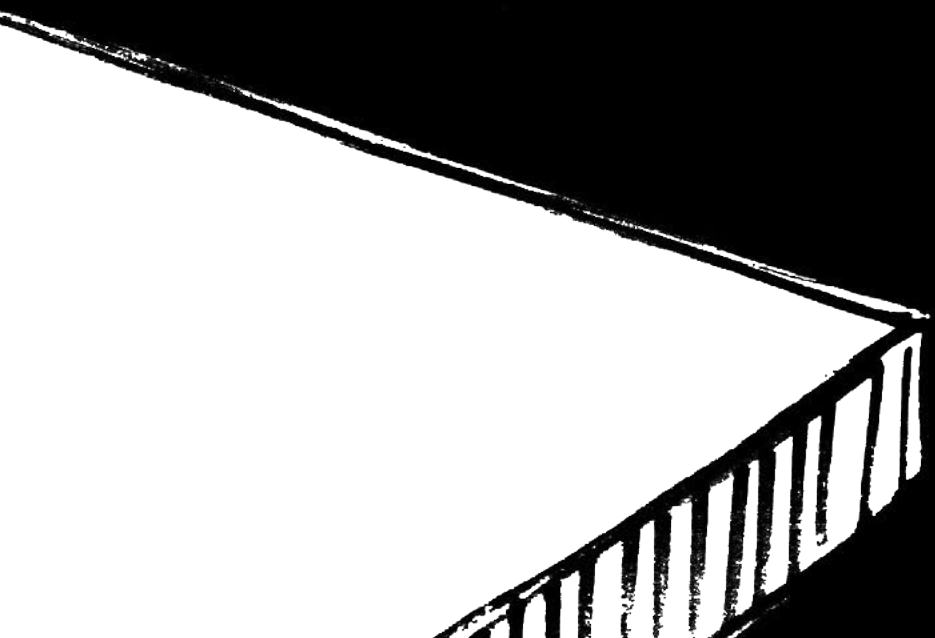

TO było tak. Pod koniec ubiegłego wieku pracowałem w Dublinie na nocnej zmianie w firmie ochroniarskiej. Stróżowałem w gorzelni. Ludzkie ciało nigdy całkiem nie przyzwyczaja się do pracy w nocy. Sen za dnia to nie to samo. Jest krótszy, płytszy. W zimie słońce zachodziło, kiedy wstawałem z łóżka. Podczas tych długich nocy chodziłem po magazynach, biurach i przepastnej stołówce z mnóstwem pustych stołów i krzeseł i czułem się jak ostatni człowiek na ziemi. Nad ranem zaczynały mnie boleć ramiona zmęczone wielogodzinnym czuwaniem.

W piątkowe poranki, schodząc ze zmiany, odbierałem wypłatę. Biura firmy znajdowały się na tyłach klubu ze striptizem. Przechodziłem tamtędy, widziałem zmywanie podłóg, smutne czerwone żarówki, lustra i niewielką scenę z rurą. Pewnego ranka w jednej z lóż siedział mężczyzna po pięćdziesiątce, o ciężkich powiekach i falujących siwych włosach, i czytał książkę. O świcie w opustoszałym klubie, rozświetlonym i woniejącym środkami czystości, był to niecodzienny widok. Kiedy zobaczyłem tytuł – *Sto lat samotności* – nie mogłem się nie zaśmiać. Od miesięcy nic tylko pracowałem, wiodąc życie na granicy jawy i snu. Przed chwilą w jednej z lustrzanych kolumn oglądałem swoją zimową twarz zombie, poszarzałą cerę i wytrzeszczone oczy pod daszkiem ochroniarskiej czapki. Nieznajomy pomyślał, że śmieję się z niego. Wskazałem palcem na książkę.

– Czytałeś?

– Zapomnij o tym złamasie – odparłem.

Wyjąłem z kieszeni płaszcza rozpadającą się książkę w miękkiej oprawie i oderwałem od niej przód i tył, zostawiając około sześćdziesięciu stron ze środka. Wręczyłem mu je. Była to *Śmierć Iwana Iljicza*, opowiadanie Tołstoja. Potem poszedłem po swoją kopertę. Płacili gotówką.

Zapomniałem o tym realiście magicznym. Kilka nocy później, o trzeciej nad ranem, pod bramę gorzelni, przed budkę strażniczą, zajechał czarny mercedes z przyciemnianymi szybami i wysiadł z niego on. Wyszedłem na zewnątrz i stanęliśmy naprzeciwko siebie, rozdzieleni żelaznymi prętami potężnej automatycznej bramy. Poruszała się

po szynie, uruchamiałem ją, wstukując kod. Nasze oddechy parowały na mrozie w jasnym świetle latarń znad ogrodzenia.

– Otwórz bramę – powiedział. – Chcę z tobą porozmawiać.

– To wbrew zasadom.

– Wiesz, kim jestem?

Pokiwałem głową. Przed sekundą się domyśliłem. Był to mój szef, człowiek nazwiskiem Garrity, z uroczego miasteczka Newry. Jego brat siedział w Maze za podłożenie przed kilkoma laty bomby pod wóz pancerny. W środku było czterech Brytyjczyków. Widziałem zdjęcia. Pojazd wyleciał w powietrze i wylądował pośrodku pola. Brat liczył na wcześniejsze zwolnienie na mocy porozumienia wielkopiątkowego. Garrity nie wiedział, że otwarcie bramy o tej porze uruchomiłoby alarm, a ja nie wiem, dlaczego mu o tym nie powiedziałem. Patrzył na mnie przez chwilę, po czym wsiadł do auta i odjechał.

O świcie wróciłem do pokoju, który wtedy wynajmowałem, a kiedy zapadałem w sen na nierównym materacu, przyszło mi do głowy, że byłoby cudownie, gdyby mnie zwolniono, bo mógłbym znów chodzić po mieście za dnia, tak jak wszyscy. Byłem jak jeden z tych bohaterów wysłanych z misją do krainy cieni, z tą różnicą, że ja nie umiałem się stamtąd wydostać.

Nie zwolniono mnie jednak ani nazajutrz, ani następnego dnia, i zacząłem się trochę martwić; trzeciego dnia nadjechało to samo auto, znów podszedłem do bramy i stanęliśmy twarzą w twarz w oparach naszych oddechów.

– Masz prawo jazdy?

Tak zostałem jego kierowcą. Za sprawą *Śmierci Iwana Iljicza* zacząłem jeździć noc w noc po bezkresnych przedmieściach Dublina. Te przedmieścia po zmroku też były jak śmierć, albo średniowieczny czyściec, a dochodzący z tylnego siedzenia bezcielesny głos Garrity'ego powiedział mi któregoś razu, że śmierć Iwana Iljicza sama w sobie nie była straszna. Straszne było w niej to, że wszyscy dookoła prowadzili swoje gry, udając, że on wcale nie umiera, przy czym owa rakowata obojętność miała swoje źródło w tym, iż żona nigdy go nie kochała. Garrity cierpiał na bezsenność i dlatego załatwiał swoje sprawy w porze zerowego ruchu. Poza tym problemy ze snem sprawiły, że zaczął

czytać i oddawać się głębokim rozmyślaniom o życiu. Tamtej zimy odkrył dzięki mnie rosyjskich klasyków. Podsunąłem mu *Nieciekawą historię* Czechowa, *Martwe dusze* Gogola i *Opowiadania kołymskie* Szałamowa. Odbywaliśmy dziwne rozmowy przerywane długim milczeniem. Starałem się mówić jak najmniej. Gdy wspominał o swoim życiu osobistym – o rozwodzie, dzieciach – nabierałem wody w usta. Woziłem go po magazynach, pod tylne wejścia klubów i restauracji, czasem do dublińskiego portu. Nie dajcie sobie wmówić, że Dublin jest ładny. Wystarczy zobaczyć rozwrzeszczane mewy w cuchnącym porcie o świcie, by zrozumieć, że całe to miasto jest przeżarte jakąś zgnilizną, której nie zrównoważy żadna ilość studentów Trinity College w kolorowych szalikach. Wzdłuż rzeki, obok ciemnego bajora, gdzie kiedyś przybiły do brzegu łodzie wikingów, ciągnie się niczym szczurze ślady w gównie szemrany szlak heroinowy, rozgałęziający się później na północ, na południe i na zachód, ku rozlanym przedmieściom pełnym identycznych domków, czekających, aż zjawi się jakiś Hieronim Bosch, zamiecie je wszystkie na kupę i odmaluje rudym ogniem podziemnych czeluści – cały ten kraj był zgniły, jeszcze zanim rozpoczął się boom napędzany kredytami. Miastem wstrząsały fale chemicznych uniesień, amfetaminowe drgawki niczym zygzaki błyskawic, po nich nastawały okresy wyprutej ciszy i dręczącego niepokoju, o których się nie mówiło. Nieraz jeździłem bez Garrity'ego, odbierałem koperty czy paczki i przekazywałem je dalej. Wnet zdałem sobie sprawę, że niektórzy jego wspólnicy sprawnie posługują się bronią. Ochroniarzem zostałem dlatego, że na niczym się nie znałem, a teraz moim zadaniem było milczeć i dobrze mi za to płacono. W mieście działały nowe grupy: Rosjanie, Litwini, Chińczycy; wszyscy oni oraz stare dublińskie rodziny przestępcze i obrotni byli członkowie organizacji paramilitarnych robili ze sobą interesy. Nieraz dochodziło do nieporozumień. Co kilka dni ktoś ginął. Najczęściej dublińczycy, bo byli najbardziej uparci w kwestiach terytorialnych i najpóźniej docierało do nich, że świat się zmienił. O wiele bardziej wolałem ujrzeć za szybą samochodu twarz Chińczyka niż dublińskiego tubylca z pofałdowanym czołem. Chińczycy mieli system, którzy pozwolił im rozszerzyć działalność na cały świat. Miejscowe męty snuły się w dresach, czekając, aż ktoś ich powystrzela.

Aż któregoś dnia we wstecznym lusterku pojawiła się kobieta Garrity'ego. Wyglądała bardzo młodo. Zbyt młodo jak na kobietę Garrity'ego. Zdarzało mi się wozić striptizerki z klubu, więc w pierwszej chwili pomyślałem, że to jedna z nich. Niewiele się pomyliłem. Pracowała u niego, dopóki jej stamtąd nie wyciągnął.

I pewnego wczesnego ranka, gdy wschodziło słońce, a nerwowi pracownicy biurowi zaczęli zaludniać nabrzeże, odebrałem paczkę, lecz zamiast zawieźć ją tam, dokąd powinienem, zawiozłem ją dziewczynie Garrity'ego, tak jak mnie wcześniej poinstruowała, na jeden ze śródmiejskich parkingów. Tam porzuciłem czarnego mercedesa, udaliśmy się razem na lotnisko i wsiedliśmy w samolot do Mediolanu. Wcześniej rzuciliśmy okiem na tablicę odlotów i stwierdziliśmy, że nie mamy ochoty lecieć do Glasgow ani do Düsseldorfu. W Mediolanie zatrzymaliśmy się w ładnym hotelu i przez kilka następnych dni głównie kupowaliśmy sobie ubrania, zegarki i biżuterię, za wszystko płacąc gotówką. Byliśmy przy tym strasznie podenerwowani, a nadmiar energii spalaliśmy w łóżku. Przez tydzień wciąż tylko się pieprzyliśmy i robiliśmy zakupy. Nosiliśmy ze sobą kupę forsy, a po powrocie do pokoju natychmiast zaglądaliśmy do sejfu, czy reszta nie zniknęła. Po czterech dniach byliśmy już wycieńczeni bzykaniem i martwieniem się o pieniądze. Wtedy ona wpadła na świetny pomysł. Pojedziemy nad Morze Czarne, skąd pochodzi, i wpakujemy ten hajs w nieruchomość. Mówiła o tym jak o podróży do Monte Carlo: morze i słońce, kasyna, turyści. Zajechaliśmy na miejsce w parny dzień na początku czerwca. Drogi były zakurzone i dziurawe, ludzie snuli się leniwie w plastikowych klapkach jak mieszkańcy obozu dla uchodźców. Etno pop rozlegał się z budek na dworcu, z okien samochodów, z nędznych knajpek zaludnionych przez otyłych mężczyzn, którzy, wszystko na to wskazywało, wyszli z domu w bieliźnie. Na plaży, owszem, było trochę turystów, lecz nasuwało się pytanie, od czego uciekali. Tłoczyli się nad letnią wodą, gdzie horyzont ginął za zasłoną trującej mgiełki. Cierpieli nawet w kolejce po lody, na ich twarzach malował się ból, jakby mogło dla

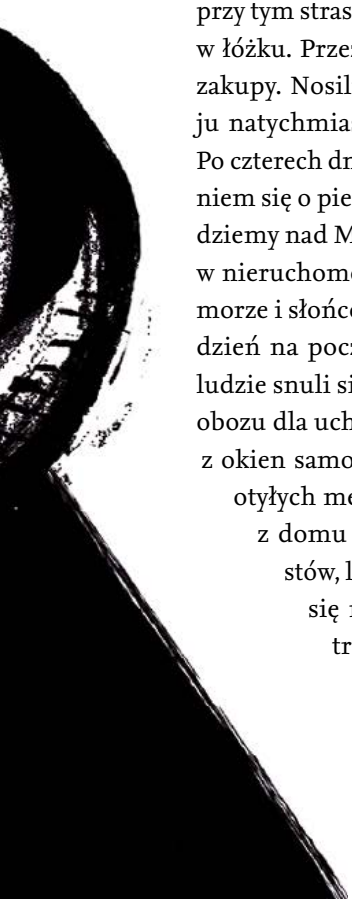

nich zabraknąć. Na południu majaczyła olbrzymia maszyneria portu. Miasto zdawało się mieć wszelkie warunki, by się bogacić, lecz bogactwo omijało miejskich wieśniaków szerokim łukiem. Smutni faceci stali po kostki w gnuśnej wodzie i patrzyli, jak motorówki i skutery spieniają fale. Zatrzymaliśmy się w drogim hotelu: blichtr, chłód z klimatyzatorów i brak kontaktu wzrokowego między gośćmi. Ludzie mający choć trochę pieniędzy przejawiali niepewność siebie zmieszaną z agresją, jakby coś ukradli. Tak jak my. Oswojenie się z pieniędzmi to sztuka. Potrzeba na to stuleci. I takiego miejsca jak Mediolan, gdzie nawet dworzec przypomina katedrę. Wszędzie indziej posiadanie forsy ma w sobie coś z przebywania w miejscu zbrodni.

– Nie wytrzymam tutaj dłużej – wyznałem jej po kilku dniach. Darowaliśmy więc sobie relaks nad morzem i udaliśmy się do stolicy, by ulokować banknoty w nieruchomości. Zapytałem, czy nie wzbudzimy podejrzeń, płacąc gotówką. Wyśmiała mnie.

I tak oto wylądowałem w moim wielkim domu na wzgórzu przy Aleea Suter. Od frontu wydawał się nieszczególny. Gdy jednak przeszedłem się po tych wielkich, pustych pokojach, doznałem wrażenia przestrzeni i światła, które na tyłach willi przybrały postać otwartego nieba i rozpostartego w dole miasta. Zamieszkaliśmy tam i zabrałem się bardzo sumiennie za te puste pokoje. Sprzątałem je powoli, z czułością. Cyklinowałem i lakierowałem drewno. Malowałem ściany, kładłem dywany, sadziłem i podlewałem rośliny w doniczkach. Wybrałem nawet zasłony. Pokochałem ten dom, był taki jasny, czysty i pusty. Kiedy nie bawiłem się w gejowskiego dekoratora wnętrz, odpoczywałem na tarasie, gdzie wreszcie mogłem na spokojnie zastanowić się nad swoim życiem i wszystkim, co mi się przydarzyło. Z prawej strony mieliśmy widok na nierzeczywisty Dom Ludu, zwaliste monstrum, szalony pomysł dyktatora. Stał w odległości kilku kilometrów, ale w pogodne dni zdawało się, że można kamieniem dorzucić. Był to jeszcze jeden element stanowiący o dziwności tego miejsca; rozmyślałem o tym, pijąc pod bezkresnym niebem, po którym śmigały jaskółki. Piłem wódkę, dobrze zmrożoną, bo wódka jest czysta i natychmiast uderza do głowy, nie obarczając organizmu

TOLSTOY

procesami trawiennymi, dzięki czemu człowiek widzi, jak zmienia mu się spojrzenie na świat. Moje serce podążało w przedziwnych kierunkach. W przerwach między oddechami całe miasto drżało w upale. Zdobyłem egzemplarz Tukidydesa, czytałem go cały dzień na tarasie i czułem, jak wzmacnia się mój ogląd rzeczywistości. Czytając o zamierzchłych dziejach, uczyłem się odróżniać to, co w życiu ważne, od tego, co ulotne. Nie musiałem już śledzić bieżących wydarzeń, bo dostrzegałem powracające motywy, sinusoidy ludzkich obsesji powtarzające się na przestrzeni wieków, lecz niewidoczne dla jednostki zaprzątniętej codziennymi sprawami i krótkością życia. Czytałem też Tacyta, *Bhagawadgitę* i *Kubusia Puchatka*. Podróżowałem w czasie, albo raczej unieważniałem czas, a moje medytacje przerywał tylko nieraz rozkoszny brzęk lodu w szklance. Odprężyłem się i nie potrzebowałem już tak często się pieprzyć. Ona wychodziła wieczorem na balkon, siadała i przyglądała mi się cierpliwie, a ja nalewałem drinki i mówiłem jej, co mi chodzi po głowie: a to Alcybiades, a to zagadkowy fragment z upaniszad, a to coś o kolorze nieba. Nie licząc wieczornych komarów, klimat był idealny. Idealny, pod warunkiem że człowiek nie musiał się ruszać, a ja tylko siedziałem w bokserkach na tarasie, zroszony potem. Tak jak Robinson Crusoe nabrałem głębokiej opalenizny i urosła mi broda. Im dłużej moja głowa piekła się na słońcu, tym głębiej zapuszczałem się do pałacu idei. Ona miała swoje zajęcia, brała samochód i przez większość czasu nie było jej w domu, a ja cieszyłem się, że świetnie sobie radzi. Któregoś ranka zszedłem na dół i zastałem w moim salonie faceta robiącego pompki. Był to jej kuzyn, Elvis. Oznajmił, że trochę u nas pomieszka. Chwycił mnie za dłoń i wyszczerzył zęby, pot kapał mu z nosa. Widziałem w życiu wystarczająco wielu drobnych gangsterów, by nabrać wobec niego czujności. Mimo to było dla mnie niespodzianką, gdy tamtego wrześniowego wieczoru – dni były jeszcze gorące, niebo piękne nad zasmrodzonym miastem – usiadła ze mną i powiedziała, że będę musiał się wyprowadzić. Poprosiłem o wyjaśnienia i zaraz je otrzymałem. Wyjaśniła mi, że Elvis wcale nie jest kuzynem, a dom jest na jej nazwisko, podobnie jak samochód. Istotnie,

pozwalałem jej samej podpisywać wszystkie dokumenty. To był jej kraj. Brała na siebie wszystkie rozmowy i bardzo dobrze jej to szło, a ja byłem zadowolony z takiego układu.

Nie zrobiłem tego dla pieniędzy. Zrobiłem to, żeby być z nią.

Elvis zachował się kulturalnie. Zapytał, czy nie chciałbym, żeby mnie gdzieś podrzucił autem. Odparłem, że nie trzeba, chętnie się przejdę.

Zostawiłem swoje książki, opuściłem dom, który nigdy nie był mój, i ruszyłem w dół zbocza ku niezrozumiałym ulicom. Przez te parę miesięcy unosiłem się nad nimi niczym anioł na chmurce. Nie miałem gdzie się podziać. Gdybym wrócił do Dublina, naprawdę dorobiłbym się skrzydeł i aureoli. Tylko czekali, aż przyjadę, żeby mnie zabić. Nagle zaczęła się zmieniać pogoda i zrozumiałem, że jednak nie jestem w tropikach. Temperatury gwałtownie spadały, lodowaty wiatr ogołacał drzewa, miasto przybrało barwę popiołu i nie przypominało już uroczej, zapuszczonej Hawany, raczej zbombardowany Stalingrad. Zatrzymałem się w starym, tanim hotelu obok dworca kolejowego, przy Strada Buzesti – teraz już go tam nie ma, został wyburzony pod poszerzoną drogę – a dzień, w którym skończyły mi się pieniądze, był wyjątkowo zimny. Nie miałem żadnych ciepłych ubrań. Skołtunione włosy i brodę najprościej było całkiem zgolić i to też uczyniłem nad malutką umywalką w pokoju, dzięki której zresztą zdołałem uniknąć wielu dalekich wypraw do zimnej łazienki na końcu korytarza. Skończywszy, długo przyglądałem się sobie w lustrze, obcemu o zapadłych oczach i czaszce jak u więźnia obozu. Te łagrowe skojarzenia potęgowała jeszcze pasiasta piżama – smętna pamiątka po zakupach w Mediolanie. Leżałem na plecach w swoim pokoju i długimi godzinami rozmyślałem o tych niespodziewanych zmianach. Doszedłem do wniosku, że miłość nie umiera, tylko szuka sobie nowego domu. Potem wyrzucono mnie z hotelu. Szedłem głodny przez miasto z tobołkiem na plecach, aż ujrzałem przepiękną dziewiętnastowieczną willę, wokół której krzątali się robotnicy. Brygadzista wręczył mi młot. Ucieszyłem się bardzo, że znów mam pracę. Dostałem pokój na obrzeżach miasta, w dzielnicy zwanej Titan, na dziesiątym piętrze bloku z czasów komunizmu; gdy padało, musiałem rozstawiać talerze

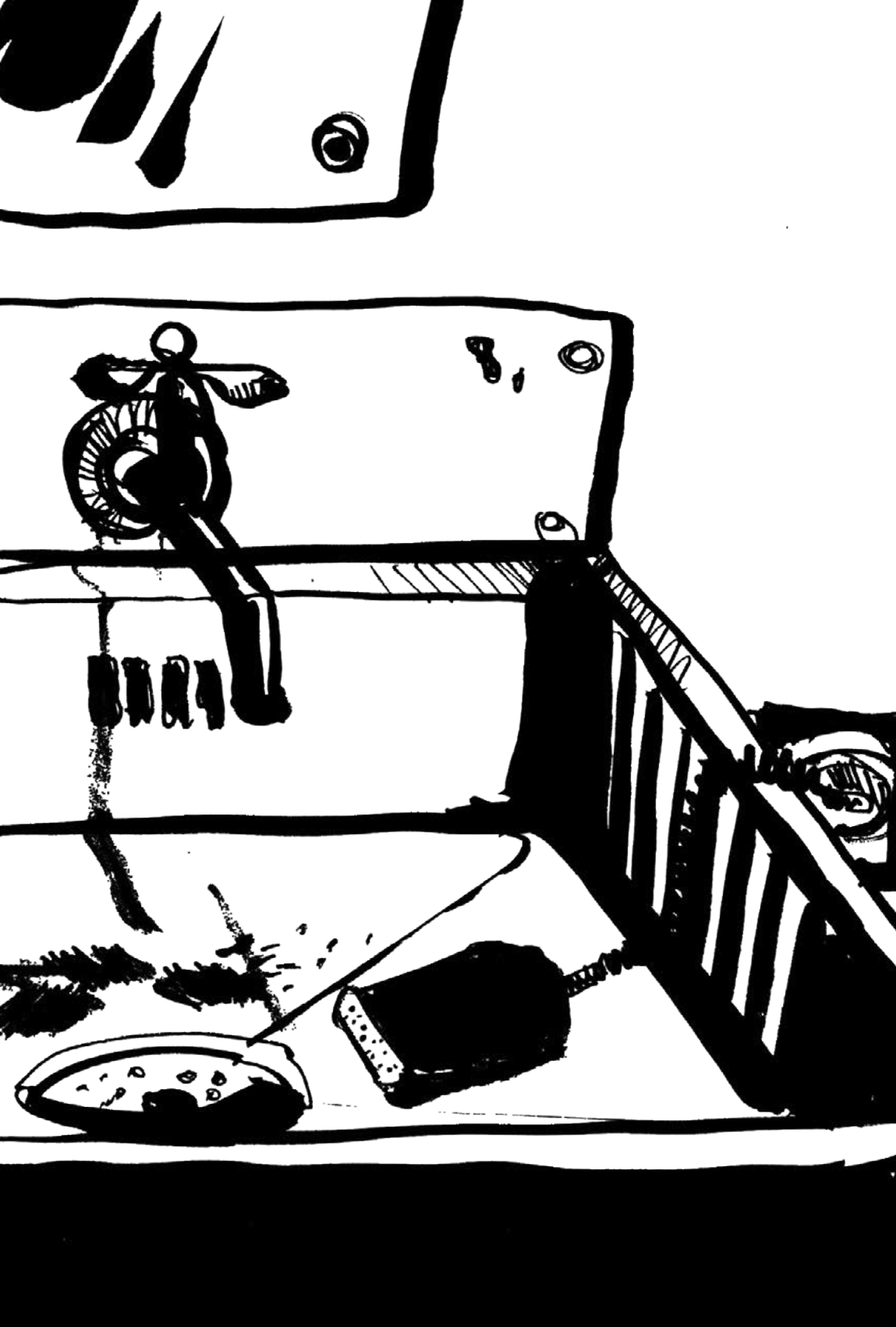

i garnki, żeby nie kapało na podłogę. Tuż obok mieszkała duża, prosta dziewczyna ze wsi imieniem Lili, miała niebywałe piersi. Powiedziała mi, że mąż bił ją tak mocno, że pluła krwią. Uciekł do Włoch i teraz mieszkał z jakąś hrabiną. Opowiadała mi mnóstwo rzeczy, w większości zmyślonych. Mówiła, że mnie kocha, co akurat mogło być prawdą, i dlatego nie pozwalała mi używać prezerwatywy i namawiała mnie, żebym w niej kończył, co jednak niezbyt mi się uśmiechało. Codziennie rano szedłem do pracy. Willa była w dobrym stanie, właściciel nie miał pozwolenia na rozbiórkę, więc kazał nam powyrywać drzwi i okna, zerwać podłogi, wybić dziury w ścianach wewnętrznych, a resztę miały zrobić warunki atmosferyczne. Nie zamierzałem nigdy wrócić do kraju, nie myślałem o przyszłości. Nie mogłem wtedy wiedzieć, że sześć lat później obok stojącego na światłach samochodu Garrity'ego zatrzyma się motocyklista i strzeli mu w głowę przez otwarte okno – prawdopodobnie robota Rosjan, którym brat Garrity'ego naraził się tuż po wyjściu z więzienia. Wieczorem wracałem z pracy i zwykle upijałem się z Lili, słuchałem opowieści o rozmaitych miliarderach i geniuszach, którzy próbowali ją uwieść. Lili miała sofę w panterkę i zdumiewającą kolekcję pluszaków: słonie, króliki, misie, żyrafę, pingwina, lwa, tygrysa, E.T. oraz tyranozaura. Miała też całkowicie wygoloną cipkę, pierwszą, jaką w życiu widziałem – wtedy to jeszcze nie było tak powszechne – i pewnego wieczoru, po ciężkim dniu pracy przy niszczeniu dziedzictwa narodowego, klęcząc przed nią, ubraną tylko w lśniące czarne, sięgające ud buty na obcasie, błagałem, by pozwoliła mi wtulić w nią twarz – była tak gładka, że nie mogłem przestać o niej myśleć. Tamtego dnia skuwaliśmy dach, te wszystkie czerwone płytki, a kiedy już kończyliśmy, lunął deszcz, woda przelewała się przez krokwie na dół, do wnętrza, zalewała bielutkie ściany i stiukowe ozdoby nad resztkami podłóg. Przyjechał właściciel i podziwiał postępy prac. Kiedy wróciłem do domu, mój dach też przeciekał; rozstawiłem garnki, umyłem się i poszedłem do Lili, by się odprężyć. Tymczasem deszcz zmienił się w śnieg, miasto powoli zamarzało, a to znaczyło, że nie mam już pracy, bo pogoda sama zrobi resztę. Wypiłem więc kilka drinków i oto klęczałem

przed nią, a ona rzekła: „No, powiedz mi prawdę, powiedz, skąd się wziąłeś w tym kraju, a pozwolę ci się do niej przytulić". Objąłem ją za uda i odparłem: „Lili, to było tak, że ukradłem milion dolców gangsterowi i uciekłem na Bałkany z jego ślicznotką". Pamiętam tylko, że cała się zatrzęsła ze śmiechu, trzęsły się nade mną jej wielkie piersi, gdy próbowałem przywrzeć twarzą do jej krocza, śmiała się głośno, a razem z nią śmiały się usadowione na oparciu sofy wszystkie jej pluszowe zwierzęta.

Na Green Street

Jon Boilard

Przełożył:
Marcin Wróbel

Ilustracje:
Łukasz Golędzinowski

Liternictwo:
Marta Olczak

Projekt graficzny i skład:
Ada Strzelczyk

8

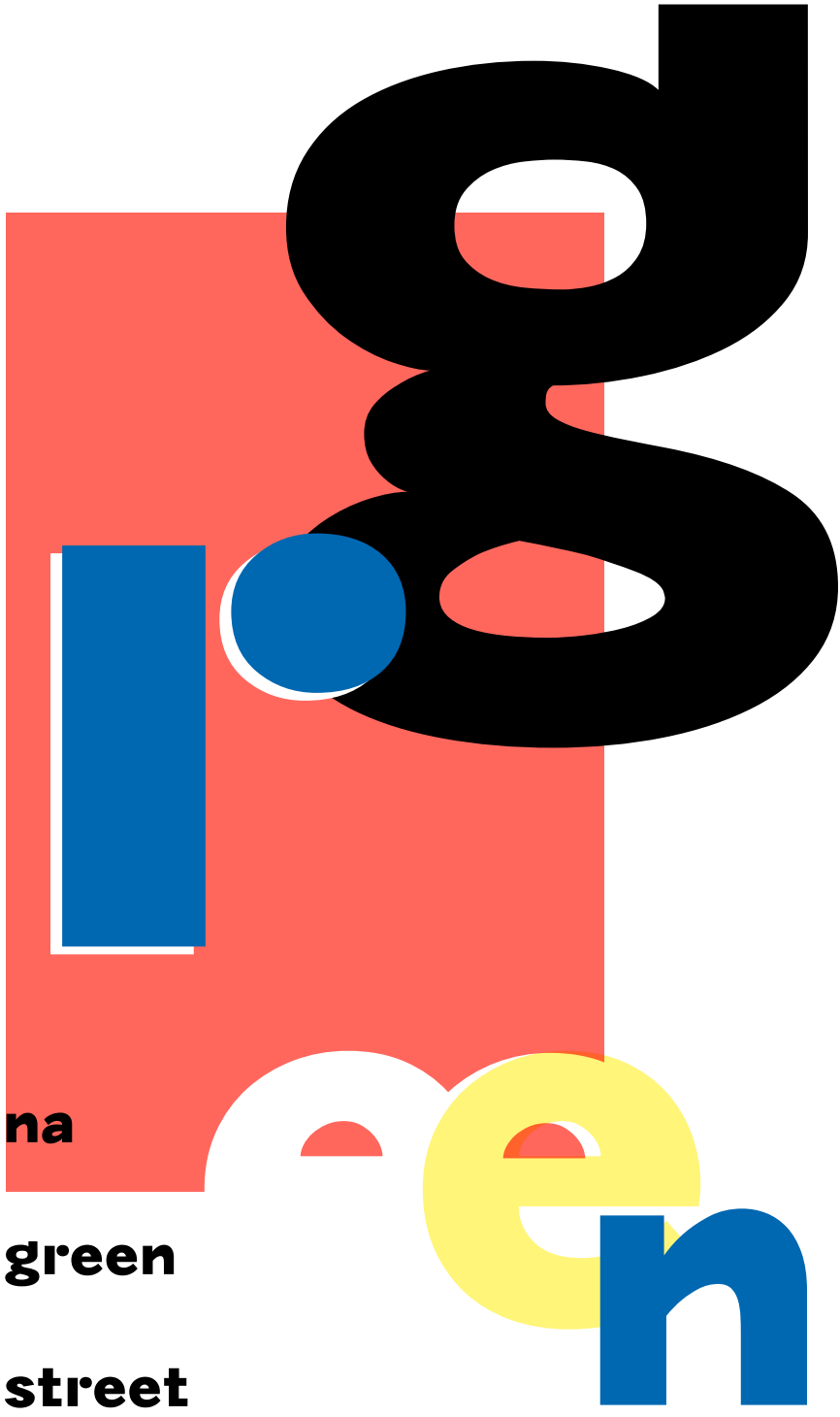
na
green
street

Otwieram oczy, a Carol Doda mówi, żebym wypierdalał. Potem, chyba po paru godzinach, siedzę na piętrze i myślę, jak tu najszybciej się wykończyć. Z oddali dobiega wycie syreny przeciwmgielnej, ostrzegającej statki zbliżające się do klifów. Przeciągły, przygnębiający niski dźwięk. W ustach czuję smak wczorajszej wódy. Obok mnie na materacu leży Nikki Kochana – ochrzciłem ją tak na pamiątkę piosenki Prince'a. Chrapie, jej nowe cycki unoszą się pod kołdrą, czuję woń jej oddechu. Wcale nie najgorszą: goździkowe fajki, guma cynamonowa. Nadal ma śliczną buzię. Przez okno wychodzące na Green Street wdzierają się podmuchy chłodnego powietrza, więc okrywam białym prześcieradłem jej blade nogi; chcę ją chronić, zapewnić jej ciepło i bezpieczeństwo. Odwraca się na bok, tyłem do mnie. Zamykam oczy.

Z dołu dobiegają śmiechy pijaków grających w bilard w Gino & Carlo's, a zapach pizzy z Golden Boy miesza się z zapachem naszego wcześniejszego, pospiesznego i bezsensownego seksu. Wyłażę z wyra, macając po podłodze w poszukiwaniu gaci i koszulki. Ubieram się, wkładam buty. Zdążę jeszcze coś chlapnąć przed zamknięciem, o ile Młodszy Frankie nie jest na mnie zbytnio wkurzony. Nikki pewnie się przestraszy, jeśli się obudzi i zobaczy, że zniknąłem razem z jej lekarstwem, ale teraz nie mogę się tym przejmować. Muszę odzyskać równowagę.

Młodszy Frankie na mój widok kręci głową, ale ściąga z półki przykurzoną flaszkę Old Crow i nalewa czystą whisky na kostki lodu. Podsuwa mi ją bez słowa, ja też się nie odzywam, bo od lat znam się z jego starym. Na krawędzi szklanki przysiada muszka owocówka. W telewizorze mecz Giantsów, Barry Bonds posyła piłkę do zatoki San Francisco. Robię z whisky, co należy, czując, jak rozgrzewa mi przełyk. Tom Linehan zachodzi mnie od tyłu i masuje mi ramiona jak asystent bokserski przed walką. Patrząc w lustro, z trudem rozpoznaję własną gębę. To już nie jestem ja. Pete Crudo znęca się nad repertuarem Sinatry. Kiedyś śpiewał w Vegas. Nadal ma apartament w Boca i mówi o Sammym Davisie per „pokurw nad pokurwami". Siada obok mnie i stawia kolejkę za kolejką, aż znów chce mi się pić. Zawsze jest taki

opiekuńczy. Potem pojawia się Tony Machi, ma ze sobą latarkę i reklamówkę pełną ślimaków, które pozbierał na drodze do Coit Tower. Potrzyma je tydzień w kartonie, później obtoczy w panierce z mąki kukurydzianej i podsmaży na masełku. Mówi mi o tym dwa razy, wszystko powtarza dwukrotnie. To miasto jest pełne świrów, a ja jestem największym szajbusem.

Potem robi się jakieś zamieszanie w okolicach kibla i Starszy Frankie prosi mnie, żebym się tym zajął, bo na tym właśnie polega moja robota. Obiecuje mi darmową kolejkę. Jakiś studencik wybił dziurę w ścianie z dykty, bo nie trafił w czarną bilę. Jest zbudowany jak piłkarz i próbuje się bronić, ale zbytnio się waha, by to miało jakiś sens. To chyba najgorszy błąd, jaki możesz popełnić, startując do takiego gościa jak ja. Nikki Kochana twierdzi, że na kilometr czuć ode mnie wrednym sukinsynem, i możliwe, że ma rację. Zaciągam gościa w zaułek i spuszczam mu łomot tak długo, aż przestaje się ruszać. Nie czuję się jak wredny sukinsyn. Niczego już nie czuję.

88 Siadam na wyszczerbionym, żółtym krawężniku mokrym od mżawki i skręcam sobie solidnego papierosa, żeby trochę odsapnąć. Kopie w płuca jak trzeba. Parka odpicowanych dzieciaków wychodzących z nowego bistro stara się nie zauważać bajzlu, jaki narobiłem. Uśmiecham się do nich, macham i puszczam kółka z dymu. Wyobrażam sobie, jak to wygląda. To wcale nie taki najgorszy sposób na zejście z tego świata, z mordą rozbitą o asfalt. Ale koleś przeżyje, skończy się na paru szwach i nadwyrężonych żebrach. Mgła gromadząca się za rogiem wygląda jak przyczajona banda duchów, z kanału wyłazi szczur, rozglądający się za czymś do żarcia. Nie jem od czterech dni; Nikki gotuje, ale ja nie biorę niczego do ust, może w ten sposób uda mi się zniknąć. Ze szczeliny w chodniku wyrasta jakaś wątła roślinka z malutkimi czerwonymi kwiatami.

Młodszy Frankie szoruje podłogę, Starszy podlicza dzisiejszy utarg. To był udany wieczór. Daje mi trochę kasy za przysługę i odkłada kilka banknotów, żeby jutro połatać ścianę. Dopijam whisky i mówię im dobranoc. Starszy Frankie całuje mnie po europejsku w oba policzki i zamyka knajpę.

Mój klucz bez trudu przekręca się w zamku. Nikki Kochana kuli się w kącie, podciągając kolana pod brodę. Czyli jednak się obudziła i przestraszyła, a mi teraz głupio. Siadam obok, obejmuję ją ramieniem i mówię, że wszystko będzie dobrze. Kołyszę ją w objęciach, powtarzając to bez końca.

Chwilę później zaczyna mi wierzyć, już się nie trzęsie, opiera głowę na moim ramieniu. Jej serce trzepoce jak motyl. Przez otwarte okno wpadają krople deszczu. Czuję go na twarzy i zakrwawionych knykciach. Nikki wstaje i zapala kadzidełko, a ja sięgam po kartę biblioteczną i dzielę porcję spida na szklanym blacie stolika. Ściąga kreskę, a potem robi ten swój striptiz. W sumie bardziej dla siebie niż dla mnie, musi się czuć piękna i pożądana. Klaszczę. Naga klęka przede mną z uśmiechem, po czym przysuwa twarz do mojego krocza. Gapię się na jej łupież i ciemne odrosty. Z cichym jękiem rozpina mi rozporek. Z okolic Chinatown słychać wycie syren, na parapecie migocą świece. Zamykam oczy, czując ciepło jej ust.

Kiedy matka mówi nam, że Ciota, mój brat, ma innego ojca, on tylko przeciera oczy, choć myślę, że to bardziej reakcja na koks, który przed chwilą wciągnął do nosa, niż zaskoczenie wiadomością. Mój drugi brat, Jake, wyzywa matkę od dziwek. Jest najstarszy i był w wojsku. Siedzimy w kuchni, kończąc rodzinną naradę. Wypiłem całą sherry, jaką znalazłem w domu, i wszystko inne też. Kilka dni temu dowiedzieliśmy się, że jakiś robotnik znalazł na balustradzie mostu Golden Gate portfel ojca i poleciał z tym na policję. Gliny sprawdziły przypływy i odpływy i jakiś czas później znalazły jego ciało na Baker Beach. Morska woda nie obeszła się z nim najlepiej. Od lat już nie gadałem ze starym i w sumie nawet nie pamiętałem, o co się pożarliśmy; ciągle miał jakiś problem. I zawsze mi się wydawało, że kiedyś skoczy.

– Dobrze, że ojciec tego nie dożył – mówi Jake, mając oczywiście na myśli zaskakujące wyznanie z zamierzchłej przeszłości naszej matki. Potem żegna się znakiem krzyża, na koniec dotykając palcami ust. – Choć z drugiej strony to sporo wyjaśnia – dodaje.

Chcę coś powiedzieć, ale całkowicie straciłem zdolność mówienia.

Mama nie mówi, z kim spłodziła Ciotę, każe nam się odczepić. Nie mam prawa jej osądzać, tym bardziej że Nikki znów mnie wykopała i mieszkam w zepsutym kamperze stojącym w garażu matki – tym samym, którym dawno temu jeździliśmy do Yosemite, kiedy jeszcze chciało nam się udawać normalną rodzinę. To tylko na jakiś czas. Nie spodziewam się, żebym miał długo pożyć. Nikki Kochana przestała mnie potrzebować, bo durny psychiatra przepisał jej lepsze piguły. Miałem świadomość, że to się tak skończy, właściwie od samego początku, ale było to bolesne. Wystawiła moje graty za drzwi, zapakowane w worek na śmierci. Dołączyła karteczkę. Przerabialiśmy to już wcześniej.

Mama nastawia płytę Binga Crosby'ego, igła zaczyna skakać, gdy Jake i Ciota biorą się za łby, kłócąc o spadek. Nie da się powiedzieć, żeby stary był bogaty, ale zostawił trochę ziemi na północy i fundusz emerytalny. Nasza rodzicielka próbuje ich rozdzielić, waląc metalową laską, i wykłada się przy tym jak długa na podłogę.

– Nie ma jak w domu – udaje mi się w końcu wymamrotać.

Widzę, jak przetacza się na brzuch i wpełza pod stolik; wygląda jak żółw. Moi bracia naparzają się dalej, nie zwracając uwagi na jej bezsilne gesty. Co za widok. Cała ta sytuacja jest tak zajebiście zabawna, żałosna i smutna, że wybucham śmiechem. W końcu pomagam matce wstać, a Jake wyrzuca Ciotę przez kuchenne okno. Mama łapie się za pierś. Sąsiedzi drą się po hiszpańsku, wzywając policję. Podjeżdża karetka przywołana przez funkcjonariusza Lopeza i zabiera poobijanego Ciotę oraz matkę z atakiem serca. Jadą razem do szpitala miejskiego w San Francisco, gdzie zostaną przez dobę na obserwacji. Alabama Street przez Cesar Chavez do Potrero Avenue. Gliniarze z dzielnicy Mission to latynoscy twardziele, więc Jake dostaje gazem po oczach i strzał z tasera, a potem go zakuwają w kajdanki i odwożą do aresztu przy Bryant. Rano go odbiorę, ale to miłe tak dla odmiany mieć całą chatę dla siebie. Kładę się na matczynym łóżku, odkrywając, że przesiąkło jej najgorszymi smrodami.

Stojąc w wąskim zaułku pomiędzy szyldem „Jezus cię kocha" a wypożyczalnią filmów porno, popalam jedną z tych cienkich fajek od Nikki. Znów jesteśmy razem, jebana karuzela kręci

się dalej. Mija północ. Gdzieś z głębi alejki słychać miauczenie zdychającego kota, więc podchodzę bliżej i przystaję przy ogrodzeniu. W oku biednego dachowca tkwi zardzewiały fragment przeciętej siatki, na którą się nadział. Może uciekał przed psem czy szopem albo zapędził się tu w pościgu za szczurem. Kot miota się na wszystkie strony, sycząc jak obłąkany, i wbija we mnie rozwścieczone spojrzenie ocalałego oka. Odczekuję chwilę, żeby się do mnie przyzwyczaił, i zachodzę od tyłu, mówiąc spokojnym, cichym głosem. Łapię go delikatnie i liczę do trzech, a potem jednym płynnym szarpnięciem zdejmuję z siatki i wypuszczam na ulicę. Znika tak szybko, jakby nigdy go tu nie było. Zostawia mi kilka zadrapań na ręce.

Nigdy nie wiedziałem, czy te dziewięć kocich żyć to błogosławieństwo czy klątwa.

Jako że jest niedziela, Nikki Kochana zapada w śpiączkę. Do drugiej w nocy tańczyła w The Hungry, a potem jeszcze miała prywatną imprezę. Wiem, co wtedy robi, ale to dobra kasa, zwłaszcza że najlepsze lata ma już za sobą. Zeszłego lata powiedziała mi, że młode laski z wielkimi cyckami zarabiają kupę szmalu i że słyszała od swojej wietnamskiej kosmetyczki o lekarzu w Redwood City, który ponoć robi najtańsze i najlepsze cycki w Północnej Kalifornii. Dałem jej całą kasę wygraną na konikach w Bay Meadows, a miesiąc później poszła na operację.

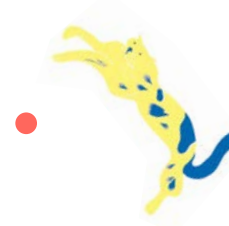

Teraz chrapie. Zmywam z siebie efekty spotkania z kotem, mieszam trochę Southern Comfort z ciepłym mlekiem i siadam na metalowym krzesełku, patrząc na śpiącą Nikki. Poduszka jest przemoczona, Nikki poszła spać z mokrymi włosami, bo lubi wskoczyć pod prysznic przed snem, po całej nocy macania się z obcymi facetami; wolę sobie nie wyobrażać, co wtedy czuje. Na podłodze wala się pusta fiolka po tabletkach, w szklance topią się resztki lodu. Śpi w moim starym podkoszulku na ramiączkach i bawełnianych bokserkach. Zastanawiam się, o czym śni. Mam nadzieję, że to coś miłego i że nie ma tam mnie. To dobra, porządna laska, zasługuje na więcej, niż mógłbym jej kiedykolwiek dać.

Potem stoję nad grobem mojego ojca, mając na sobie gajer pożyczony od mojego dobrego kumpla, Mike'a Shannona.

Na tylnym siedzeniu limuzyny walają się małpki z wódą, upycham po kieszeniach płaszcza opróżnione flaszki. Jadę z braćmi, matką i jej przyjaciółką, Florence. Zamykam oczy i budzę się w knajpie Tony'ego Nicka, kiedy Giantsi dostają spory wpierdol od Dodgersów. Jakiś koleżka w koszulce z napisem Los Angeles próbuje coś pyskować, więc zwalam go na glebę, a potem zasypuję gradem ciosów, ignorując jego wierzganie. Nie jestem wściekły, nie ma w tym żadnych emocji, tak już po prostu mam. Przemoc pozwala mi się skupić, świat spowalnia do tego stopnia, że mogę normalnie funkcjonować. Wszyscy wrzeszczą, żebym przestał, ale nie ma takiej możliwości. Z szafy grającej leci najlepsza piosenka Johnny'ego Casha. Ktoś drze się w słuchawkę starego telefonu z tarczą, próbując sprowadzić pomoc. Przez uchylone drzwi do środka przenika mgła. Trafione drewnianym krzesłem wylatują z zawiasów, wpuszczając świeże powietrze znad zatoki. Trzask tłuczonego szkła. Zauważam nieskazitelnie biały ząb, wbity w sam środek mojego środkowego palca prawej ręki. Lewą trzymam kogoś za kostkę.

Trzeba czterech umundurowanych żółtodziobów, żeby przygwoździć mnie do asfaltu pośrodku Green Street, a sierżant O'Barry śmieje się na cały głos, kierując ruchem wokół nas, i doradza swoim chłopakom, żeby odcięli mi krążenie tymi plastikowymi paskami, których używają zamiast kajdanek. Zwijał mnie już wiele razy. Obrażam jego matkę i strzykam śliną z whisky. Kopie mnie po mordzie, aż przestaję widzieć na jedno oko, a potem zjada kawałek pizzy z pepperoni i pieczarkami z lokalu obok, podczas gdy jego chłopcy upychają do spodni nieskazitelnie czyste koszule i próbują się doczyścić chusteczkami; pojętne dzieciaki. Usta O'Barry'ego lśnią od roztopionego sera. Potem wrzucają mnie do suki, a na posterunku polewają lodowatą wodą z węża, od której sinieje mi skóra. Dostaję za mały kombinezon więzienny i stoję w rogu celi, całkiem przemarznięty. Sierżant zagląda do środka.

– Przykro mi z powodu twojego starego – mówi. Znali się jeszcze z czasów chrześcijańskiej młodzieżówki.

Budzę się w miękkim łóżku, boli mnie głowa, słońce świeci mi prosto w oczy. Zaczynam łzawić, więc opuszczam roletę. Nie pamiętam, żeby mnie zwolnili, ale generalnie słabo

u mnie ostatnio z pamięcią. Z łazienki słychać radio, ktoś wali młotkiem w ścianę, idealnie do rytmu z piosenką. Zaczynam kojarzyć; jestem u Lorraine przy Market Street. Czasem pozwala mi się przekimać. Rano pracuje jako kelnerka w małej knajpce na rogu California i Polk. Rzucam okiem na zegar wiszący nad kuchenką; zaczęła już zmianę. W powietrzu pachnie owsianką. Przygotowała dla mnie pełną miskę, zostawiła ją na ladzie, więc biorę łyżkę i wywalam wszystko do kosza, całą tę brązową breję z rodzynkami i orzechami. Na samą myśl o jedzeniu przewraca mi się w żołądku. Siadam na krześle i wypalam fajkę. Potem następną. W końcu wstaję i rzygam do zlewu. Młotek za ścianą nadal postukuje. Stojąc pod prysznicem, mogę policzyć sobie wszystkie żebra. Rury wyją, para wypełnia kabinę.

Budzę się, gdy Lorraine szarpie mnie za ramię. Ma na sobie za dużą koszulkę, sięgającą do kolan. Materiał jest znoszony i pożółkły, obrazek reklamuje sernik. Siadam, przecierając oczy, a ona gładzi mnie po głowie. Trwamy tak przez chwilę. Już prawie wieczór, dostaję dreszczy. Uśmiecha się do mnie. Jezu. Ten uśmiech zawsze daje mi nowego kopa.

– Zabijesz się kiedyś, chłopaku.

– Pieprzenie, dziewczyno.

– Tylko nie rób tego tutaj, dobra?

– Dobra.

Wstaję, a ona mnie obejmuje. Pachnie od niej balsamem, dzięki któremu jej skóra jest gładka jak polerowane drewno. Śliczna dziewczyna. Przez chwilę daję się przytulać, a potem już nie, więc kręci głową, unikając patrzenia mi w oczy. Szukam ciuchów, ubieram się. Lorraine zajmuje się swoją robotą: układaniem zakupów w lodówce, podnoszeniem mokrego ręcznika, który rzuciłem na podłogę obok łazienki, odsłuchiwaniem wiadomości na automatycznej sekretarce. Jedna z nich to paskudnie brzmiący monit z firmy kredytowej. Wygląda na to, że wisi im sporo kasy. Jestem jej winien dużo więcej niż pieniądze, więc kiedy nie patrzy, zostawiam na stoliku pod lampą resztki forsy, którą dostałem od Starszego Frankiego. Przy odrobinie szczęścia powinno jej to pomóc przetrwać. A mnie wyszły fajki.

– To na razie – żegnam się.

– Możesz zostać.

– Nie.

– Napij się ze mną.

Kręcę głową. Kusząca propozycja, ale muszę wyjść na zewnątrz. Tak już mam: źle się czuję w zamkniętych pomieszczeniach, blisko ludzi, we własnej skórze.

Odprowadza mnie do drzwi. Odsuwam zasuwę i zatrzymuję się z jedną nogą za progiem, czując dotyk jej dłoni na ramieniu.

– Zadzwoń – prosi.

– Dobra.

Pewnie tego nie zrobię. Nie będę w ogóle pamiętał tej rozmowy. Nie mówię jej tego. Nic nie mówię, więc zamyka drzwi. Trzaska zasuwa, wciskam dłonie do kieszeni, żeby przestały się trząść. Winda nie działa, więc schodzę pięć pięter po schodach. Śmierdzi szczyną. Na parterze muszę przeskoczyć nad jakimś ćpunem, śpiącym na podłodze. Wychodzę na zewnątrz, niebo jest błękitne, stado gołębi obsrywa chodnik. Zza zakrętu wypada poobijana taksówka, mija mnie o centymetry, w końcu kierowca odzyskuje panowanie i wóz znika. Nawet nie mrugnąłem. To mogło się tutaj skończyć. Potem słucham, jak John P. narzeka, że musi zmywać naczynia. Stoi za barem u Maria, na rogu Grant i Green. Większość ludzi przychodzi się napić, ale są też tacy, którzy zamawiają panini, sałatkę i ziemniaki smażone na starej oliwie. W dzieciństwie grałem z Johnnym w piłkę. Kawał sportowca. Dziś nikt by nie poznał. Sam ledwie pamiętam, jak to wtedy wyglądało.

– Straszne gówno – mówi.

Nie przestaje nawijać o tym zmywaniu, więc ignoruję go jak mogę, bo kompletnie mnie to wali. Piję, aż w końcu znów jestem sobą. John chciałby, żeby Mario zatrudnił meksykańskich pomywaczy, ale stary jest skąpy i wcale tego nie ukrywa. Do tego wierzy, że zaraz by go obrobili. To rasista, nienawidzi wszystkich nie-Włochów. Nienawidzi też kilku swoich rodaków, ale głównie skupia się na obcych. Dopóki Johnny mi nalewa, kiwam głową, udając, że go słucham. Z szafy grającej leci jakiś gówniany kawałek. Za chwilę rozwalę ją na kawałki. Zamykam oczy i próbuję się jakoś ogarnąć. Potem siedzę

na ławce przy Washington Square. Mam przed sobą ceglaną ścianę, ocienioną przez wysokie drzewo. Zapach świeżej focaccii. Dzieci zbiegające ze schodów kościoła św. Pawła. Kolejka do baru Mamy. Samochody, autobusy poznaczone graffiti i kurierzy na odrapanych rowerach. Smród spalin.

Kevin Moretti zatrzymuje swoją białą półciężarówkę przy Columbus i naciska klakson. Macha do mnie ręką. Ma robotę, gdybym akurat potrzebował kasy. Jest kierownikiem ekipy malarskiej. Robią głównie rezydencje. Wsiadam i jedziemy pod chatę w Sunset District. Robota w środku. Mam dostać dwie dychy za godzinę. Wracamy przez Kearny na California i dalej do Presidio. Park przechodzi w Dziewiętnastą Aleję i jedziemy do Taraval Street. Podnosi się mgła, a kiedy parkujemy na zakładkę przed Tennessee Grill, dostaję dreszczy z zimna. Teraz w tej części miasta widać głównie Azjatów. Kevin podrzuca mnie z powrotem i zostawia klucze, dom jest zupełnie pusty, jeśli nie liczyć kubłów z farbą, pędzli i folii do zabezpieczenia podłóg. Maluję kuchnię na kremowo, jadalnię w odcień fioletu, korytarz robię na brąz. Ściany są już zagruntowane, więc robota idzie gładko. Na podwórku za domem plenią się chaszcze i pomarańczowe kwiaty splątane z winoroślą. Siadam na werandzie i wypalam fajkę z paczki, którą dostałem od Kevina w ramach zaliczki. Słyszę tramwaj zjeżdżający po miedzianych torach ze wzgórza w stronę Ocean Beach, gdzie czasem przypływają wieloryby, żeby zdechnąć. Nim ptaki, psy i muchy rozprawią się z truchłem, smród rozchodzi się na kilka kilometrów.

Kevin wraca z sześciopakiem. Opowiada mi o grze w golfa. Wynajmuje sezonowo chatę w Palm Springs. Odsiedział trochę w Lompoc, czego dowodem toporny więzienny tatuaż na jego karku. Palimy fajki, pijemy piwo, potem zamykamy chatę na klucz, odstawiamy auto do garażu i ruszamy z buta do Dragon Lounge. Kiedyś lokal należał do Faheya. Kevin stawia, parę razy idziemy do kibla, żeby wciągnąć po kresce. Knajpa zapełnia się gliniarzami, schodzącymi ze służby w okolicach Taraval Station, niektórzy nic do mnie nie mają, inni wręcz przeciwnie. Kevin się niepokoi. Telewizor pokazuje Giantsów. Santiago zalicza home run. Młoda Chinka stojąca za barem ma krótką spódniczkę, koszulkę na ramiączkach

i podzwaniające srebrne kolczyki. Wszyscy gliniarze ślinią się na jej widok i w sumie wcale im się nie dziwię.

Potem Nikki Kochana nie chce mi otworzyć drzwi. Mój klucz nie pasuje do zamka. Nie wiem, co robię. Po co w ogóle zawracam sobie tym głowę. Ale jest z nią jakiś facet, a ona doskonale wie, że zrobię z niego miazgę. Będzie musiała wzywać policję. Mam to gdzieś. Wyzywam ją od dziwek, choć wiem, że to nieprawda, przynajmniej nie w tym sensie, jaki próbuję nadać temu słowu. Błaga mnie z płaczem, żebym sobie poszedł. Wygląda na to, że zapomniała już, jak bardzo byłem jej kiedyś potrzebny. Mówię to wprost, powtarzając wszystkie te bzdury o tym, jak szybko zapominamy. Tłumaczę, że chcę tylko pogadać, i za pierwszym razem sam w to wierzę, ale teraz mam też ochotę ją wyruchać. Zabawne, jak to działa. Ktokolwiek u niej siedzi, ani piśnie, więc pewnie znam go z okolicy. Albo on mnie zna i wie, co mu grozi. Potem przychodzi po mnie Ciota. Nikki dodzwoniła się do naszej matki. Brat patrzy na mnie wielkimi przestraszonymi ślepiami. Wszyscy się mnie boją, jak jestem w takim stanie.

– Chodź – mówi. – Zwijamy się.

– Jebana dziwka.

– Chodź.

Ciągnie mnie za ramię, a ja mu na to pozwalam, bo jest moim bratem i mięczakiem.

– Masz szczęście, że nie zadzwoniła po gliny.

Odpowiadam, że to on ma szczęście. Patrzy na mnie.

– Że ci nie przypierdoliłem – wyjaśniam.

– Aha. Myślałem, że powinienem być szczęśliwy, bo mam brata, z którego mogę brać przykład.

– To też – próbuję się nie śmiać.

Nie udaje się. Parskam, on też. Ciota potrafi mnie rozbawić. Ma to od zawsze, nawet jak byliśmy dzieciakami. Mówi, że Jake wciąż się wkurza o tamten wieczór. Głównie na matkę, ale na niego też. Tłumaczę, że nie powinien się tym przejmować. Jake pewnie się zgubi na parę tygodni, postrzela do kaczek nad Russian River, a potem o wszystkim zapomni i im wybaczy. Nie potrafi się długo wściekać, to nie w jego stylu. Ciota przyznaje mi rację, zresztą jeśli nie liczyć łba, poobijanego podczas niedzielnej bójki z bratem, czuje się całkiem

nieźle. Umówił się z jakimś facetem w Kimo. Bierzemy taryfę i jedziemy na Pine Street, ja płacę. Otaczają nas same lachociągi, ale mam to gdzieś. Mój brat zamawia jakiegoś gejowskiego drinka na bazie martini. Stawiam i jemu, i jego kumplowi Nickowi, który wygląda na miłego gościa. Cieszy mnie to, Ciota zasługuje na odrobinę szczęścia. Potem nadjeżdża tramwaj, przepełniony turystami ciągnącymi do dzielnicy bankowej. Czuję zapach pizzy od Greka i ostryg od Swana przemieszany z wonią kwiatów z pobliskiej kwiaciarni.

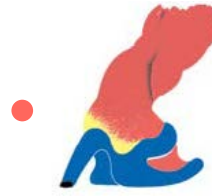

John P. twierdzi, że Mike Shannon posuwa Nikki za moimi plecami. Nic nie mówię. Trwa to już ponoć od paru miesięcy, a ja dowiaduję się ostatni. Boli mnie głowa. Rozglądam się, komu by tu przywalić, ale knajpa jest pusta. Polewa mi kolejnego jacka danielsa. Wreszcie ma suchą koszulę, Mario zatrudnił meksykańskiego pomywacza. Potem nasączam pożyczony od Mike'a garnitur benzyną i podpalam go na chodniku. Pani DiMartini drze się na mnie z pierwszego piętra, że zaraz wezwie straż pożarną. Potem Lorraine zaprasza mnie na kolację. Przygotowała wołowinę na chrzciny wnuka i zostało jej trochę jedzenia. Purée z ziemniaków z czosnkiem. Sałatka z pomidorów z kozim serem. Stawia przede mną talerz. Odrzuca mnie na samą myśl o jedzeniu. Przyglądam się przez kilka minut, a ona siedzi naprzeciwko i mnie obserwuje. Potem opowiadam jej o Nikki Kochanej. Wygląda na przygnębioną, przysuwa się z krzesłem i bierze mnie za rękę, płacze. Na moich wychudzonych nadgarstkach widać błękitne żyły. Uśmiecha się. Jezu. Znów ten uśmiech. Czuję, że za chwilę sam się uśmiechnę.

– Kurde, za chwilę zostanie z ciebie sama skóra i kości – mówi. – Jesteś wycieńczony.

– Tak.

– I znów zostaliśmy sami.

Cieszy się, że Nikki zniknęła, choć nigdy tego nie przyzna. Chce mnie naprawić. Lubi takie projekty. Wstaje i pozwala, żebym zdjął jej majtki. Staję za nią, wsuwam się do środka i tak obijamy się o siebie przez jakiś czas. To mój sposób na to, by chociaż na chwilę wszystko wróciło do normy. Nie znam innych metod, zostało mi tylko to oraz chlanie, ćpanie

i napierdalanie. Lorraine chce, żebym doszedł, ale nie daję rady, więc się denerwuje i zaczyna płakać, próbujemy dalej, aż w końcu jesteśmy zbyt zmęczeni. Finał nie jest dla mnie istotny, ważne są starania. Kiedy już dojdę, to zawsze jest rozczarowanie, ogarnia mnie pustka i osamotnienie.

Zasypia, a ja idę do łazienki i siedzę tam tak długo, aż w końcu się spuszczę. Zmywam z palców cały ten lepki syf. Wracam do stołu, na którym wciąż czeka jedzenie, nabijam na widelec trochę pieczeni z odrobiną tłuszczu i odgryzam kawałek. Odwykłem od żucia, więc jem powoli, ale dławię się tylko trochę, a mięso jest dobre. Piętką z czerstwego chleba wybieram resztki sosu. Ponad dachami wiszą białe chmury, przez które przebija się słońce, a na drutach telefonicznych przysiada chudy brązowy ptaszek. Zaskoczony ich wibracją trzepoce gwałtownie skrzydłami i gdzieś znika, ale wraca po paru sekundach. Wokół krążą też inne, szare i nieco większe, z żółtymi oczami, ale ten się wyróżnia uporem. Przyglądam mu się przez wieczność. Potem zaczyna boleć mnie głowa, więc kładę się do łóżka obok Lorraine. Szepce mi do ucha jakieś słodkie bzdury, aż w końcu prawie jej wierzę i powoli zamykam oczy.

Ucieczka z Moskwy

Philip Ó Ceallaigh

Przełożyła:
Dobromiła Jankowska

Ilustracje:
Joanna Okoniewska

Liternictwo:
Ewelina Turkot

Projekt graficzny i skład:
Marta Kamieńska

DZIEWCZYNKA Z MOSKWY

Budzę się, drżąc na całym ciele. Widzę tylko ścianę przed sobą. Owijam się kocem. Jest za mały. Panuje kompletna ciemność. Kiedy znowu się budzę, zrobiło się jasno i nie rozpoznaję pokoju, w którym jestem. Dostrzegam puste butelki; z przewróconej popielniczki koło mojej głowy obrzydliwie śmierdzi. Leżałem na lewym boku i skleiło mi się lewe oko. Ściany malowano tutaj bardzo dawno temu, a blade zimowe światło przebija się przez brudne okna. Odwracam się, by przyjrzeć pomieszczeniu. Dwa krzesła, jedno leży na boku. Drugie stoi na czterech nogach i spogląda z wyższością wprost na mnie, jakby miało własną osobowość, jakby się do mnie zwracało, niczym bokser, który znokautował rywala i czeka, aż ten się podniesie. Czuję bolące żebra. Leżę w ubraniu i butach i jest mi strasznie zimno; to takie zimno, co przeszywa do szpiku kości.

Podnoszę się z podłogi i staję przy oknie. Gęsty śnieg opada grubą warstwą na dziwny biały świat. Jestem chyba na szóstym, siódmym piętrze, ale nie rozpoznaję okolicy. Bloki w kolorze popiołu, małe czerwone auto przebija się przez śnieżne zaspy. To może być każda część miasta.

Jest tu więcej pokoi, chodzę między nimi, nie spodziewając się nikogo spotkać, ale mimo to dość ostrożnie. Pierwszy okazuje się pusty, jak ten, w którym spałem, z wyjątkiem pojedynczego, poplamionego materaca. Obok leży kilka czasopism. Przeglądam je. Dwie kobiece gazety. Patrzę na zdjęcia w środku. Znajduję artykuł o tym, jak osiągnąć lepszy orgazm, i nawet zaczynam go czytać. Trzecia gazeta to program telewizyjny sprzed roku. W kolejnym pokoju stoi pełno starych sprzętów owiniętych folią. W większości to ogromne meble, jakimi ludzie zagracają swoje małe pokoiki, oszklone gablotki i półki, na których wystawia się różne przedmioty, filiżanki do kawy, spodeczki i figurki pastereczek. W kuchni mruczy podłączona do prądu lodówka; dziwne, że cokolwiek tu działa. W środku stoi kilka słoików, chyba z powidłami, pewnie śliwkowymi, są gęste i czarne. Zaschło mi w ustach. Znajduję jakiś kubek, opłukuję go i piję wodę z kranu. Znajduję liściastą herbatę, jest też czajnik, ale wolałbym niczego nie dotykać. Czuję się tu jak intruz. Wychodzi na to, że albo ja, albo ludzie, z którymi tu byłem, włamali się do mieszkania, a właściciel może pojawić się w każdej chwili. Nie zdołam wytłumaczyć mu swojej tutaj obecności. Wszystko zresztą jest brudne i klejące, moje dłonie też. Nie ma mydła. Opłukuję więc ręce i wycieram je o spodnie. W lodowatym powietrzu pozostają wilgotne i zimne.

Mam na sobie tylko koszulkę, a na zewnątrz tych nieogrzewanych pokojów śnieg pada tak gęsto, jakby to był film oglądany na przyspieszeniu. Nie mam jakiegoś strasznego kaca. To raczej gęsta, natrętna mgła, która ogarnia człowieka, kiedy alkohol wciąż krąży we krwi, a organizm jest niewyspany. Najbardziej doskwiera mi zimno. W łazience znajduję swoją koszulę – wymięta, wilgotna i śmierdząca leży w umywalce. Wrzucam ją do wanny i znów opłukuję ręce. Otrzepuję je, aż niemal całkiem wyschną. Są czerwone i bardzo zimne. Próbuję się wysikać. Choć pęcherz mam pełny, zaczyna lecieć dopiero po paru chwilach. Dźwięk spuszczanej wody jest denerwująco głośny.

Próbuję zebrać się do wyjścia, ale nie mogę znaleźć swetra, kurtki, ani nawet czapki czy szalika. Pamiętam, jak siedzieliśmy w samochodzie, na tylnym siedzeniu, wycieraczki szaleńczo odgarniały śnieg, dokądś jechaliśmy. Pamiętam dziewczynę siedzącą na moich kolanach, bo było ciasno, obejmowałem ją w talii, ona mnie za ramiona. Pamiętam, że byliśmy sami w przedpokoju i całowałem ją w usta. Pamiętam, że ten, który prowadził auto, odsuwał mnie od dziewczyny jedną ręką, tak zdecydowanie, aż nabrałem pewności, iż zrobiłem coś nieprzyzwoitego. Być może jednak wcale nie o to chodziło. Z pewnym zawstydzeniem uświadamiam sobie, że pewnie po prostu byłem zbyt pijany, by przeciwstawić się komuś panującemu nad sobą lepiej niż ja. Potem oni się całowali, a ja patrzyłem. Nie pamiętam nic więcej.

Zniknęły portfel, dokumenty i klucze. Wracam do pierwszego pokoju i zaglądam pod koc. Oczywiście nic tam nie ma. Na podłodze w przedpokoju, koło drzwi, pod małym stolikiem, na którym stoi telefon, leży mój portfel. Pusty. Przynajmniej zostały mi spodnie i buty. Czuję nagłą potrzebę, by koniecznie stąd wyjść.

Podnoszę słuchawkę i ze zdziwieniem stwierdzam, że jest sygnał. Już mam zadzwonić po taksówkę, kiedy przypominam sobie, że nie tylko jestem bez grosza, ale nie znam nawet adresu. Głowię się, do kogo by tu zadzwonić, kto może mi pomóc w tej sytuacji. Ale przecież nie stało się nic strasznego, po prostu chwilowo nie wiem, gdzie jestem. Nikt mnie nie skrzywdził, nie grozi mi niebezpieczeństwo. Zwyczajnie chciałbym z kimś porozmawiać – z kimś znajomym.

Oczywiście mam znajomych, niektóre numery wykręcałem wielokrotnie i zapamiętałem. Tyle że nie bardzo wiem, co miałbym powiedzieć. Wykręcam numer swojej byłej. Telefon dzwoni i dzwoni, ale gdy włącza się sekretarka, odkładam słuchawkę. I tak bym się nie odezwał. Potem wykręcam jakiś zupełnie przypadkowy numer i ktoś się odzywa, młoda kobieta, odchrząkuję więc i pytam: „Halo, taksówka?" „Słucham?" „Chcę zamówić taksówkę na lotnisko". Ona, że to pomyłka, ja przepraszam i nawet grzecznie się żegnamy.

Uczucie, że muszę szybko stąd wyjść, staje się coraz silniejsze. Odkładam słuchawkę, zerkam raz jeszcze do wszystkich pokoi i otwieram drzwi wejściowe. Nerwowo rozglądam się po korytarzu, wychodzę niezauważony, a drzwi same się zamykają. Napieram na nie, zdenerwowany, że nie mogę wrócić. Doznaję wrażenia, jakbym zostawił coś w środku, jak wtedy, gdy wychodzi się z domu i odruchowo sprawdza, czy zabrało się pieniądze, klucze, dokumenty. W moim przypadku odpowiedź brzmi „nie", ale muszę iść dalej.

Schodzę na dół. Na zewnątrz leży gruba warstwa śniegu, który wciąż sypie. Stoję w korytarzu i żałuję, że nie mam czapki. Zwykła czapka zakrywająca uszy wiele by zmieniła. To właśnie uszy zaczynają szczypać pierwsze.

Cóż, wciąż mam największy skarb każdego wolnego i niezależnego człowieka – parę porządnych butów – a czas już ruszyć w drogę. Otwieram drzwi i wychodzę w padający śnieg. Przez pierwszych kilka sekund jest nawet przyjemnie i myślę sobie, że wcale nie tak zimno, skręcam w prawo i idę wyludnioną ulicą, energicznie miażdżąc śnieg pod stopami. Dziwne, myślę, że śnieg tak skrzypi, gdy się po nim idzie.

Nie wiem, dokąd zmierzam, a po kilku minutach marszu wszystko wygląda tak samo – jeden dziesięciopiętrowy blok za drugim. Widzę drzewa, na których w bezwietrzny dzień śnieg zebrał się nawet na małych czarnych gałęziach warstwą dużo grubszą niż one same, jakby wszystko było pisane białym boldem. Muszę znaleźć jakąś większą ulicę, która pozwoli mi się zorientować, gdzie może być centrum i jak daleko jestem. Pierwsze płatki śniegu zdążyły się już wtopić w moje ubranie, a przecież w takim zimnie człowiek może umrzeć. Nie wiem, ile musiałbym tak

chodzić, żeby paść na ziemię i zamarznąć, ale nie da się znosić takiej temperatury w nieskończoność. Myślę o uchodźcach przekraczających górskie przełęcze, o badaczach Antarktyki, którzy na chwilę wyszli na zewnątrz, o alpinistach w zadymce przechodzących nad skałami, o oddziałach Napoleona uciekających z Moskwy. Oczywiście historia zna wiele przypadków ludzi zamarzających na śmierć, ale mnie się to nie przydarzy. W każdej chwili mogę przyznać się do porażki i wejść do jednego z tych anonimowych bloków, może znajdę nawet kaloryfer. Jeśli przedtem upadnę, prawdopodobnie zjawi się karetka i na czas zawiezie mnie do szpitala. Chociaż w miastach bywa i tak, że włóczędzy umierają z zimna.

Przyspieszam kroku, niemal biegnę, próbując jakoś wydostać się z tej absurdalnej sytuacji. Muszę tylko znaleźć większą ulicę i komunikację miejską. W końcu dostrzegam kogoś, kogo mogę zapytać o drogę, niską grubą kobietę na spacerze z małym psem, który w kamizelce z podpinką wydaje się lepiej niż ja przygotowany do panujących warunków. Kobieta ma twarz schowaną niemal całkowicie pod czapką i szalikiem, ale gdy się zbliżam, spogląda na mnie ze strachem. Muszę być jakimś szaleńcem, obejmuję się ramionami i kulę z zimna, śnieg wpada mi we włosy, szczękam zębami i powtarzam: „Gdzie jest ulica? Ulica?". Dlaczego ten wariat napada ją w zadymce i bredzi coś o jakiejś ulicy, kiedy ona chce po prostu zaprowadzić Puszka za róg, by zrobił kupkę? Biedny Puszek, ledwo może iść, brnie po pachy, a śniegu przybywa! „Jaka ulica?" – słyszę. Główna ulica, odpowiadam, duża ulica! Pokazuje kierunek, a ja puszczam się biegiem w tamtą stronę.

Na przystanku autobusowym staję pod wiatą z falistej blachy. Już mnie nie obchodzi, co sobie myślą ci porządnie ubrani ludzie. Strzepuję śnieg z ramion. Głośno szczękam zębami. Widzę innych, którzy ogromnie by mi pomogli, pożyczając choćby szalik, ale trzymają się z daleka. Gdyby to było takie proste, pomóc biednym, obłąkanym, niezaradnym, na pewno zrobiono by to już dawno. Nogawki moich spodni są oblepione śniegiem, a przy kolanach zamarzają na sztywno. Uszy już mnie nie bolą. Skóra zupełnie straciła czucie.

Siadam z tyłu autobusu, wytrzepuję śnieg z butów i staram się osuszyć ręce. W końcu jakiś postęp, znalazłem schronienie i teraz

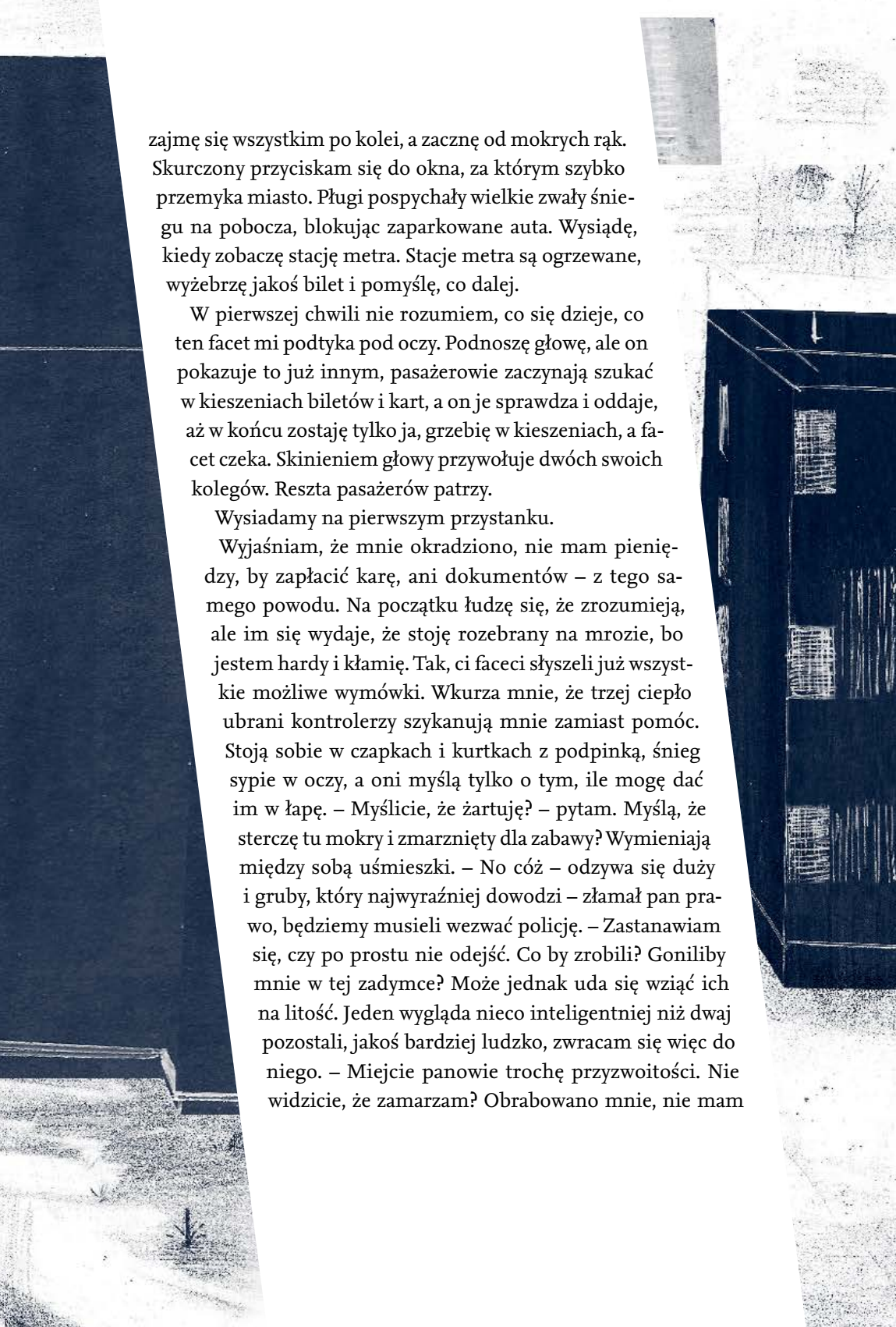

zajmę się wszystkim po kolei, a zacznę od mokrych rąk. Skurczony przyciskam się do okna, za którym szybko przemyka miasto. Pługi pospychały wielkie zwały śniegu na pobocza, blokując zaparkowane auta. Wysiądę, kiedy zobaczę stację metra. Stacje metra są ogrzewane, wyżebrzę jakoś bilet i pomyślę, co dalej.

W pierwszej chwili nie rozumiem, co się dzieje, co ten facet mi podtyka pod oczy. Podnoszę głowę, ale on pokazuje to już innym, pasażerowie zaczynają szukać w kieszeniach biletów i kart, a on je sprawdza i oddaje, aż w końcu zostaję tylko ja, grzebię w kieszeniach, a facet czeka. Skinieniem głowy przywołuje dwóch swoich kolegów. Reszta pasażerów patrzy.

Wysiadamy na pierwszym przystanku.

Wyjaśniam, że mnie okradziono, nie mam pieniędzy, by zapłacić karę, ani dokumentów – z tego samego powodu. Na początku łudzę się, że zrozumieją, ale im się wydaje, że stoję rozebrany na mrozie, bo jestem hardy i kłamię. Tak, ci faceci słyszeli już wszystkie możliwe wymówki. Wkurza mnie, że trzej ciepło ubrani kontrolerzy szykanują mnie zamiast pomóc. Stoją sobie w czapkach i kurtkach z podpinką, śnieg sypie w oczy, a oni myślą tylko o tym, ile mogę dać im w łapę. – Myślicie, że żartuję? – pytam. Myślą, że sterczę tu mokry i zmarznięty dla zabawy? Wymieniają między sobą uśmieszki. – No cóż – odzywa się duży i gruby, który najwyraźniej dowodzi – złamał pan prawo, będziemy musieli wezwać policję. – Zastanawiam się, czy po prostu nie odejść. Co by zrobili? Goniliby mnie w tej zadymce? Może jednak uda się wziąć ich na litość. Jeden wygląda nieco inteligentniej niż dwaj pozostali, jakoś bardziej ludzko, zwracam się więc do niego. – Miejcie panowie trochę przyzwoitości. Nie widzicie, że zamarzam? Obrabowano mnie, nie mam

pieniędzy. – Widzę po twarzy, że to dobry człowiek, ale nie jest mi dane go przekonać, bo ten gruby kładzie mi rękę na ramieniu i każe być rozsądnym, daj pan tyle a tyle, to nie trzeba będzie wzywać policji. Syczę mu coś w oczy – zrozumiałe z tego są tylko dwa słowa: „twoją matkę" – i tak gwałtownie zrzucam jego łapę z ramienia, że dwóch pozostałych wkracza do akcji, by mnie unieszkodliwić.

Ktoś woła moje imię. Kobiecy głos gdzieś z tyłu woła mnie po imieniu. Kobieta wpada między nas, wciska grubasowi banknot i odciąga mnie za rękę. Dokądś mnie zabiera, prowadzi przez śnieg, który pada jeszcze mocniej niż wcześniej, zaciera wszystkie kontury, oślepia mnie i zmusza do opuszczenia głowy. Odchodzimy od wieżowców, skręcając w ulicę, na której nieoczekiwanie stoją starsze, jedno- i dwupiętrowe domy. Niektóre mają nawet drewniane płoty i bramy. Wydaje mi się, że idziemy dość daleko. Ona oddaje mi swoją czapkę i szalik, jej rude włosy są oblepione śniegiem; wciąż prowadzi mnie za rękę. Mam już zapytać, czy daleko jeszcze, kiedy się zatrzymuje i otwiera furtkę. Wchodzimy na małe podwórko, każe mi poczekać, idzie pierwsza i przywiązuje dużego czarnego psa, który wyszedł z licho skleconej budy. Przechodzimy przez podwórko, pies na mnie warczy, szarpie się na łańcuchu, potem wchodzimy do korytarza, z którego prowadzą na górę strome drewniane schody. My schodzimy trzy stopnie w dół, wąskim przejściem na lewo, a potem przez kolejne drzwi na tył budynku, znowu w śnieg. Widzę drzewa i tyły innych domów. Wszystko tu jest stare i zniszczone, w tym małym zakątku, który jakimś cudem uniknął rozbiórki, buldożerów, i ukrywa się przed miastem. Ostrożnie schodzimy po kamiennych stopniach do sutereny, kobieta otwiera drzwi kluczem prawie tak długim jak jej dłoń. Drzwi stawiają opór, napiera więc ramieniem, aż ustępują, skrzypiąc.

Widzę niewielki kwadratowy przedpokój i dwoje drzwi. Te na wprost są lekko uchylone, prowadzą do łazienki. Idziemy na lewo, do małego pokoju, w którym stoją wersalka, komoda, piecyk i fotel. Siadam na kanapie, a kobieta zdejmuje mi buty i skarpetki. Konfiskuje moje wspaniałe trekingowe buty. Teraz muszę uratować się przed odmrożeniami. Z dolnej szuflady komody wyciąga jakieś ubranie

i ręcznik. Odwraca się plecami i zaczyna ładować drewno do piecyka, pozwalając mi się rozebrać. Przemoknięta koszula spada na podłogę. Z trudnością rozpinam spodnie zgrabiałymi palcami. Mój członek dobrze się schował. Każdy jak może ratuje się przed zamarznięciem. Pocieram go porządnie. Ręcznik jest szorstki, ale czysty. Ubranie nosił przede mną ktoś znacznie większy: para szarych spodni, które mogły należeć do jakiegoś pracownika biurowego, czerwona koszula w kratę bez guzików przy zwisających mankietach i ciemnoniebieski wełniany sweter, zalatujący naftaliną. Czuję się, jakbym nagle się skurczył. Ona podpala gazetę pod drewnem i ciemny brązowy pokój wypełnia się kształtami i cieniami; jej sylwetka migocze na ścianie wśród trzasku patyków.

– Jak się rozpali, nie będzie tak dymiło – mówi.

Okoliczności naszego poznania są niejasne. Ona wspomina imię kobiety, z którą dawniej byłem, nazwę klubu, w którym pijałem, lata temu, a ja wiem, że widziałem już kiedyś jej twarz, i to wiele razy. Ale to jedna z tych twarzy, które zawsze pozostają w tle, gdzieś z boku, kiwasz głową na przywitanie i na tym koniec, bo nie jesteś zainteresowany. Ma bardzo bladą cerę, rudawe włosy, wąskie usta niemal pozbawione koloru. Czuję się nieswojo, bo kiedy wszystko szło dobrze, ignorowałem ją – troskliwą przyjaciółkę, która mnie zna i pomogła mi w kryzysowej sytuacji.

– Jak się czujesz?

Wciąż mam dreszcze, ale teraz to już niemal przyjemne. W rękach i nogach wraca mi czucie. Bolą mnie dłonie i stopy.

– Lepiej.

Układa poduszki i każe mi się położyć na kanapie, a potem przykrywa kocem. Leżę, patrząc w górę na jedyne okno, wysoko na ścianie, ledwo wyglądające ponad krawędź ziemi. Słońce zachodzi, wkrótce zapadnie zmrok. Ona chyba jest trochę zwariowana, myślę, mieszka w takim miejscu, zgarnia mnie z ulicy i nawet nie chce wiedzieć, co się wydarzyło. Lecz ogień pali się już mocnym płomieniem, a w czerwonawym świetle widzę wokół siebie oznaki normalnego życia – pocztówki na ścianie, książki i listy na półce.

– Jeszcze nigdy tak nie sypało – odzywa się, potrząsając kratką paleniska. – Jakby miało nigdy nie przestać.

Jakby miało zasypać cały świat i zostalibyśmy tylko my dwoje.

Odsuwa plastikową płachtę służącą za drzwiczki w szafce ze sklejki. W środku są ziemniaki, cebula, marchew, sól, plastikowa butla z olejem i butelka rumu. Pyta mnie o tę kobietę, którą oboje kiedyś znaliśmy, odpowiadam, że od lat nie mam z nią kontaktu.

– Łyk tego rumu dobrze by mi zrobił – mówię.

– To nie rum – odpowiada. – To tylko butelka. Trzymam w niej ocet. Zrobię ci filiżankę gorącej czekolady. Powinna być na mleku, ale nie mam mleka.

Gotuje wodę. Wsypuje do niej coś z saszetki, koniec końców nie smakuje to jak czekolada. Ale jest słodkie i gorące. Obiera ziemniaki nad metalowym wiadrem. Obiera dokładnie, skórka odchodzi długim, pokręconym paskiem, tak jak niektórzy obierają pomarańcze; wrzuca ziemniaki do dużego żeliwnego garnka razem z marchewką i cebulą.

Gdy budzi mnie dźwięk ciężkiej przykrywki podskakującej na bulgoczącym garnku, ona śpi w fotelu; ma otwarte usta, głowę lekko przechyloną na bok, rudawe włosy opadają na jedno oko. Jest niemal ciepło. Wciąż nie znam jej imienia.

– Hej! – wołam. – Hej!

Budzi się i spogląda nieprzytomnym wzrokiem.

– Nie musisz spać tam – mówię. Przesuwam się na kanapie aż do ściany, i unoszę koc. Ona powoli wstaje, przesuwa garnek w chłodniejsze miejsce i uchyla pokrywkę, by para mogła uciec. Odwróciła się do mnie plecami, może próbuje mnie zignorować. Pogrzebaczem otwiera drzwi piecyka i przykucając, dokłada kolejne szczapy. Ma na sobie wyblakłe dżinsy i sweter; po raz pierwszy widzę, że jej oświetlona blaskiem sylwetka jest całkiem niezła. Podchodzi do kanapy i wsuwa się pod koc, plecami do mnie. Posłanie jest wąskie, jej ciało styka się z moim, normalne więc, że ją obejmuję. Nie mam co zrobić z tą ręką. Jej włosy przyjemnie pachną dymem. Mogłem mieć tę kobietę już dawno temu, czekała na mnie, a ja po prostu nie byłem zainteresowany, miałem lepsze kobiety, czasy były lepsze. Zanim stąd wyjdę,

dowiem się, jak całuje, jakie dźwięki wydaje podczas kopulacji. Ale nie dzisiaj.

– Muszę tu na trochę zostać – mówię. Nie precyzuję, czy chodzi o kilka godzin czy kilka miesięcy, ale jej to chyba nie przeszkadza.

– Możesz zostać tak długo, jak zechcesz.

– Dziękuję. Chyba skorzystam.

Patrzę w okno. Nie wpada już przez nie ani trochę światła. Przykryła je warstwa śniegu. Pewnie wciąż mocno pada, gęsto, chyba nigdy tyle śniegu nie spadło na to miasto, a może padać całą noc, zasypując wszystko grubą warstwą, paraliżując autobusy, nawet ciężarówki. Tak, taka pogoda może człowieka zabić, jeśli szczęście całkiem go opuści. Kładę głowę z powrotem na poduszkę, obok jej głowy, prawie dotykając ustami jej karku. Zamykam oczy i słucham bulgoczącego garnka.

Chopin for Girls
Andrzej Sosnowski

Ilustracje:
Marta Bilińska

Liternictwo:
Maciej Kodzis

Projekt graficzny i skład:
Joanna Smołońska

Chopin
for girls

Jaki dobry dzień. Nigdzie nie musiał dzwonić, nie odbierał telefonów. *Spokój, spokój, prawie szczęście… czyżby to deszcz… zmierzch w białej jak cmentarz brzezinie… księżyc powoli płynie przez pola…* – No tak, jaki księżyc, jaki zmierzch. Zdrzemnął się nad książką, a teraz zbudził go lęk. Ale nie jest późno, dopiero zbliża się czwarta. Zawsze miał coś na sumieniu, gdy przychodzili rodzice.

Pewnego wiosennego dnia po sześciu lekcjach A… zaprasza doborową gromadkę dziewcząt na nietypowy kogel-mogel, jego słynny m a d - e g g - d a n c e z puszystą pianą i nader l i b e r a l n ą dozą pierwszorzędnej wiśniówki rodziców.

Otóż specjał ten cieszy się w szkole niemałym rozgłosem, lecz jedynie dzięki długim językom najbliższych druhów A…, tym większy jest więc entuzjazm, z jakim koleżanki przyjmują zaproszenie i wyciągają piękne nogi za wspaniałomyślnym fundatorem.

Odbywa się wesołe, wspólne rozbijanie jaj – skorupki trafiają do kosza; łyżeczki pracowicie mielą żółtka ze zgrzytającym cukrem; stara sprężynowa trzepaczka we wprawnej dłoni K… ubija białka na idealną pianę. Nareszcie nowoczesny blender miesza wszystko z wyśmienitym trunkiem i pięć niewielkich, pękatych kufli z grubego szkła wypełnia gęsty, aromatyczny płyn.

Kiedy rozlegają się pierwsze radosne okrzyki i rozkoszne westchnienia, A…, niecnie wykorzystując ten zbiorowy zachwyt, przekręca w drzwiach mieszkania d o l n y , staroświecki klucz, po czym z ostentacją niesie go na balkon, aby teatralnym gestem posłać za balustradę.

Klucz spada z ósmego piętra i – teraz miniaturowy – wyraźnie połyskuje w świeżej trawie.

Nic jednak nie mąci żarliwej uciechy dziewcząt – haniebny postępek A… nagradzają szalone śmiechy i gromkie oklaski.

Lecz Czas bynajmniej nie odrętwiał w swoim chyżym locie, nie upadł i nie spoczął w trawie obok starego klucza. Jeden po drugim kończą się koktajle – J…, M… i E… zaczynają spoglądać na zegarki.

Uczennicom nawet siódmej klasy podstawówki nie wypada zbyt późno wracać do domu po szkole.

A…, indagowany, oświadcza, że wie, jak odzyskać klucz, jednak koleżanki muszą się teraz n a d e r ponętnie obnażyć.

****

Po czym prosi jeszcze o mały b i s taneczny,
puszczając swój ulubiony *Nokturn g-moll* op. 15 nr 3
Fryderyka Szopena, w wykonaniu Artura Rubinsteina,
z gramofonu.

Po czarujących pląsach dziewcząt pełznie po krawędzi balustrady lodżii na sąsiedni balkon, doznając po drodze wielkiej euforii.

Stuka w okienną szybę, wprawiając sąsiadów w osłupienie.

Wyjaśnia starszym państwu pechowy t r a f u n e k z kluczem, po czym idzie do windy, aby kilka minut później triumfalnie otworzyć drzwi mieszkania od zewnątrz.

Smok pokonany, dziewice wybawione z opresji.

Ślady natychmiast zatarte; wszystkie naczynia zaraz pozmywane.

A… ma jeszcze krótką chwilę na papierosa w szeroko otwartym oknie swojego pokoiku, gdzie może się nad sobą poważnie zastanowić.

Niestety, rekapitulując przebieg popołudnia, dochodzi jedynie do wniosku, że – pomimo niewątpliwego sukcesu m a d - e g g - d a n c e , tylu bezcennych wrażeń wzrokowych i momentu intensywnej euforii – na pierwszy plan jak zwykle wysunął się powszedni lęk, niemający nic wspólnego z ekscytującym lękiem wysokości.

Po prostu w i e l k i m i k r o k a m i zbliżała się szesnasta.

I już pięć po czwartej zjawili się sąsiedzi, aby opowiedzieć o zuchwałych odwiedzinach.

Ubyło bardzo dużo wiśnióweczki.

Sajgonki

Petra Soukupová

Przełożyła:

Julia Różewicz

Ilustracje:

Sylwia Maja Bartkowska

Literactwo:

Tomasz Fabianowicz

Projekt graficzny i skład:

Ewelina Wojtyczka

SAJ
GO
NKI

Po drodze z pracy Daniela zahacza o Alberta, musi kupić jedzenie na weekend. W weekendy zawsze sięga po mniej zdrowe rzeczy. Mrożoną pizzę, jakieś słodycze, czasami nawet chipsy. Niech dzieci mają radochę. Dla Bercika wybiera paczkę cukierków, teraz najbardziej lubi te o smaku coli, dla Grety czekoladę z całymi orzechami. Greta będzie kręcić nosem, uważa, że jest gruba i powinna się odchudzać, ale jakby jej nie przyniosła tej czekolady, też by była zła. Poza tym wcale nie jest gruba, skąd te dziewczyny to biorą? Może nie będzie miała takich szczupłych nóg jak ona, ale na pewno nie jest gruba. Do wszystkich trzech kas straszna kolejka, w końcu piątek, popołudnie, może byście tak otworzyli więcej kas? Daniela zerka na zegarek, już wpół do szóstej, za pół godziny Honza zabierze dzieci, będą u niego do jutra wieczorem, tak się umówili, żeby dziś wieczorem mogła naprawdę dobrze się bawić, skoro nareszcie, po wielu tygodniach, może nawet miesiącach, wychodzi wieczorem, żeby nie musiała się spieszyć, stresować, czy u dzieci wszystko okej, czy już śpią, czy Grecie udało się zmusić Bercika, żeby zjadł kolację, czy umyły zęby, żeby nie musiała co pięć sekund zerkać na telefon, czy przypadkiem Greta nie pisze, żeby wracała, bo się boi tej dziewczynki z filmu Krąg, albo czy nie pisze sąsiadka, że w mieszkaniu wybuchł pożar.

”

Czuła się jak smarkula, uśmiechała się sama do siebie przy odbiorniku.

Honza łaskawie się zgodził, jasne, że mogą u mnie spać, nie ma sprawy, Dani, ale potem oczywiście dodał, że skoro tak, to tylko do soboty, zwykle są u niego od soboty do niedzieli, nie daj Bóg, żeby przypadkiem zostały chwilkę dłużej, ustalili jedno popołudnie tygodniowo i jedną noc w weekendy, Honza przestrzega

tych reguł z zegarkiem w ręku, bez wyjątku, ani godzinki dłużej, po prostu wypełnia swój obowiązek, Greta to wyczuwa, Bercik nie, a może wszystko mu jedno, lubi jeździć do taty, tata zawsze planuje dla nich coś fajnego, zwłaszcza dla Bercika, kino i kolacja w Macu to podstawa, aquapark, sklepy, tym próbuje kupić Gretę, czy inne takie, a czy ona, Daniela, ma czas wymyślać dla nich jakieś fajne rzeczy? Nie ma. Chociaż na pewno by miała, gdyby opiekowała się nimi tylko raz na tydzień.

Daniela ma oczywiście rozwiedzione koleżanki, których eks mają lepsze podejście do dzieci.

Po każdym takim weekendzie Honza jest przekonany, że wywiązał się z zadania, i właściwie ma rację, do tego co miesiąc przelewa piętnaście tysięcy koron, Daniela wie, że to dość dużo, nie ma na co narzekać, ale zważywszy na jego pensję? Litości…

W końcu jej kolej przy kasie, płaci, idzie w stronę domu, zerka na swoje odbicie w szybie wystawowej, nie jest źle, zwłaszcza teraz, zimą, w płaszczu, nie widać, jak przytyła w talii, ale nogi ma zgrabne jak na swój wiek, pozwala sobie na chwilkę dumy z nich, trzeba przyznać, że takich nóg nie powstydziłaby się nawet dwudziestolatka.

Ale potem już leci do domu, chce jeszcze choć na chwilę zobaczyć się z dziećmi, nim wyjdą, i musi zacząć się szykować, impreza tematyczna – bal wampirów – musi wymyślić jakieś przebranie, już się zastanawiała, w co się ubierze, Bercik ma gdzieś sztuczne zęby, pewnie i cylinder się znajdzie. Wykombinuje jakąś pelerynę i już. Ale w ciuchach będzie musiała nieco

pogrzebać. Jedno wie na pewno: założy krótką spódnicę, przed kolana.
Otwiera drzwi do mieszkania.
– Cześć, dzieci! – krzyczy, w małym pokoju i w kuchni pali się światło.
– Cześć – po chwili odzywa się Greta, Bercik nie, jak się wkręci w zabawę, nic nie widzi ani nie słyszy. Daniela zdejmuje buty, wchodzi z zakupami do kuchni, Greta siedzi w dresach i w swetrze, robi coś na tablecie.
– Hej, kochanie – wita się znowu Daniela z córką.
– Już mówiłam „cześć", mamo – mówi Greta, nawet nie podnosząc głowy.
– Może byś się ubrała, tata zaraz będzie.
– Hm… – mruczy Greta, nie chce iść, nigdy nie lubiła do niego jeździć, tak naprawdę tylko od jej humorku zależy, czy w końcu, lekko zafoszona, pójdzie do taty, czy zacznie szaleć i zostanie w domu. Zmuszać jej nie mogą.

Zwłaszcza skoro Daniela wie, że Honzie specjalnie na tym nie zależy. Uważa, że Gretka jest rozpuszczona i w ogóle, cała mama, nie lubi się ruszać, wiecznie choruje i pewnie często ryczy, co tu robić z takim dzieckiem? Bercik to inna para kaloszy, gra w nogę, niczym się nie przejmuje i zawsze z radością czeka na tatę.

Daniela ma oczywiście rozwiedzione koleżanki, których eks mają lepsze podejście do dzieci. Są też tacy, co mają gorsze. Helenie były daje tylko cztery tysiące miesięcznie, a do Lukáška przyjeżdża raz na rok, na Boże Narodzenie.

Daniela wypakowuje zakupy, nie wie, czy dać dzieciom słodycze od razu, czy schować i dać, jak jutro wrócą, w końcu postanawia, że da jutro, pewnie pójdą z Honzą na kolację, idzie zajrzeć do Bercika. Siedzi w swoim pokoju i układa lego.
– Cześć, Bercik.

– Cześć, mamo.
– Chodź na chwilę do kuchni, opowiesz, jak tam w szkole, pogadajmy chociaż chwilę, tata zaraz będzie…
Nic nie odpowiada.
– Halo?
– Dobra, już idę. – Podnosi się naprawdę szybko i radośnie.
– Coś dla ciebie mam – zmienia zdanie Daniela, szczęśliwa, że tak ochoczo dał się namówić, co tam, da im te słodycze teraz. Dziękują, Greta wzdycha, nie, ja nie mogę czekolady, dalej gra na tablecie. Bercik rozrywa paczkę cukierków i ładuje sobie do buzi tyle, ile się da. Daniela pyta, co tam w szkole, co było na obiad, Bercik nie pamięta, co było, w szkole nic ciekawego, Greta nie jadła dziś na stołówce, bo były bułeczki z kremem waniliowym (a, właśnie, wzdycha Bercik, był super ten obiad, mama, czemu my też nie możemy mieć czasem czegoś słodkiego na kolację? pyta ze smutkiem, a przecież Daniela

Najwyraźniej fakt, że musi poczekać pięć minut na własne dzieci, jest dla niego nie do przejścia.”

często robi naleśniki albo kaszkę mannę z sokiem), w szkole wszystko okej.

Dzwoni telefon Danieli, to Honza, zbierajcie się, tata czeka na dole. Greta, przebierz się, Bercik, siup, wciska ostatnią garść cukierków do buzi, nie do wiary, naprawdę zjadł całą paczkę.

– Mama, a czemu nie mogę jechać w dresach? – pyta przekornie córka.
– No bo chyba pójdziecie gdzieś na kolację…
– No i?
– No i nic, załóż dżinsy i już.
– Nie chcę dżinsów!
– No to załóż legginsy i sukienkę, wszystko jedno, tylko nie idź w tym, no.
– Ale zostanę w tym swetrze.

Daniela rzuca okiem na sweter, raczej „po domu", znoszony, nie za bardzo, ale w sumie co ona ma się martwić, dobra, możesz zostać w tym swetrze.

Greta idzie się przebrać, Bercik zakłada buty, cieszy się, Greta przychodzi niechętnie, szura nogami, dzisiaj bez większych problemów. Czemu ona musi jechać, chociaż nie chce… Gretko…

– Mogę zostać sama w domu, skoro ty już koniecznie musisz iść na jakąś głupią imprezę.
– Jasne, żebyś potem dzwoniła do mamy, że się boisz i żeby szybko wracała – pomaga Danieli Bercik.
– Wcale bym tak nie zrobiła!
– A właśnie, że ostatnio się bałaś!
– Ty też!
– Może gdybyście nie oglądali tych bzdur na komputerze, nikt by się nie bał – zaznacza wychowawczo Daniela, chociaż dobrze wie, że to czcze gadanie, dzisiaj dzieci mają dostęp do wszystkiego, jaki to problem obejrzeć jakieś sceny z horrorów?

Honza znowu puszcza sygnał. Najwyraźniej fakt, że musi poczekać pięć minut na własne dzieci, jest dla niego nie do przejścia.
Dzieci, tata czeka.
– Mamo, czemu akurat dzisiaj musisz wychodzić?
– Mamy imprezę firmową, mówiłam ci.
– Idziesz na randkę, co, mamo? Masz nowego faceta, prawda? – mówi Greta bardzo dorosłym tonem.

Daniela kręci przecząco głową, co to, to nie, skarbie, gdybym wybierała się na randkę, pierwsza byś się o tym dowiedziała. Greta patrzy na nią podejrzliwie.

Daniela znowu kręci głową. Naprawdę nie. To nie randka. Być może, jeśli dzisiaj będzie fajnie, randka niedługo nastąpi, ale dzisiaj to jeszcze nie jest randka.
– No chodź już, Greciucha – mówi Bercik.
– Pa, słoneczko, pa, skarbie.

Buziaki, wychodzą. Daniela idzie wstawić pranie, dawno minęły czasy, kiedy po kryjomu

zerkała z okna, czy w samochodzie obok Honzy siedzi jego nowa panienka, jak wygląda, jaką ma figurę, teraz i tak może ją znaleźć w necie, Honza chodzi z nią już ze trzy lata, więc pewnie siedzi w tym samochodzie albo czeka w domu, mieszkają razem, ale Danieli to nie rusza. Jest miła dla dzieci, tylko to jest dla Danieli ważne. Czasami zastanawia się, czy Honza będzie miał z tą nową dziecko. Wtedy byłaby zazdrosna. Nie o babę, tylko o maluszka. Fajnie by było znów zostać mamą.

”

(...) na Boga, czterdziestka na karku, ale co, pomarzyć nie można?

Zbiera porozrzucane po całym domu ubrania dzieci, trochę ogarnia lego, gasi światło i zamyka drzwi do ich pokoju, teraz wreszcie może zająć się sobą i wyszykować się na wieczór, który być może będzie coś znaczył, myśli, że może mogłaby nawet zatańczyć z Radkiem, nie założy butów na obcasie, nie chce być wyższa od niego. Chociaż oczywiście szkoda, że nie może założyć szpilek.

Już prawie miesiąc cieszy się na imprezę. Dawno nie czekała na nic z taką radością.

Wszystko zaczęło się jesienią, kiedy Radek zaczął u nich pracować. Sama pewnie nie zwróciłaby na niego uwagi. Bo nie jest specjalnie wysoki. Można wręcz powiedzieć, że jest niski. Honza ma metr dziewięćdziesiąt, Daniela przyzwyczaiła się do wyższych. Nigdy nawet nie patrzyła na małych. A Robert ma tak z metr siedemdziesiąt pięć. Mniej więcej.

Ale potem zaczął jej mówić „cześć”, bardzo miły uśmiech. Ma w oczach taką delikatność, od razu

widać, że jest dobrym człowiekiem. I ładne zęby. I nie łysieje.

Zawsze, gdy się widzieli, trzymał jej drzwi. A raz, jak się ubierała, przyleciał, żeby potrzymać jej płaszcz. Danieli mało się od tego w głowie nie zakręciło, tak długo nikt tego nie robił, nikt, dla kogo mogłoby to znaczyć coś osobistego. Później przez cały dzień miała dobry humor, a to był akurat dzień wywiadówki, kiedy Daniela dowiedziała się, że Bercik wraz z innymi dziećmi prawdopodobnie dręczą kolegę z klasy. (Na szczęście potem okazało się, że Bercik nie był prowodyrem akcji, Daniela odetchnęła z ulgą, bo gdy dzwoniła nauczycielka, że chodzi o prześladowanie, oczywiście przestraszyła się, że to Bercika prześladują, nie na odwrót. Bądźmy szczerzy, opcja, że to on kogoś dręczył, jest jednak lepsza). Zabrała mu wtedy konsolę, zabroniła iść na ukochane karate, plus szlaban na telewizję na dwa tygodnie. Kara także dla niej.

„(...) bo polubiła obecny stan spokoju, kiedy nie trzeba się stresować związkiem z niewłaściwym mężczyzną.

Potem zaczęli chodzić z Radkiem na obiady, nie codziennie, raz na tydzień, w środy, specjalnie robili sobie przerwę obiadową godzinę później niż reszta ludzi z pracy, koło trzynastej trzydzieści, nie musieli się specjalnie umawiać, raz tak wyszło, powtórzyli to za tydzień, i tak wszystko się zaczęło.

Daniela naprawdę miło wspomina te chwile, dobrze im się rozmawiało, o pracy, od razu zauważyła, że ją ceni, chwalił jej reportaże, a Daniela po tylu latach potrafi odróżnić tanie pochlebstwo od wartościowej pochwały, te jego były

wartościowe. Ona też zaczęła czytać jego artykuły, chociaż on zajmuje się polityką zagraniczną, szczególnie konfliktem izraelsko-palestyńskim, a to, szczerze mówiąc, interesuje ją dużo mniej niż być może powinno, ale przeczytała, spodobały jej się, rozmawiali o tym, i teraz, po tych wszystkich rozmowach, Daniela już dość dobrze orientuje się w temacie, a kiedy Radek opowiada, nie tylko jest to dla Danieli ciekawe, ale nawet jeszcze bardziej jej się wtedy podoba. Bardzo jej się podoba. Raz nawet specjalnie słuchała audycji, kiedy mówił w radiu. Czuła się jak smarkula, uśmiechała się sama do siebie przy odbiorniku.

Ale prócz obiadów i czasem kawy, gdy zdarza im się wpaść na siebie w kuchni w firmie, prócz kilku spotkań służbowych, lub mogących za takie uchodzić, nigdy nigdzie razem nie poszli, nigdy nie wyszli wieczorem, raz się nie udało, a Radek chyba nie chciał się napraszać i pytać drugi raz, ale kiedy niedawno rozmowa zeszła na dzisiejszą imprezę, Daniela przyznała, że idzie, że co roku chodzi na bale przebierańców, chociaż też jej się wydaje, że to trochę głupie, ale zawsze ma jakieś przebranie, siedem lat temu, jak jeszcze była z Honzą i wróciła do pracy po urlopie macierzyńskim, pojechała nawet po strój do wypożyczalni, tak poważnie podeszła do balu,

przebrała się za brytyjską sanitariuszkę z okresu drugiej wojny światowej.

No i teraz, kiedy powiedziała Radkowi, że zamierza się wybrać, powiedział, że też pójdzie, chociaż wcześniej mówił, że przebrania to głupota, że jest na to za stary, ale mus to mus, może więc znajdzie w domu jakąś krew. Daniela zdrętwiała, ale tylko na chwilę, potem zaczęła się śmiać, śmiali się razem i już byli umówieni.

Teraz Daniela bierze prysznic i zastanawia się, czy powinna się jeszcze w życiu zakochać, tak naprawdę, po uszy, zaangażować w nowy związek, bo jak na razie trzyma względny dystans, Radek już zaproponował wspólne wyjście, ale ona wtedy naprawdę nie mogła, a głupio jej było powiedzieć, że zaplanowała wyjście z dziećmi, obiecała, że pójdą na *Pingwiny z Madagaskaru.* Być może Radek się obraził, ale Daniela się nie przejęła, jeśli coś ma być, to będzie tak czy siak, mimo że wtedy nie poszli na piwo i na pikantne skrzydełka, zresztą oboje byli zaskoczeni, gdy okazało się, że i ona, i on chodzili kiedyś na skrzydełka do tej samej knajpy.

Ale jeśli dzisiaj będzie fajnie, jeśli wieczór się uda, mogą iść do knajpy za tydzień. Daniela owija głowę ręcznikiem i wkłada szlafrok, w kuchni zjada pół kromki chleba z masłem i z serem, żeby nie iść na głodniaka, zaczyna się malować, na chwilę daje się ponieść fantazji, jak by wyglądało jej życie z Radkiem, wspólne święta, latem wakacje z dziećmi, Radek nie jest rozwiedziony, ma dziecko z dziewczyną, z którą nigdy się nie pobrali, z tego, co mówi, już koło trzech lat nie są razem, wystarczy, ona po tym, jak Honza odszedł, dochodziła do siebie jakiś rok, no, może półtora. A córeczka Radka, Julia, ma chyba ze cztery latka, jest u niego dwa, czasem trzy razy w tygodniu, to też imponuje Danieli, że często

ją zabiera, że się nią interesuje, nierealna, niepotrzebna myśl, że gdyby zdążyli mieć dziecko, byłby dobrym ojcem.

Tak, chyba w to wejdzie. Wie, że jest dobrym człowiekiem, podoba jej się, jest mądry, fajnie pisze, podoba jej się, jak na nią patrzy, ten facet jej nie skrzywdzi, mogłoby im być dobrze razem, może to nie miłość od pierwszego wejrzenia, ale Daniela wcale takiej nie szuka, przeciwnie, stara się jej unikać, rok temu spotkała Martina, faceta, na którego zawsze leciała, jeszcze nim poznała Honzę, ciągle bardzo jej się podoba, i wciąż między nimi iskrzy, ale Daniela nie poszła z nim nawet na kawę, chociaż wtedy wyleczyła się już z Honzy, nie poszła, bo polubiła obecny stan spokoju, kiedy nie trzeba się stresować związkiem z niewłaściwym mężczyzną. Ale teraz może zaryzykować, właściwie to żadne ryzyko, związek z tym miłym człowiekiem, który lubi dzieci, lubi ją i mogłoby im wyjść. Może nawet to kolejne dziecko…

”

Zawsze, gdy się widzieli, trzymał jej drzwi. A raz, jak się ubierała, przyleciał, żeby potrzymać jej płaszcz. Danieli mało się od tego w głowie nie zakręciło.

Nie, wiadomo, że już nie będzie mieć dzieci, na Boga, czterdziestka na karku, ale co, pomarzyć nie można?

Sprawdza makijaż. Na tę okazję kupiła sobie nawet nowy, jaśniejszy podkład. Jest zadowolona, mocno podkreślone oczy i czerwone usta, trochę jak trup. Ale seksi. Danielka, nie jest źle, naprawdę nie jest źle.

Idzie do pokoju dzieci poszukać zębów wampira. Rzecz jasna założy je tylko na wejście, na chwilę, nie będzie w nich raczej wyglądać zbyt seksownie, ale przynajmniej inni zobaczą, że wzięła sobie bal do serca, no i że ma dystans do siebie.

Od razu znajduje zęby, przymierza, musi sprawdzić, czy jednak nie wyjdzie zbyt przerażająco. Wkłada je do buzi, ale nim zdąży zerknąć w lustro, dzwoni telefon. To Honza. Daniela wyjmuje zęby, odbiera, choć najchętniej by nie odbierała, to na pewno nic dobrego, któreś z dzieci czegoś zapomniało albo Honza chce je oddać z samego rana, albo inna zmiana planów.

– Hej – mówi neutralnie.
– Hej, słuchaj, Greta mówi, że chce natychmiast wracać do domu.
– A co się stało?
– Nie wiem. Nic…
– Co znaczy nie wiesz? Przecież coś musiało się stać.
– Jezu, nic, no. Pobili się z Bertem, potem ustaliliśmy, że idziemy na kolację, ubraliśmy się, a ona, że nigdzie nie idzie, że natychmiast chce do ciebie. Zabroniłem jej do ciebie wydzwaniać, wiem, że masz plany, zaczęła płakać, teraz beczy w łóżku i w ogóle nie da się z nią gadać.

– Daj mi ją do telefonu.

Chwilę to trwa, Daniela zastanawia się, czy zdołała uspokoić córkę.
Płacz Grety, urywane „mamusiu, chcę do domu, proszę, proszę".
Daniela prawie nic nie mówi. Nie potrafi uspokoić jej przez telefon. Poza tym serce jej się ściska. Pannica, która potrafi nie odzywać się do niej całymi dniami, nagle płacze, że chce do mamusi. To jednak ciągle moja mała dziewczynka.
– Ale co się stało, kochanie?
– U taty jest okropnie, nie chcę tu być, chcę do ciebie. Mamuś, proszę.
– Daj mi tatę, dobrze?
Znowu chwila przekazywania słuchawki.
– Dobra, przywieź ją do mnie.
– Sorry, ale nie mam jak. Musimy już wychodzić, mamy bilety na motor show. Dla Grety też mam bilet – dodaje z wyrzutem.
– A co ja mam z tym wspólnego? – nie wytrzymuje Daniela.
– Nic. Po prostu te bilety trochę kosztowały.
– Potrąć jej z kieszonkowego – mówi Daniela, tym razem na żarty. Honza, co jeździ nową bawarą, martwi się, że zrujnuje go bilet na jakiś głupi pokaz.

Honza milczy.
– Nie zdążę jej zawieźć, albo jedzie z nami, albo musi tu zaczekać, aż ją odbierzesz.
Ale z ciebie gnój, myśli Daniela.
– Nigdzie z wami nie idę, poczekam na mamę – szlocha w oddali Greta.
– Przyjadę po nią – mówi Daniela i rozłącza się bez pożegnania. Znowu wkłada zęby wampira i idzie do lustra. Może być. Odkłada zęby. No nic, odbierze Gretę, przywiezie ją tu i pójdzie na bal. Godzina w tę czy w tę, co za różnica. Przecież nikt nie powiedział, że musi przyjść punkt siódma. Nie wie jeszcze wprawdzie, w co się ubrać, ale to nic, założy coś czarnego, choć trochę eleganckiego, ma zęby, wystarczy, nieważne, i tak chce głównie zobaczyć się z Radkiem, mogli iść na skrzydełka i olać cały ten bal, a tak to pijany Martin będzie ją klepał po tyłku, a Bohouš będzie chciał tańczyć i chuchać jej we włosy, o nie.

„(...) gdybym wybierała się na randkę, pierwsza byś się o tym dowiedziała.”

Podjeżdża pod dom Honzy, puszcza Grecie sygnał, nawet nie wysiada z samochodu. Znów myśli o Radku. Czy już przyszedł. Czy rozmawia z tymi młodymi stażystkami. Greta przychodzi osiem minut później. Co to za filozofia iść do przedpokoju, założyć buty i kurtkę, nie rozumie, że mi się spieszy? – denerwuje się Daniela, objeżdża Gretę.
– Musiałam do toalety – odpowiada Greta wkurzonym głosem.
No proszę, co za zmiana, a gdzie „mamusiu, proszę”, myśli Daniela.
– Ale wiesz, że zostaniesz sama w domu, wychodzę...
– A mogę na ciebie czekać?

– Możesz, ale wrócę późno, więc lepiej, jeśli pójdziesz spać – odpowiada Daniela.
– Chyba bym się bała.
– Chcesz wrócić do taty?
– Nie!
Dojeżdżają do domu, Daniela przymierza ubrania, prosi Gretę o pomoc, córka jej doradza, śmieją się, aż je bolą brzuchy, w samym środku śmiechów i robienia fotek Greta pyta – mamuś, a co mam zjeść na kolację?
– Nie wiem, skarbie, chyba jakąś kanapkę, nic nie gotowałam.
– Hm… mamuś, a wrócisz szybko?
– Nie, już ci mówiłam, że nie.
– Mamuś, nie idź. Zrobimy sobie pizzę i obejrzymy jakiś film, co? I zjemy lody!
– Gretuś…
– No tak… dobra, wiem, że ta impreza jest dla ciebie ważna. To baw się dobrze, mamuś.

Faktycznie, jest ważna, myśli Daniela, kończy się ubierać, Greta ma minę jak skrzywdzone zwierzątko.

Kiedy Daniela wychodzi, Greta mocno ją przytula. Co za szantaż. Zwykle w takich sytuacjach nawet nie mówi jej „cześć".

Wychodzi z domu, zimno, mróz. Daniela nie cierpi, jak jej wieje po nogach, ma cienkie rajstopy, a czapki nie mogła założyć, żeby nie zniszczyć fryzury, przyspiesza kroku, gdy przechodzi obok banku, zerka na siebie w szybie wystawowej, wygląda dobrze, ale i tak jest zła, skręca, widzi, że uciekł jej autobus. Cholera, cholera jasna.

Staje na przystanku. Dziesięć minut, no nic, poczeka. Czuje, że burczy jej w brzuchu. Godzinę temu zjadła pół kromki chleba. Wcześniej obiad. Filet z piersi i sałatka. Na imprezie chyba

będzie jakieś jedzenie, ale pewna nie jest. Zrywa się wiatr. Mogła wziąć taksówkę, ale ona nie jest taka, nie lubi niepotrzebnie tracić pieniędzy. Wystarczy, że będzie musiała wracać taksówką.

Po przeciwnej stronie ulicy żarzy się neon bistro orientalnego. Może mogłaby poczekać w środku? Nie, bez sensu, musiałaby coś kupić, nie chce napoju z lodówki. Chociaż w sumie czemu nie, ogrzeje się, nie będzie tu tak sterczeć, wyda dwadzieścia koron, co tam. Przecież nawet jeśli zamówi napój, wcale nie musi go wypić.

– Słucham? – pyta z akcentem Azjatka.
– Poproszę colę – mówi Daniela, a kiedy ekspedientka sięga po puszkę, Daniela szybko podejmuje decyzję.
– I jeszcze kurczaka gongbao, i sajgonki.

Greta lubi kurczaka gongbao, a ona, Daniela, uwielbia sajgonki.

Spowiedź Hagida
Dariusz Muszer

Ilustracje:
Joanna Gębal

Liternictwo:
Grzegorz Owczarek

Projekt graficzny i skład:
Alina Rybacka-Gruszczyńska

Na jednej Ziemi uprawiałem pole i zasadziłem czaszki, a dzisiaj muszę na innej planecie, albo też na tej samej, wypić te pomyje, których sam sobie nawarzyłem. Tysiąc lat później lub tysiąc lat wcześniej, lub właśnie w tym momencie przybyłem tutaj, żeby po raz kolejny spróbować odzyskać równowagę w świecie, gdzie ludzie są zamknięci w ciałach. Byłem słaby, będę silny, a w tym, w czym byłem silny, stanę się na powrót słaby. Taka jest kolej mięsa.

Nie mogę pisać, bo odebrano mi ręce. Zwyciężyła je okropna choroba, przegrały walkę ze zgnilizną, którą sam wpuściłem do swego ciała. Podobno jakiś czas potrwa, zanim mi odrosną. [...]

Opowiem wam pewną historię. Naszą historię. Ludzką. Ziemską. Moją.

Przyszedłem na świat na rubieżach, na dalekim wschodnim pograniczu. Stało się to wiosną, pięć księżyców po tym, jak moją krainę połknął smok. Był wielki jak pół kontynentu, miał niebieskie łuski na całym ciele, potężny ogon, trzy głowy, osadzone na długich szyjach, krótkie przednie nogi, których używał jak rąk, chodził zaś i skakał na tylnych, pokrytych drobnymi gwiazdkami. Smok ten potrafił pluć ogniem ze wszystkich głów naraz. To, co wam tutaj opowiadam, jest tylko pewnym obrazem, pod którym ukrywa się coś innego. Smok nie był bowiem prawdziwym smokiem, tylko mocarstwem, które zagarnęło nasze tereny, przy czym wielu z nas było wtedy tak zaślepionych, że usłużnie wyraziło na to zgodę, a nawet udzieliło przeciwnikowi pomocy. O tym mocarstwie zapewne już wiele słyszeliście, nazywało się i wciąż nazywa Unią. Była to wtedy kolorowa zbieranina państw, które bez przerwy kłóciły się między sobą, do czego jednak nigdy nie chciały się przyznać. Faktyczni sprawcy, prawdziwi władcy tego organizmu, owe trzy głowy smoka, powiedzieli nam: potrzebujecie nas, bez nas jesteście bezradni, z nami będzie się wam wiodło lepiej. Wierutne kłamstwa, jak się wkrótce okazało. To nie my potrzebowaliśmy ich, tylko oni nas. Po to, żeby mieć nowych poddanych, których mogli wyzyskiwać. Potrzebowali świeżych niewolników, gotowych zapracowywać się dla nich na śmierć za kubek osłodzonej wody i łyżkę strawy. […]

Niemniej jednak dzieciństwo miałem piękne. Warunki życia były skromne, ale w naszym domu nigdy nie brakowało mąki na chleb, pierogi, naleśniki czy pączki. Późną wiosną i wczesnym latem jadaliśmy zieloną zupę, a jesienią i zimą kukurydzę i kapustę we wszystkich możliwych wariantach. Najbardziej lubiłem pierogi z grzybami lub owocami oraz chałwę z nasion słonecznika. Do dziś śni mi się czasami ta słodka chałwa. Szeleściła w ustach, kiedy wbijało się w nią zęby. Jak mały jeż w opadłych liściach buków. Nigdy nie próbowaliście chałwy i nie wiecie, co to takiego jeż. Nazywano tak pewne prawdziwe zwierzę, które poruszało się siłą własnych mięśni, a nie dzięki bateriom. Było to stworzenie owadożerne, tak samo jak wy obecnie, lecz my, dzieci, mniemałyśmy, że jeż zbiera przez całą jesień jabłka i znosi je do swej norki. Często w nocy, gdy leżałem z najstarszym bratem w kuchni na przypiecku, snuliśmy opowieści o naszym jeżyku: jak to zapada w sen zimowy w swojej przytulnej norce za krzakiem dzikiego bzu, jak budzi się od czasu do czasu i jak zasiada za swoim malutkim stołem, żeby zjeść jabłko; jak sok kapie mu z pyszczka, plamiąc blat stołu, który wyciera kawałkiem gałganka do czysta, i jak potem drepcze z powrotem do łóżeczka, zarzuca na siebie ciepłą pierzynkę i zapada ponownie w głęboki sen. Marzyłem o tym, żeby choć raz być tym jeżem i mieć taką norkę. I zadawałem sobie pytanie, czy ten nasz jeż marzy o tym, żeby pewnego dnia stać się człowiekiem i spędzać mroźne zimowe dni w chacie na przypiecku. […]

Gdy miałem dziewięć lat, w naszej wiosce nastąpiły wielkie zmiany. Z dnia na dzień zabroniono nam uprawy zbóż, owoców i warzyw, a także trzymania własnych zwierząt hodowlanych. Nasze pola, ogrody, łąki i sady spryskane zostały specjalnym środkiem, który uniemożliwiał roślinom wzrost. Odebrano nam również wszystkie zwierzęta i zarżnięto je w odległych rzeźniach. Zapewniono nas, że odtąd wszystko, co potrzebne nam do życia, będziemy otrzymywać za darmo od rządu. I rzeczywiście, początkowo wydawało się, że smocze mocarstwo dotrzyma słowa. Przez prawie okrągły rok centralne władze przekazywały nam środki żywności do naszej dyspozycji i nic za nie nie musieliśmy płacić. Potem jednak dostawy przestały docierać. Unia nie chciała nam już nic więcej dać. Całkowicie zaniechano wysyłania konwojów posiłkowych w naszą okolicę. Poinformowano ludność, że wszyscy mają pozostać w swoich chałupach i że nikomu nie wolno opuszczać wiosek. Z powodu napromieniowania i zanieczyszczenia wierzchniej warstwy ziemi wszystkie tereny pogranicza uznane zostały za strefę zamkniętą. Jednocześnie wprowadzono stan wojenny i otoczono pogranicza płotem laserowym. […]

Na wiosnę, gdy skończyły się nam zapasy, nastała klęska głodu. Przez dwa lata panowała w naszej wiosce i w innych częściach rubieży. Z dziewięcioosobowej rodziny przeżyłem tylko ja i mój najstarszy brat. Teraz powiem wam coś, czego nigdy dotąd nikomu nie mówiłem: wszystkich ich zjedliśmy,

po kolei. Najpierw cztery siostry, potem naszą matkę i na koniec najmłodszego brata. Na ogół po ich śmierci. Tylko jedna osoba z naszej jednopokoleniowej rodziny została spożyta przez kogoś innego, a mianowicie nasz ojciec. Pewnego dnia wyruszył, żeby poszukać czegoś do jedzenia. Nigdy jednak nie powrócił do chaty. Jak się okazało, nie dotarł nawet na drugi brzeg rzeki, która przepływała przez naszą wioskę. Później znaleźliśmy jego czapkę, parciany pas i czarne szarawary u sąsiadów, z którymi przyjaźniliśmy się przed Wielkim Głodem. Dwóch z nich żyło jeszcze, gdy pewnego wieczoru złożyliśmy im z bratem wizytę. Byli o wiele słabsi od nas. Brat zaniemógł po zjedzeniu ich mięsa, cztery dni i noce skręcał się z bólu, zanim z ust puściła mu się czarna piana i na moich rękach dokonał żywota. Nie powinniśmy byli jeść surowego ludzkiego mięsa. Ja również dostałem boleści brzucha, ale jakoś udało mi się wygrzebać z choroby. […]

Znaleźli mnie żołnierze, gdy nadciągnęli, żeby zrobić porządek i wszystko spalić. Okazało się, że z całej wioski przeżyłem tylko ja. Chcieli mnie zabić, gdyż uznali, że jestem skażony. Pojawił się jednak pewien oficer z jakimś urządzeniem i stwierdził, że to nieprawda. Byłem wyschnięty na wiór, ale nie miałem w sobie żadnego promieniowania. Oficer zabrał mnie i zostałem przy nim przez jakiś czas. Był dla mnie dobry, dawał mi jeść i pić, a także dbał, żebym chodził zawsze czysty i ładnie ubrany. Posyłał mnie nawet niekiedy do objazdowej szkoły,

abym oswoił się z innymi dziećmi, i w każdej wolnej chwili uczył, jak dawać sobie radę w szerokim świecie. Wieczorami siadaliśmy często w jego obszernym namiocie przy lampie łukowej albo przy uchylonych drzwiczkach żeliwnego pieca i wtedy czytałem mu na głos stare gazety i książki; zbierał je po wioskach i zawsze woził ze sobą. Znał kilka języków z rubieży, nauczył się ich w szkole wojskowej i podczas wielu wojen, w których brał udział. Potem szliśmy spać i było mi z nim zawsze w łóżku ciepło.

Kiedy pewnego dnia z powodu postępującej choroby popromiennej zwolniono go z armii, postanowił udać się do Zony Śmierci, jak zaczęto nazywać tereny dawnej strefy zamkniętej. Krótko potem umarł, a ja spaliłem w lesie powłokę cielesną używaną przez niego podczas pobytu na Ziemi, jak sobie tego zażyczył jeszcze za życia. Z tego właśnie lasu, skąd ongiś wystrzelono rakiety, które spadły na nasze pogranicze i zalały je zatrutymi promieniami, chciał udać się w swoją ostatnią podróż do gwiazd. Wiele dla mnie znaczył. Myślę, że był jedynym człowiekiem w moim życiu, po którym rzeczywiście płakałem. […]

Po jego odlocie nie miał mnie kto bronić i polecono mi, abym natychmiast opuścił pogranicze. Wysłano mnie pociągiem na zachód, do obozu, gdzie osadzano sieroty płci męskiej z wszystkich terenów zagarniętych przez Unię. Tam to musiałem nauczyć się nowego języka, żeby móc porozumiewać

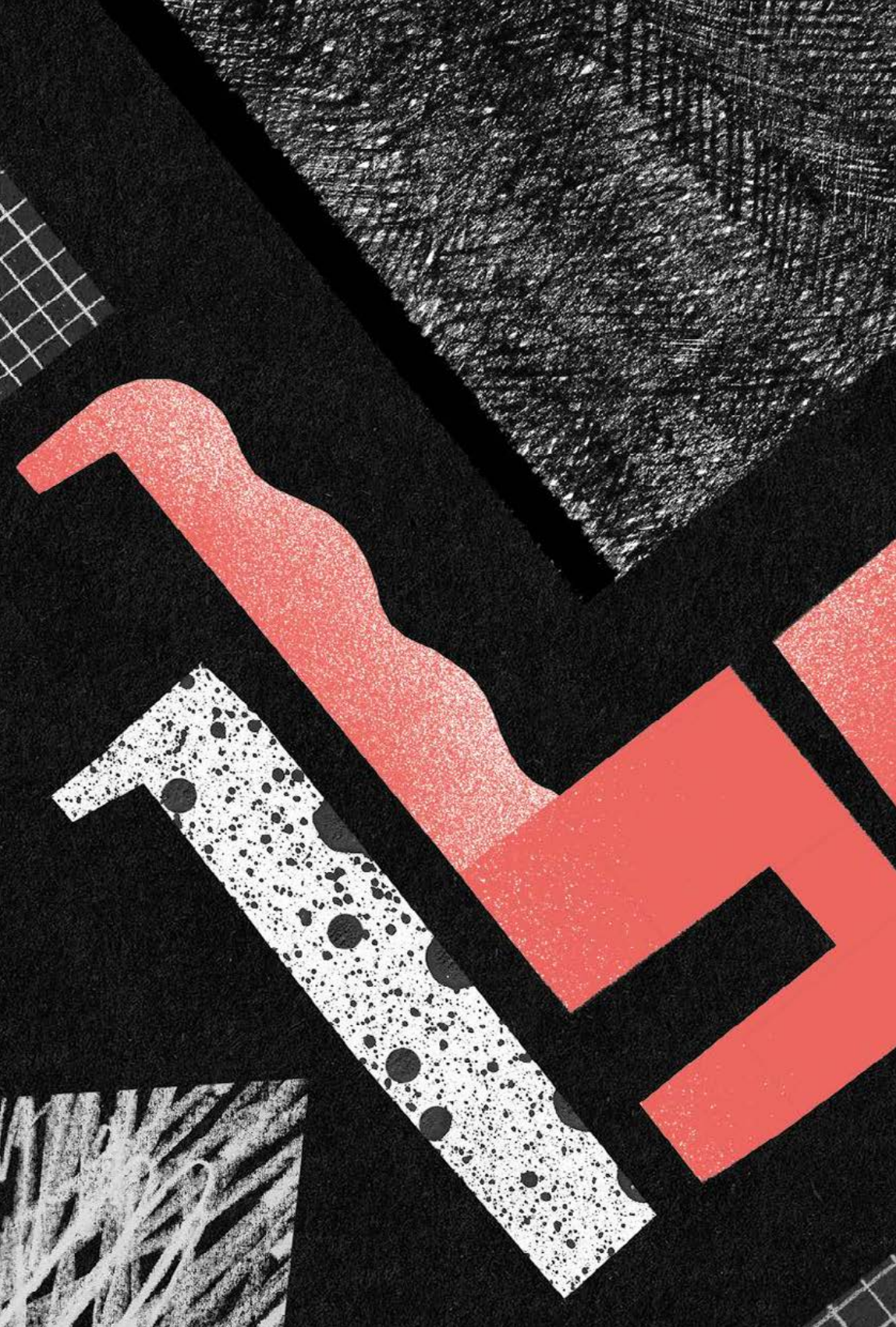

się z innymi popiołoskórymi. Był to język, który wy dobrze znacie, bo jest to wasz jedyny język. Pomógł mi on zapomnieć wiele z tego, co widziałem i przeżyłem jako dziecko na pograniczu. Język to potężna broń: uczysz się nowego, stary staje się balastem, który trzeba z siebie zrzucić, żeby pójść naprzód. Jako że w obozie nie spotkałem nikogo, kto używałby mojej rodzimej mowy, zrezygnowanie ze starego języka przyszło mi bez trudu. Mój język odszedł ode mnie, opuścił mnie, i ja go również opuściłem. Teraz już wiem, że mi go wtedy zabrano, tak samo jak zabrano mi moją wioskę, moją rodzinę i moją jedyną ojczyznę.

Do dzisiaj śnię niekiedy o naszym przysiółku, o bezkresnych łąkach i polach, które rozciągały się za naszą chałupą, o wysokich łanach soczystych traw rozkołysanych podmuchami wiatru, o dojrzałych, złotych kłosach zbóż skłaniających się ku świętej ziemi, wyczekujących niecierpliwie żniwiarzy, o drzewach obsypanych zielonym listowiem, ciężkich od owoców, o pasących się na łące kozach i łożoniach, które zagania się przed wieczornym zmrokiem do obory, żeby je wydoić. I kiedy śni mi się to wszystko, widzę obrazy dające się opisać tylko w moim starym języku. W nowym brakuje mi na to słów. I wtedy wzbiera we mnie płacz. I ciekną mi łzy. Budzę się, nucę w myślach starą kołysankę, którą śpiewała mi matka albo starszy brat, gdy byłem mały, i próbuję ponownie zasnąć, aby w ten sposób wrócić na pogranicza, w moje dawne strony. I ciągle wierzę, że ktoś tam na mnie czeka.

Wiem jednak, że nie czeka na mnie nikt. Bo wszyscy umarli. Bo wszystkich w ten czy inny sposób zjedzono. […]

Trzymano mnie w obozie dla męskich sierot przez trzy lata. W tym okresie sześć razy próbowałem dać drapaka, ale zawsze mnie łapano i odsyłano z powrotem do baraku. W obozie próbowano zrobić ze mnie technika kanalizacyjnego. Jednakowoż kładzenie i odtykanie rur oraz grzebanie się w brudzie zupełnie mi nie leżało. Wolałem zostać piekarzem albo kucharzem, ale nie miałem wystarczającej ilości punktów, żeby mi na to pozwolono. Nigdy nie ukończyłem szkoły mającej przysposobić mnie do wykonywania jakiegoś zawodu. W ostatnim roku pobytu w obozie zetknąłem się z drabkarzami. I to właśnie oni pomogli mi stamtąd uciec. Jeden z braci należących do kultu przeprogramował chipy, które wszczepiono mi jeszcze na rubieżach, gdy znakowano ocalałe z pogromu niedobitki, i w ten sposób uzyskałem nową tożsamość. Stałem się Hagidem. […]

Poszedłem na północ, do stolicy kraju związkowego, gdzie trudniłem się dorywczą pracą. Co tam później robiłem, podczas powstania, dobrze wiecie, Kalong na pewno wam opowiadał. Nie ukrywam, że należałem do Rzeźników i że miałem nawet w gildii dość wysoką pozycję, gdyż znałem Biskupa z wcześniejszych czasów, kiedy to jeszcze polował na drabkarzy. Dzięki mnie przestał to robić. Nie jestem dumny z tego, co robiłem w mieście,

ale zmienić się tego już w żaden sposób nie da, gdyż większość ludzi, których mógłbym poprosić o wybaczenie, po prostu nie żyje. To miasto na północy mnie oszukało i naznaczyło. [...]

Pewnego ranka obudziłem się i wiedziałem, że to koniec. Umilkły trzaski laserowego płotu, wyłączono go, a żołnierze wtargnęli do miasta, żeby zaprowadzić ład i policzyć się z mieszkańcami. Pod wieczór wzięto mnie do niewoli. Wszystkie osoby pozostałe przy życiu, w tym również te, które trzymaliśmy w podziemnych farmach hodowlanych w klatkach jako żywe lodówki, spędzano na plac przed starym dworcem towarowym. A gdy tydzień później stolica została oczyszczona z buntowników, kazano nam powstać z betonowych płyt i iść przed siebie. Niektórzy byli zbyt słabi, żeby wykonać rozkaz, ledwo trzymali się na nogach. Tych zostawiono na placu i później rozstrzelano.

Tak, brałem udział w marszu śmierci, jednym z setek, jakie wówczas przeszły przez tereny Unii. Ten mój trwał jedenaście dni. Wielu z nas zmarło po drodze z wycieńczenia, wielu też eskorta wojskowa dobiła pałkami lub nożami, zanim dotarliśmy do celu: do stacji meteorologicznej na Zachodnich Bagniskach. Podczas marszu nie dostawaliśmy nic do jedzenia, a pić mogliśmy tylko brudną wodę z kałuż. Było zimno i wilgotno, niekiedy żołnierze pozwalali nam rozpalić ognisko i udawali, że nie widzą, gdy piekliśmy na patykach mięso naszych zmarłych towarzyszy. [...]

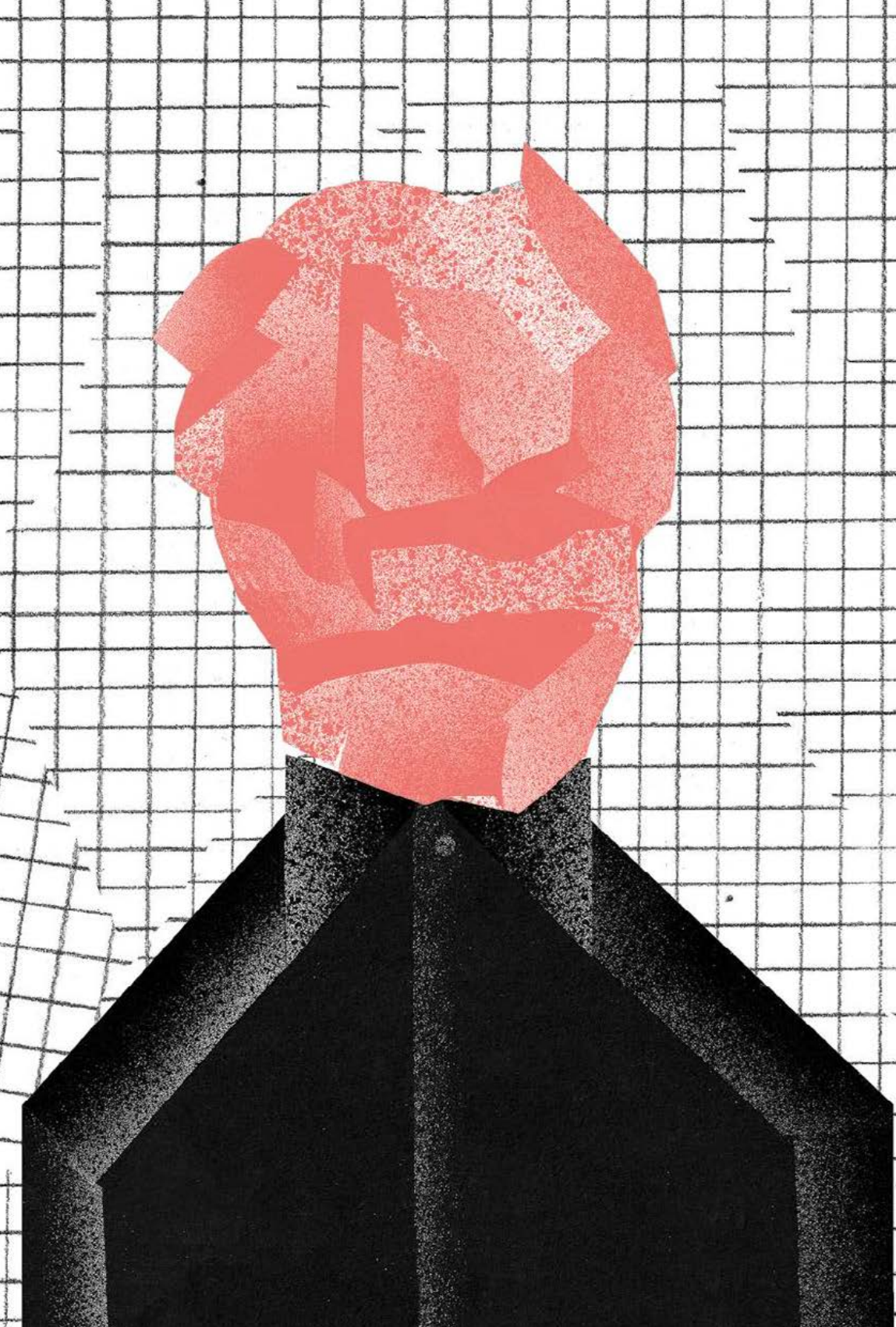

Przed stacją meteorologiczną przywitała nas kobieta. Siedziała na ławce tuż obok drzwi wejściowych, oparta plecami o ścianę, z ręką uniesioną nad głową, i miała na sobie czerwoną sukienkę. Rzuciło mi się to w oczy, gdyż bardzo dawno nie widziałem nikogo w tak kolorowym ubiorze, a poza tym przyzwyczaiłem się do tego, że większość kobiet nosiła wtedy kombinezony ochronne. Była piękna, pomyślałem, że podobnie piękna musiała być Trzecia Siostra, gdy w zamierzchłych czasach stąpała po Ziemi, i zdawała się do nas uśmiechać. Lecz kobieta na ławce nie żyła. Była martwa. Co najmniej od dwóch, trzech dni, jak się dowiedziałem. Jej ciało pozostawało w stanie nienaruszonym, nie widać było na nim żadnych zewnętrznych ran, musiała więc zażyć truciznę. Albo Isoptera ją wyłączyły. [...]

Żołnierze zajęli stację, wystawili posterunki przed drewnianym budynkiem i na długim pomoście, czyli na jedynej drodze łączącej trzęsawisko ze stałym lądem. Nie trzeba było być specjalnie lotnym na umyśle, aby się zorientować, jakie to plany mieli względem nas, uczestników marszu śmierci: od tego momentu zostaliśmy pozostawieni samym sobie, bez ochrony przed kaprysami pogody, bez dachu nad głową, bez świeżej wody, bez pożywienia – słowem: rzucono nas na pastwę losu. Żołnierze chcieli, żebyśmy wszyscy powyzdychali na tych bagniskach. Z głodu i chorób. Chcieli patrzeć, jak się wzajemnie uśmiercamy i pożeramy. Jakoże, będąc na ich miejscu, postąpiłbym podobnie,

pomysł ten nie zrobił na mnie większego wrażenia. Do pasji natomiast doprowadziła mnie okoliczność, że odważyli się ruszyć kobietę w czerwonej sukience, wnieśli ją nawet do stacji meteorologicznej. Następnie Trzecia Siostra została przez nich zbezczeszczona, a ja nie byłem w stanie temu ani zapobiec, ani w jakikolwiek sposób się przeciwstawić. Tydzień później wynieśli jej nagie ciało na dwór i cisnęli o ziemię, jakby to były zwłoki jakiegoś pospolitego śmiertelnika. Czerwona sukienka zniknęła. „Teraz to ścierwo należy do was! Żryjcie!" – zawołali do nas. Ale żaden z więźniów bagnisk nie tknął Trzeciej Siostry. Leżała przez cały dzień w błocie, a kiedy zapadł zmierzch, wziąłem ją na ręce i zaniosłem w głąb obozu. Na wąskim cyplu wrzuciłem ciało do wody i patrzyłem, jak pogrążało się w topieli. W miejscu, gdzie przed Trzecią Siostrą otworzył się jej kolejny ziemski grób, widywałem później w nocy lazurowe płomyki światła. I słyszałem cichy śpiew, którego nikt poza mną nie słyszał. […]

Fragment powieści *Schädelfeld* (*Pole Czaszek*), która ukazała się jesienią 2015 roku nakładem A1 Verlag w Monachium.

Rozgwiazda
Julia Fiedorczuk

Ilustracje:
Joanna Wojniłko

Liternictwo:
Monika Kozub

Projekt graficzny i skład:
Joanna Włoszczyńska

Rozgwiazda

11 sierpnia

Wczoraj minął rok od śmierci R.

Przyjechałam tu pięć dni temu, żeby uporządkować to, co po sobie zostawił, bo wierzę, że jestem jedyną osobą, która może postąpić lojalnie zarówno wobec literatury, jak i wobec niego. Ostatnie dziesięć lat przytomnego życia spędził przeważnie na tej skalistej, wietrznej, spalonej słońcem wyspie: przyjeżdżał i wyjeżdżał, najpierw zostawał na krótko, potem na dłużej, odbywał tu swoje pisarskie odosobnienia, podczas których nie kontaktował się z nikim, nawet ze mną. W końcu kupił dom i został tu na dobre, czyli na całe trzy lata, aż do momentu, kiedy choroba uniemożliwiła mu samodzielne funkcjonowanie. Pracował przez ten czas nad nową powieścią, nad swoim wyczekiwanym od lat *opus magnum*. Przyjechałam wtedy po niego – była to moja pierwsza wizyta w tym miejscu – żeby zabrać go z powrotem do Wiednia. Kilka miesięcy spędził w szpitalu, miał trudny do zdiagnozowania zespół objawów neurologicznych z okresami

dezorientacji i utraty pamięci oraz zaburzeniami widzenia. Po pół roku uznano, że nie da się powstrzymać demencji. Umieszczono go w ośrodku na zachodnich peryferiach miasta; dołożyłam wszelkich starań, aby wiadomość o tym nie przedostała się do prasy. Odwiedzałam go codziennie, nawet wtedy, kiedy już mnie nie poznawał. Nadal pisał, jakby to była kwestia jakiegoś fizjologicznego odruchu. Zastawałam go siedzącego na ławce w parku przed ośrodkiem i notującego coś skrupulatnie w jednym ze swoich zeszytów. Zabierałam te zeszyty do domu i studiowałam. Były to szczegółowe raporty z jego drastycznie okrojonego życia: niekończące się opisy posiłków, listy przyjmowanych leków, uwagi o pogodzie i szwankującym wzroku. W skrócie, sprawozdanie z progresji konania.

Przez parę pierwszych tygodni po jego śmierci nic zupełnie nie czułam. Byłam jedyną osobą, która mogła zająć się formalnościami – poza mną nie miał nikogo bliskiego. Nigdy się nie ożenił, nie miał dzieci, od kilku dekad nie utrzymywał kontaktu z rodziną z Polski, pod koniec nie miał już przyjaciół, choć oczywiście kręcili się wokół niego wielbiciele i naśladowcy, agenci i wydawcy ostrzący sobie zęby na ostatnie dzieło wybitnego pisarza, cały ten tłum sępów w każdej chwili gotowych zlecieć się do trupa.

Dlatego zdecydowałam, że wszystko załatwię sama, i że nikt inny nie będzie miał dostępu do jego dokumentów. Zebrałam i uporządkowałam to, co zostało w jego wiedeńskim mieszkaniu. Szpitalne zeszyty spaliłam. Wiedziałam, że cała reszta będzie tutaj, w jego domu na wyspie, dlatego, kiedy minęły, kolejno, otępienie, złość i rozpacz, spakowałam wiedeńskie papiery, trochę swoich rzeczy, i przyjechałam. Zatrzymałam się w pensjonacie nad samym brzegiem morza, w odległości siedmiu kilometrów od miasteczka, w którym znajduje się Villa Rosa – tak nazywał swój dom. Nie mogłam zamieszkać w Villi, bo nie wiadomo, do kogo ona teraz należy (R. nie sporządził testamentu) i opiekę nad nią tymczasowo przejął związek pisarzy. Pozwolono mi jednak wejść do środka i przejrzeć papiery R. Jako jego wieloletnia sekretarka dobrze poznałam jego sposób pracy, więc jeśli ktokolwiek odnajdzie niedokończone dzieło mistrza w jego rozproszonych zapiskach, będę to ja.

Bliskość morza natychmiast okazała się błogosławieństwem. Panował taki upał, że tylko częste kąpiele w chłodnej, przejrzystej wodzie umożliwiały przetrwanie. Momentami zrywał się wiatr, ale był to zły, gorący wiatr wiejący od lądu. Z trudem oddychałam. Najprostsze czynności wymagały nadludzkiego wręcz wysiłku. Dopiero po dwóch dniach pojechałam wynajętym samochodem do Villa Rosa. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy przyjechałam tam, żeby zabrać R. do Wiednia, nie licząc kilku pajęczyn, trzech jaszczurek (kiedy tylko poczuły na sobie mój wzrok, natychmiast czmychnęły) i warstwy kurzu pokrywającej sprzęty. Opróżniłam biurko, stosy papierów rozwleczone po całym domu zebrałam do kartonowych pudeł i zniosłam to wszystko do samochodu. Pot zalewał mi oczy, serce łomotało. W drodze powrotnej poprosiłam, żeby kierowca obwiózł mnie po miasteczku. Pokryte piaskowcem domy lśniły w słońcu, roślinność była prawie zupełnie wyschnięta, z wyjątkiem rzędu majestatycznych palm wzdłuż głównej ulicy. Witryny nielicznych sklepików w rynku zasłonięto na czas sjesty. Wielki, głęboki, wibrujący błękit nieba zdawał się przygniatać miasteczko do suchej, czerwonej ziemi.

Wróciłam do mojego mieszkania. Po krótkiej sjeście zeszłam do morza. Grupa turystów z Polski opanowała niewielką plażę przylegającą do pensjonatu. Blady, grubawy facecik w czerwonych kąpielówkach i goglach długo nakładał płetwy na drabince prowadzącej do wody. Czekałam na brzegu, aż skończy. „Powinni to całkiem inaczej urządzić", powiedział do mnie po polsku, próbując zawiązać sojusz. Nie wiem, jak to możliwe, ale zawsze umieją mnie rozpoznać. Wzruszyłam ramionami. Woda była chłodna, bardzo przejrzysta, pływanie sprawiało ulgę.

14 sierpnia

Upał jeszcze się nasilił. Słońce pali niemiłosiernie od samego rana, w południe oślepia, po południu świat zaczyna tracić kontury, jakby był zrobiony z galarety, jakby cały zamieniał się w ostrygę. Można tylko dryfować w morzu albo spać.

Rankami i wieczorami przeglądam papiery. Na razie są to głównie opisy przyrody, miejsc i banalnych zdarzeń, fragmentaryczne, pełne powtórzeń. Najlepsze przepisuję na komputerze, redagując je nieco od razu, znam jego styl bardzo dobrze, miałam mnóstwo czasu, żeby go opanować, umiem odgadnąć intencje. Nie znalazłam jeszcze planu powieści ani niczego, co stanowiłoby chociażby zalążek fabuły, żadnych notatek do „europejskiej powieści na nowe stulecie", nad którą rzekomo pracował. Nocą, kiedy kładę się do łóżka, słyszę chlupotanie morza, chwilami staje się ono tak głośne, że zagłusza bieg myśli. Z początku sądziłam, że jest jednostajne, z czasem zaczęły wyłaniać się zarysy jakiejś kompozycji. Prawie mdlejąc z gorąca pod mokrym prześcieradłem, próbowałam ją zrozumieć, w końcu, nie wiadomo kiedy, usnęłam.

25 sierpnia

Rano, jeszcze przed śniadaniem, zeszłam popływać w zatoce. W wodzie roiło się od… czarnych serc. Po bliższym przyjrzeniu się zrozumiałam, że są to osmalone liście. „Paliło się tam po drugiej stronie, słyszała pani?" – facecik w czerwonych kąpielówkach niespodziewanie pojawił się na brzegu i wskazywał na zalesione wzgórza po drugiej stronie zatoki. Nie słyszałam, odkąd tu przyjechałam, interesowały mnie wyłącznie sprawy związane z R. „Był wielki pożar" – ciągnął. „Ale już zgasili" – dodał uspokajającym tonem. Zanurkowałam.

Potem drzemałam. Było straszliwie gorąco, można było odnieść wrażenie, że wszystko powoli rozpuszcza się w słońcu – zatoka, dom, ja sama. Za to pod wieczór powiała bryza od morza i przyniosła chwilowe

odświeżenie. Siedziałam na tarasie, rozkoszując się chłodem, ale długo to nie potrwało.

Zapadła kolejna gorąca i duszna noc. Skończyłam przeglądać zawartość pierwszego pudła. Nic, tylko niekończąca się inwentaryzacja banalnych czynności, czasem jakieś proste historyjki: wyprawa na targ, gotowanie, zamykanie okiennic dla ochrony przed południowym słońcem, drzemanie, sny, lektura gazety przy popołudniowej kawie, kieliszek wina o zachodzie słońca, znowu sny, jeszcze więcej snów, i wszystko jeszcze raz od nowa. Zanotowałam fragmenty, papiery spalę.

18 sierpnia

Za długo spałam. Po wstaniu od razu poszłam do wody. Człowiek w czerwonych kąpielówkach leżał rozciągnięty na plastikowym leżaku. Wskoczyłam do wody. Jest tak słona, że pływanie w niej nie wymaga żadnego wysiłku, ciało po prostu unosi się na powierzchni jak korek. Nawet moje wysuszone zwłoki odzyskały lekkość. Położyłam się na plecach i dryfowałam, wpatrując się w bezdenne, pulsujące niebo.

Wchodząc po schodach na górę, zerwałam z drzewa dojrzałą figę – nie wiem, co we mnie wstąpiło. Od razu wpakowałam ją sobie do ust. Na górze zaparzyłam dzbanek mocnej, czarnej kawy. Piłam kawę, stojąc na tarasie. Słońce migotało na falach, jakby ktoś rozsypał opiłki srebra i złota.

Schodziłam do wody jeszcze kilka razy, dla ochłody. Wieczorem przeglądałam papiery z drugiego pudła. Znalazłam plik kartek podpisany: „Europa – notatki". Ale dalej były tylko opisy okolicznych plaż i długa lista plastikowych przedmiotów wyrzuconych przez morze: reklamówki, butelki, korki, szczoteczki do zębów, klapki, gumki do włosów, ręka lalki, przedziurawiony materac, kubeczek, etui do telefonu komórkowego, widelec (tytuł tego dziwnego poematu brzmiał: „Elegia"). Kartkę z listą spaliłam nad popielniczką. Wszedł księżyc: jest nadgryziony z jednej strony, zmierza do nowiu. Otacza go delikatna mgiełka.

Nad ranem intensywne sny. Wędrowałam przez jakieś obce miasto, kiedy to natrafiłam na grupkę jakichś łobuzów. Stali na chodniku i rzucali do siebie butelkami, raz na jakiś czas butelka spadała na chodnik i rozbijała się z głośnym brzękiem. Podeszłam do nich i powiedziałam: „Przestańcie". Najmłodszy, blondyn, prawie dziecko, odpowiedział: „pani musi być strasznie stara, żeby się tak nie bać". „Mam siedemdziesiąt lat", odparłam z dumą. Śmiałam się z tego po przebudzeniu, aż uświadomiłam sobie, że moja odpowiedź nie była aż tak strasznie daleka od prawdy…

Cała wieś czeka na burzę, skwar i duchota są prawie niemożliwe do zniesienia. Żeby otrząsnąć się z tych snów, poszłam rano do lokalnej kawiarenki na podwójne espresso. Nieopodal dzieci wskakiwały do wody z wysokiego falochronu. Czas grzązł w upalnym powietrzu, w galarecie, więc oglądałam te ich skoki w zwolnionym tempie – były to bardzo piękne dzieci, jak gwiazdy spadające w pióropuszach z blasku. Przy sąsiednim stoliku siedział na wysokim stołku opalony chłopiec w niebieskich szortach. Od razu nazwałam go: Hiacynt. Miał krótko ostrzyżone włosy, a tuż poniżej linii włosów pasek jaśniejszej skóry – to budziło czułość. Pił lemoniadę, na stole leżała paczka papierosów i okrągła, szklana popielniczka. Gumowe klapki przewracały się na podłodze obok jego szczupłych stóp. Tuż obok tych stóp ostro kończył się rzucany przez markizę cień – dalej już niepodzielnie panowało słońce. Skończyłam kawę, zapłaciłam i poszłam w to dzikie słońce, starucha.

Po sjeście przemknęło mi przez myśl, że ja sama mogłabym napisać „Europę". Wiem przecież, co go interesowało, jakie były jego obsesje, znam historię jego życia, miałam mnóstwo czasu, żeby to wszystko przetrawić.

Tego samego dnia, po południu

Facecik z dołu wyłowił z wody rozgwiazdę i położył ją na skałach do wyschnięcia – też mi trofeum myśliwskie! Było już za późno, żeby wrzucić ją z powrotem do wody. Nocna myśliwa, taka w wodzie silna, szybko zdechła w słońcu. Patrzyłam na tego człowieka z taką intensywną wrogością w oczach, że w końcu i jego zrobiło mi się trochę żal. Ulitowałam się nad nieforemnym ludzkim ciałem przysmażonym na czerwono niczym pieczeń nad ogniem. Spojrzał na mnie spode łba jak obrażony chłopiec. Moje współczucie prysło. Muszę napić się wina.

Tego samego dnia, wieczorem

Przed momentem – widziałam to z góry – człowieczek wziął rozgwiazdę za jedno z jej wiotkich już ramion i wrzucił z powrotem do morza. Wyglądała jak mała czerwona szmatka, chustka do nosa. Mimo wszystko poczułam ulgę, jej szczątki zostaną natychmiast zjedzone, tak jest dobrze, to należy do natury rzeczy. Muszę powiedzieć, że jeszcze nigdy nie piłam czerwonego wina o tak intensywnym aromacie.

– – –

Tuż przed północą ponownie zeszłam popływać. Morze mlaskało jak wielka wilgotna paszcza.

Parę godzin później, nad ranem, wreszcie przyszła burza. Grzmiało przez kilka godzin bez przerwy, do tego zacinał deszcz, do tej pory na moim tarasie stoją kałuże wody. Ochłodziło się i świat wygląda, jakby ktoś przetarł go gąbką, przedmioty odzyskały kształty, roślinność stała się intensywnie zielona. Poszłam do sklepu. Mieszkańcy wyszli przed domy, zaludnił się mały okrągły plac obok kafejki, wszyscy świętują tę zmianę pogody, odrodzenie świata. Wezmę się dzisiaj za kolejne pudła, ale najpierw drzemka, w nocy, zafascynowana tym spektaklem wody i światła, wcale nie mogłam spać.

– – –

Matka chmura i córka chmura, wyglądają, jakby trzymały się za ręce, jakby ta większa prowadziła tę mniejszą.

Trwało tylko chwilę. Idę pływać.

Że też można unosić się na wodzie prawie bez ruchu, z rozłożonymi ramionami, zupełnie jakby się latało. Przy samym dnie duża ławica małych, podłużnych, pasiastych rybek płynęła w ustalonym porządku, chociaż żadna z nich żadnego porządku nie przestrzegała. Niebieskie płetwy jakiegoś pływaka spowodowały małą eksplozję baniek powietrza pod wodą: ruchliwe srebrne pęcherzyki wyglądały jak kulki rtęci.

Jaszczurka przebiegła mi drogę kiedy wracałam na górę, jej ruchy, rytmiczna naprzemienność podejmowanego wysiłku i spoczynku, przypominały falę. Stale do mnie powraca jedno zdanie z zapisków do „Europy", banalne, ale jakoś nie daje o sobie zapomnieć: „będziesz miała tyle, ile umiesz wziąć…"

Śniła mi się rozgwiazda. Przeczytałam potem w Internecie, że ten gatunek żywi się głównie ślimakami i małżami. Rozgwiazda przysysa się do małża swoimi odnóżami, jest tak silna, że po pewnym czasie udaje jej się uchylić muszlę. Przez powstałą w ten sposób szczelinę wpuszcza do wnętrza muszli swój żołądek (najpierw wynicowuje go na zewnątrz). Następnie polewa małża sokami żołądkowymi i trawi go w jego własnym domu, potem stopniowo wchłania. Taka uczta może trwać nawet dziesięć godzin.

Byłam zmęczona, większą część dnia spędziłam, drzemiąc na tarasie, patrząc na chmury. Zdawały się być całkowicie nieruchome, jednak kiedy tylko przymknęłam na moment oczy, to po ich ponownym otwarciu zastawałam zupełnie inny widok. Wieczorem przyszedł e-mail od dużego austriackiego wydawcy: pytają, czy jest szansa, by „Europa" była gotowa do druku jeszcze w tym roku. „Nie ma szans", odpisałam natychmiast. Przecież będę musiała napisać tę książkę. W trzecim pudle odkryłam duży plik zawierający prawie wyłącznie opisy ludzi. Policzyłam je dla zabawy: czterdzieści sześć osób. Właśnie: od pewnego czasu nie widziałam człowieka w czerwonych kąpielówkach, znikła cała ta polska grupka, pewnie wyjechali. Pomyślałam znowu o rozgwiazdach, o ich nocnych ucztach. Te zwierzęta poruszają się bardzo powoli, ale jakże skutecznie. W głębokim mroku morza skradają się do ofiary, a kiedy już dopadną ją tymi swoimi silnymi ramionami – nie ma odwrotu.

Po południu poszłam na spacer, weszłam na wzgórza za wioską i wędrowałam tak, jak prowadziła mnie droga, najpierw asfaltowa, potem szutrowa. Droga w końcu przeszła w ścieżkę, potem urywała się nawet ścieżka. Ziemia była ceglastoczerwona i sucha – po wodzie z ostatniej burzy nie było już śladu – nieopodal rosły stare drzewa oliwne o szarych, pluszowych liściach. Oliwki były jeszcze małe, wielkości paznokcia. Doszłam w końcu do miejsca, z którego było widać moją zatokę i pensjonat. Białe budynki wibrowały w słońcu, morze migotało, znowu zaczynało robić się niemiłosiernie gorąco. Nie mogłam sobie przypomnieć, jaki to dzień tygodnia – chyba zaczęłam tracić rachubę czasu. Godziny, dni, tygodnie są jak kulki rtęci, łączą się i rozdzielają, a potem znowu się łączą – inaczej.

Wieczorem dalej przeglądałam papiery. Przyszło mi do głowy, że z monotonii opisów wyłania się jednak jakaś kompozycja. Być może będę musiała przeczytać wszystko jeszcze raz od nowa. Znam jego intencje lepiej niż ktokolwiek inny, przepisywałam jego książki przez trzydzieści lat. Przez trzydzieści lat byłam jego pierwszą redaktorką.

Po zachodzie słońca nalałam sobie czerwonego wina. Piłam je małymi łykami, patrząc na pomarańczowe i różowe smugi nad wzgórzami po drugiej stronie zatoki. Wyglądały jak łuna od pożaru. W końcu światło zgasło. Na rozgrzanej ścianie domu siedział gekon w kolorze jasnego ciała. Czekał na ćmę.

Ponownie pojechałam do Villa Rosa, nie prosiłam już o pozwolenie, otworzyłam drzwi kluczem, który znalazłam, porządkując wiedeńskie mieszkanie R. po jego śmierci. Kiedy zaczęłam przeszukiwać sypialnię, spod łóżka wylazł skorpion! Zamarłam ze strachu, potem, ni z tego ni z owego, przypomniał mi się sen, ten sprzed kilku dni… Poszłam do kuchni po szczotkę z długim trzonkiem. Otworzyłam drzwi prowadzące na taras. Za pomocą szczotki wypędziłam skorpiona na taras, z tarasu – do wysuszonego na wiór ogrodu.

Znalazłam papiery pod materacem i w szafie – między prześcieradłami. Spory folder leżał na spodzie szuflady ze sztućcami w kuchni. A więc chował te notatki – chował je. Ale przed kim je chował? Powiedziałam kierowcy, żeby wrócił wieczorem, po czym przystąpiłam do systematycznego przeszukiwania domu. Ponownie przejrzałam sypialnię, kuchnię, salon, gabinet, łazienkę, każdy zakamarek, każdą szufladę, każdą szafę. Zajrzałam nawet pod donice na balkonie. Zdjęłam książki z półek. Nie miałam siły ustawiać ich z powrotem na miejsca, bo znów było bardzo gorąco. Znalazłam jeszcze kilka pojedynczych kartek. Spakowałam to wszystko do torby i usiadłam na tarasie, żeby zaczekać na kierowcę. Wiedziałam, że więcej już tam nie wrócę, Villa Rosa może sobie teraz należeć do związku pisarzy. Zaczęłam przeglądać kartki: znowu to samo, życie, życie chwila po chwili, godzina po godzinie, do tego jakieś fragmenty spisane z gazet z komentarzem: „złe wieści". „Przecież nie ma żadnych

innych wieści" – pomyślałam – „tylko złe". Kiedy znalazłam kartkę z literami „S.O.S", zrozumiałam, że właśnie w tym momencie zaczynał tracić zmysły.

Wieczorem dokładnie obejrzałam swoją twarz w lustrze. Opaliłam się, chociaż nie miałam takiego planu. Od pewnego czasu moje rysy zaczęły się wyostrzać, pogłębiły się bruzdy na czole i po bokach mojego dużego nosa. Opalenizna jeszcze bardziej mnie postarzyła, wyglądałam jak czarownica. Czyżbym jednak przybrała trochę na wadze?

Rano, przy lekkim zachmurzeniu, morze wyglądało prawie groźnie. Leżałam w łóżku, nasłuchując, byłam prawie pewna, że coś do mnie mówi. Potem wygramoliłam się z pościeli, trochę bolało mnie biodro. Zawsze byłam zdania, że to ciało jest moją największą porażką. Ubrałam się i poszłam do sklepu. Kupiłam więcej kawy, pomidorów, oliwek i wina. Stojąc w kolejce do kasy, zerknęłam na gazety na stojaku. Nie znam tutejszego języka, więc nie rozumiałam nagłówków – tylko zdjęcia. „Jaka to wojna?" – miałam ochotę grzecznie kogoś zapytać, ale nie wiedziałam jak. Wróciłam do domu, zrobiłam śniadanie. Następnie, po deserze składającym się z dwóch dojrzałych, rozgrzanych na słońcu fig, napisałam do mojego asystenta, że inaczej niż początkowo planowałam, jednak nie wrócę do Wiednia z początkiem września. Potrzebuję nieco więcej czasu. Może jeszcze miesiąc. Może dwa.

Prozy

Xabier Montoia

Przełożyła:

Alicja Jankowiak

Ilustracje:

Joanna Żamojta

Liternictwo:

Kaja Słojewska

Projekt graficzny i skład:

Martyna Leszek

nauka czytania

Po drodze do pracy ojciec odprowadza synka do szkoły, trzymając go za rękę. Dziecko bardzo niedawno nauczyło się czytać i teraz odczytuje ojcu nazwy sklepów: Zakład introligatorski Mainer, Kolkay, Añua, Sosoaga, Obuwie Avelino...
Mały idzie zadowolony, zachwycony świeżo opanowaną zdolnością. Świat nie ma przed nim tajemnic.
U boku prowadzi milczącego ojca.
Wolność, przeczytał hasło na murze, wypisane czarnymi, trochę koślawymi literami.
Nie wie co, ale nagle poczuł w ręce, że coś zrobił źle.

życiorys

Gdy mgła zaczynała się podnosić, odsłaniała to, co od małego widywał codziennie, poza miesiącami, kiedy odbywał służbę wojskową. Jego rodzice, dziadkowie i pradziadkowie też codziennie patrzyli na to samo. Oto łąki, pastwiska, ledwie widoczne pobliskie wzgórza oraz – jeszcze poza zasięgiem wzroku – odległe skały. Oto biegnąca w dół do miasteczka droga, którą przed siedemdziesięcioma laty wyruszył jego starszy brat, aby już nigdy nie wrócić. Od tamtego czasu wszystko bardzo się zmieniło. Jednak jak można było przewidzieć, że ten zakątek świata też kiedyś się zmieni? Ale wszystko się zmieniło, wszystko zniknęło. Dzieci wzięły ślub i wyprowadziły się daleko, żona zmarła, a on nagle stał się jedynym mieszkańcem tego domu, który niegdyś zawsze był pełen ludzi. Ten widok to jedyne, co mu zostało. Całe życie starał się być dobrym chrześcijaninem, ale jak tu wierzyć w Boga, który nie wysłuchuje modlitw i tak łatwo akceptuje podłość? Był też członkiem Nacjonalistycznej Partii Baskijskiej, na cześć brata, który jako żołnierz armii baskijskiej poległ na wojnie. W biurze partyjnym, gdy pokazał im pismo, jakie dostał od władz, powiedzieli mu, że to postęp, że kolej jest niezbędna dla ojczyzny. W imię dobra Kraju Basków – i żeby paru osobom nabić kieszenie – zrobiono to, czego nie zrobiły nawet oddziały karlistowskie, które wkroczyły od strony Nawarry podczas wojny domowej. Ale nie oszukają go znowu. Nie zobaczy, jak mechaniczne potwory zrównują mu dom z ziemią. Nie ściągną go z tego dachu żywego. Utkwi wzrok w lesie bukowym, w łąkach, w odległych skałach, aby nigdy nie ukradli mu krajobrazu jego życia, gdy ryk maszyn zbliża się, jakby to był szum rzeki.

coraz mniej

Generalnie kobiety rozmawiają o mężczyznach. Rozmawiają, kiedy mogą, przede wszystkim podczas przerwy śniadaniowej, między jedzeniem a papierosem. Czasami rozmawiają też przy taśmie, ale szybko okazuje się, że nie da się jednocześnie pracować i rozmawiać. Lewą ręką chwytają plastikową skrzyneczkę, która przyjeżdża na taśmie, do niej prawą ręką wkładają jedną z baterii, które leżą obok, a potem zaraz następną. Tak w kółko.

Wydaje się, że są kompletnie pochłonięte pracą, jednak w środku każdej z nich nie panuje cisza. Bez przerwy odbijają się w nich echem słowa przyjaciółek i koleżanek z pracy, zdaje się, jakby taśma też niosła to echo. Jeżeli tak jest, mają okazję drobiazgowo analizować te słowa, przesuwające się przed nimi podobnie jak białe plastikowe skrzyneczki.

Tym zajmuje się na przykład Daniela. Za zgodą nadzorcy oddziału poszła do łazienki i spotkała Margot. Daniela, inaczej niż Margot, stara się chodzić do łazienki jak najmniej, zwłaszcza ostatnio, w obawie, żeby jej nie wyrzucili. Czasami jednak nie ma wyjścia.

Margot zwykle przychodzi tam częściej. Jest jej łatwiej niż Danieli, bo jest przedstawicielką związku zawodowego, gdyby mieli kogoś zwolnić, byłaby jedną z ostatnich. Ma w zwyczaju chodzić na papierosa, o czym wiedzą wszyscy w zakładzie, ale nikt jej nigdy nic nie powiedział.

Z początku Daniela jej nie zauważyła. Niczego nie widziała, weszła w pośpiechu i ledwie zdążyła pochylić głowę nad sedesem. Tam wyrzuciła z siebie pierwsze śniadanie i drugie śniadanie, a kiedy poszła umyć twarz, zorientowała się, że ktoś się jej przygląda.

Mam rozstrój żołądka.

Rozstrój? Margot się uśmiechnęła.

Tylko tyle jej powiedziała – prawie nic. Ale to jedno krótkie słowo, rzucone jako pytanie, było dla Danieli jak pętla zaciskająca się na szyi. Gdy wróciła do taśmy, starała się rozwiązać tę pętlę, tak jak bezustan-

nie próbowała to zrobić przez ostatnie tygodnie. Nie musi oszukiwać sama siebie, uśmiech Margot nie zostawia wątpliwości. Jeśli ona się zorientowała, matka też prędzej czy później się zorientuje. Powie ojcu, a wtedy...

Nie ma wyjścia, trzeba podjąć decyzję, bo zaczyna mieć coraz mniej czasu.

kwant

Samochodem jedzie dwóch przyjaciół: Asier i Mikel. Samochód jest Asiera i to on prowadzi. Spróbuj zapomnieć, powiedział Mikelowi.
Zapomnieć? Jak mam zapomnieć, włożyłem w to tyle miesięcy pracy? Gdyby tobie ukradli, od razu byś zapomniał, co?
Ale jesteś pewien, że ci ukradli?
Tak. Była w plastikowej torbie, takiej z supermarketu. Rano po nią poszedłem, żeby wieczorem trochę zapalić, ale nigdzie ani śladu.
A nie zostawiłeś jej gdzieś indziej? Zdarzyło ci się tak już parę razy, prawda? Schowałeś coś tak dobrze, że później sam nie mogłeś tego znaleźć.
Torbę zawsze miałem w tym samym miejscu, na widoku, żeby każdy, kto ma ochotę, mógł zapalić.
Tak, ale może...
Ty, Asier, przecież też ją widziałeś, i sam też robiłeś mnóstwo skrętów.
Oczywiście.
Dlatego wiesz, że zawsze była w tym samym miejscu, a skoro teraz jej nie ma, to ktoś mi ją musiał ukraść. To jasne jak słońce.
Żałosne. Spuścić łomot i obciąć rękę, tak bym zrobił.
Zasłużył sobie. Pewnie nigdy się nie dowiemy, kto jest złodziejem. Siedzi sobie teraz w domu, wyluzowany, i śmieje się ze mnie, popalając moje zioło.
Mówię ci, spuściłbym łomot i obciął rękę.
Rozumiem, że ktoś kradnie kasę, ale kraść zioło... Ukraść, żeby zużyć.
Podejrzewasz, kto jest złodziejem?
Oczywiście! Mam wiele podejrzeń, aż za dużo.
Być może to byli gliniarze. Tym z Tolosy podobno to oni ukradli.
Skąd wiedzą, widzieli ich czy jak?
Tak. Pojawili się podobno pod koniec września, nocą, kilka dni przed żniwami. Zabrali im całe zielsko.
I?

Na początku chcieli na nich donieść, ale szybko uznali, że na tym stracą.
A gliniarze nie donieśli na tych z Tolosy?
Nie. Podzielili się i spalili między sobą, tak jak zrobił pewnie twój złodziej.
Sukinsyny.
To co będziemy robić, skoro nie mamy nic do palenia? Słaba ta nasza impreza.
Napijemy się.
Tylko to nam zostało.
Kontrola drogowa! powiedział Mikel.
Skąd wiesz?
Mikel pokazał mu znak obok drogi.
Cholera, Asier zbladł.
Po karabinach zorientowali się, że to Guardia Civil. Nie zatrzymają nas, powiedział Mikel.
Asier siedział cicho.

Zatrzymali ich jednak i polecili wyjść z samochodu. Wyszli natychmiast. Kazali im patrzeć w stronę gór i się nie odzywać. Stali tak, patrząc na górskie zbocza, które tą jesienną porą zdobiły czerwone liście drzew, aż w końcu podszedł do nich jeden z funkcjonariuszy i zapytał Asiera:
Co z tym chcieliście zrobić?
Dwaj przyjaciele się odwrócili.
Funkcjonariusz miał w rękach plastikową torbę. Tę z supermarketu.

Z przerażeniem zobaczyła wokół uzbrojonych ludzi. Ciepło kołdry i pościeli szybko zmieniło się w chłód. Miała na sobie tylko długą koszulę Jokina. Krzyczeli na nią, jednocześnie klnąc i zadając pytania. Kazali jej wstać. Złapali ją za piersi i pośladki, niby rewizja. Byli spoceni, ale mieli zimne ręce. Ich pachy miały gorzki zapach. Na żebrach poczuła pchnięcia lufami. Związali jej ręce i zaprowadzili ją w róg, ciągle krzycząc. To małe pomieszczenie i nie chcą przeszkód. Z rogu widziała, jak zaczęli przeszukanie. Jak tylko otworzyli szafę, zaczęli wyrzucać z niej ubrania, i tak samo zrobili z rzeczami w szufladach. Wszystko na ziemię – skarpetki, majtki, chusty, szaliki, paski. Poza dokumentami, te schowali dobrze – od notariusza, ubezpieczenie domu, z banku, rachunki. W międzyczasie to samo robili w innych pokojach; słychać było, jak depczą i niszczą. Że jest dziwką i że ją zabiją, szarpali ją za włosy. Ma odpowiadać! Na co odpowiadać? Z pytaniami zbierała ciosy, coraz boleśniejsze – policzki, popchnięcia, uderzenia w podbródek, w twarz, kopniaki.

Od kiedy Jokin uciekł, co noc ma koszmary. Wyciągnęła rękę i znalazła budzik, nie otwierając oczu. Kiedy je otworzyła, zobaczyła, że jest druga w nocy. Wstała i poszła do kuchni. Podgrzała garnek z mlekiem. Wypiła je na stojąco.
Wtedy usłyszała windę, której dźwięk nagle przerwał nocną ciszę, zakłócaną jedynie szmerem lodówki. Kubek z mlekiem, który wypadł jej z ręki, rozbił się na tysiąc kawałków.

wolt

Dopóki w końcu nie zabrali Etxebarrii i nie zostało nas tylko kilku, nie mogłem zobaczyć Belategiego z bliska. Dzisiaj też jest ubrany, jakby wybierał się w góry, tak samo jak co weekend, gdy przychodzi do txoko[1] (ciemnobrązowe sztruksowe spodnie i gruba bawełniana koszula w czerwoną kratę), i dzięki temu za bardzo nie widać krwi. Mówią, że lekarz powiedział, żeby nie ruszał się z miejsca; że jest w drodze. Tymczasem Belategi nie przestaje gadać, chcąc zrozumieć, co mu się właśnie stało, i przeklinając Etxebarrię bez końca.

Niewdzięcznik, mówi, wszystko, co ma, ma ode mnie, a on się tak odwdzięcza. Zwariował, mówi dalej, alkohol namieszał mu w głowie. Co więcej, to ja jestem największym przegranym w tej historii kamieniołomu. Gdyby to zależało ode mnie, nadal byłby otwarty. Jednak nie zależy to ode mnie. Zrobiliśmy w ratuszu wszystko, co mogliśmy, przeciągaliśmy tę sprawę latami. Ale to, co się dzieje teraz, ma źródło w rządzie, i powiedziano mi, że warto poczekać, aż ci brudni ekolodzy trochę się uspokoją. Znużą się w końcu, zmęczą i będziemy mieć spokój.

Belategi nie mówi jednak całej prawdy. Aż do teraz doskonale sobie radzili razem z Etxebarrią, a było tak dlatego, że interes szedł świetnie. Etxebarria przez długie lata z konieczności pracował bez żadnych wakacji, dopóki nie spłacił pożyczki za pierwszą ciężarówkę. Wtedy wyremontował dom i wysłał dzieci na studia, kupił też jeszcze jedną większą ciężarówkę i koparkę. I jeszcze audi, a później też terenówkę, kiedy Belategi i wielu innych członków txoko zaczęło kupować takie samochody.

Kiedy zaczęli kupować, nie mogli przestać, choć musieli brać na to pożyczki w banku. A bank dawał, ile chcieli. Belategiego oczywiście nie cieszy zamknięcie kamieniołomu, ale po prostu zamknie jedną ze

[1] Txoko – baskijskie zamknięte stowarzyszenie gastronomiczne, miejsce spotkań, w którym wspólnie się gotuje, biesiaduje i udziela towarzysko (przyp. tłum.).

swoich wielu firm. Z kolei dla Etxebarrii utrata kamieniołomu oznacza utratę wszystkiego. Ciężarówki i koparka będą stać bezużytecznie i będzie musiał zwolnić pracowników, którzy nimi jeżdżą.
Według Belategiego tak się nie stanie. Mówi: Już niedługo zacznie się budowa stu domów i pola golfowego. Będzie praca dla wszystkich, będzie praca dla nas i dla kierowców ciężarówek, dla wszystkich co do jednego. Powiedziałem mu. My nie wyrzucamy na ulicę naszych ludzi. Ale on zwariował.
Zaprowadziłem go na zewnątrz, żeby zaczerpnąć powietrza. Od ostatnich promieni słońca zaczerwieniły się szczyty gór na zachodzie, powyżej autostrady. Rozpoznałem pomarańczowe światła karetki. Wkrótce będziemy mogli zamknąć txoko do przyszłego weekendu i pójść do domu.

wat

Nieboszczyk byłby bardziej rozmowny, powiedziała do męża. On nadal milczał. Nie wie, dlaczego jeszcze się do niego odzywa. Przyzwyczajenie, na pewno, nabyte przez długie sześćdziesiąt pięć lat. Wzięli ślub, gdy ledwie skończyła osiemnaście lat, a jej mąż – który od dawna nawet na nią nie patrzył – miał o trzy więcej. W rodzinnej miejscowości. Od tamtej pory zdążyła już tego pożałować.
Kochali się. Przynajmniej do kiedy zaszła w drugą ciążę. Urodziła też jednak trzecie dziecko, i czwarte. Mieli czwórkę pięknych dzieci, dzisiaj to odległe wspomnienie. Dzwonią do niej czasami, to prawda, pytają, co u nich słychać, tak jakby je to obchodziło. I obchodzi je, w pewnym sensie.
Czekają, kiedy rodzice umrą, żeby przejąć na własność ich dom. Już tylko to mogą im odebrać. Wyssali z niej wszystkie soki, jakby nigdy nie przestała ich karmić piersią. Takie życie, mówił jej mąż, kiedy jeszcze się odzywał. Kiedy jeszcze się ruszał.
Dawno temu.
Po to są dzieci, wyjaśniał jej. Rodzice nieustannie dla nich pracują, żeby mogły sobie zabrać dorobek całego ich życia. Im przytrafi się to samo.

Dorobek całego życia, tak właśnie było u nich. Obojga, przynajmniej tego nie może nie przyznać mężowi. Zaraz po ślubie, gdy kończył pracę i chodził dorabiać u sąsiadów, marzyli o tym, żeby kiedyś otworzyć sklep. Odrzucał jednocześnie zaproszenia od kolegów z pracy, żeby pójść do knajpy. Tymczasem ona też nie próżnowała. Oprócz tego, że próbowała zaoszczędzić, ile się dało, zaczęła chałupniczo pracować dla krawcowej, aż do czasu, kiedy musiała codziennie chodzić do sklepu.
Sprzedawali i naprawiali sprzęty domowe: pralki, lodówki, radia i telewizory. Mąż naprawiał na zapleczu sklepu, a ona – sprzedawała. Po pracy robiła zakupy, a później obiad i kolację, i zmywała naczynia.

Zresztą robiła jeszcze więcej – między innymi wszystkim prała, prasowała i szyła ubrania, opiekowała się w chorobie, chodziła na zebrania z nauczycielami dzieci.
Nikt jej nie podziękował. Znowu, takie życie.
Niemal zaraz po przejęciu sklepu dzieci go sprzedały. Nawet nie zapytały rodziców o zdanie. Potrzeba było podobno stanowczej decyzji. Sprzedały go bankowi i – chociaż minęło już od tego czasu trochę lat – ona ciągle chodzi do kościoła okrężną drogą, żeby nie przechodzić obok sklepu.
Dzieci mówią im, żeby przyjechali do pięknych domów, które sobie kupiły za pieniądze z tej sprzedaży. Oczywiście w odwiedziny. Ale łatwo przyjmują wszelkie wymówki matki, zarówno te wiarygodne, jak i te, w które trudno uwierzyć.
Mnie wszystko jedno, mówi mężowi, jakby nie bolała jej niewdzięczność dzieci. Jednak wszystko boli, zarówno ich nieszczere, fałszywe słowa, jak i milczenie męża. Nie potrzebuje niczego wymyślnego. Naprawdę wystarczyłoby jej jedno szczere słowo. Albo jeszcze mniej – pół słowa męża i byłaby zadowolona. Albo gdyby odwrócił wzrok od telewizora i spojrzał na nią. Prosi o coraz mniej, ponieważ z roku na rok coraz mniej potrzebuje.
Takie życie.
Wie, że mąż nie otworzy ust. Jutro, gdy wstanie z łóżka – tak jak przedwczoraj, wczoraj i dzisiaj rano – znajdzie go dokładnie tak samo, jak go zostawiła wieczorem – będzie siedział w fotelu przed telewizorem, bez ruchu, zawsze z szeroko otwartymi oczami wpatrzonymi w kanał, którego nigdy nie zmienia. Telezakupy, kreskówka, telenowela, wiadomości, przelatują jedno za drugim dzień i noc, przed tymi nieruchomymi oczami, które wydają się szklane.

yin

Powiedziałem, żeby się nie martwił, że to nie pierwszy raz. To zrozumiałe, jest młody. Dokładnie. Tak jak my, gdy zaczęliśmy tu pracować. Pamiętasz? Wtedy rzeczywiście sprawa była poważna. Naprawdę poważna. Co roku wielu umierało. Dwudziestu, trzydziestu albo więcej. Sam nie wiem. Chłopak tego nie zaznał, oczywiście, ale my tak. Dlatego właśnie my powinniśmy mu pomóc, od tego jest związek zawodowy, prawda? Wiem przecież, że jesteśmy w rękach polityków. I co z tego? Zawsze byliśmy. Dlatego musimy mu pomóc, inaczej jaki byłby z nas pożytek. Pomóc sobie nawzajem. Gdyby to zależało od polityków, już dawno wszyscy byśmy nie żyli. My nie mamy ochroniarzy. Przynajmniej w ten sposób zrozumie, po czyjej jest stronie. Powiedziałem: Słuchaj, młody, to może mało, ale jak się zdenerwują, mogą stać się bardziej bezczelni. Więc lepiej znoś to cierpliwie. Inaczej to twój koniec. Zaczną do ciebie o tym i o tamtym, ale ty nie reaguj. Ich słowo przeciw twojemu, nie mają innego wyjścia. A nami się nie przejmuj. My nic nie widzieliśmy ani nie słyszeliśmy. Poza tym to będzie trwało najwyżej tydzień. Szybko zapomną. Tak to bywa, najpierw wielka afera, a zaraz potem nikt już nie pamięta. Takie zamieszanie to czysta komedia. Szukają wyjaśnień i trzeba zachować pozory. Amnesty, Europa, sam wiesz. Głupoty, no bo ostatecznie co robią? Raz do roku jakiś raport albo coś w tym stylu, i tak nikt tego nie czyta. Że muszą zamontować kamery? Niech montują. Kamery też się kiedyś zepsują, prawda? Tutaj wszystko się szybko psuje, wystarczy spojrzeć na samochody. To powiedziałem naszemu chłopakowi i to samo powiem też tobie: te nieszczęsne kamery przyniosą nam więcej pożytku niż szkody. Mamy kamery! powiemy, i wtedy będą musieli się zamknąć. Ośmieszymy ich. Nie czytacie gazet, powiemy im, nie wiecie, że torturowaliśmy terrorystów, żeby zmusić ich do zeznań, jak tylko staną przed sądem? Tak czy owak, następnym razem musimy mu powiedzieć, żeby zrobił to lepiej. Powiemy, żeby włożył lufę pistoletu, w ten sposób nie zostawia się śladów, tak jak zostawia się penisem.

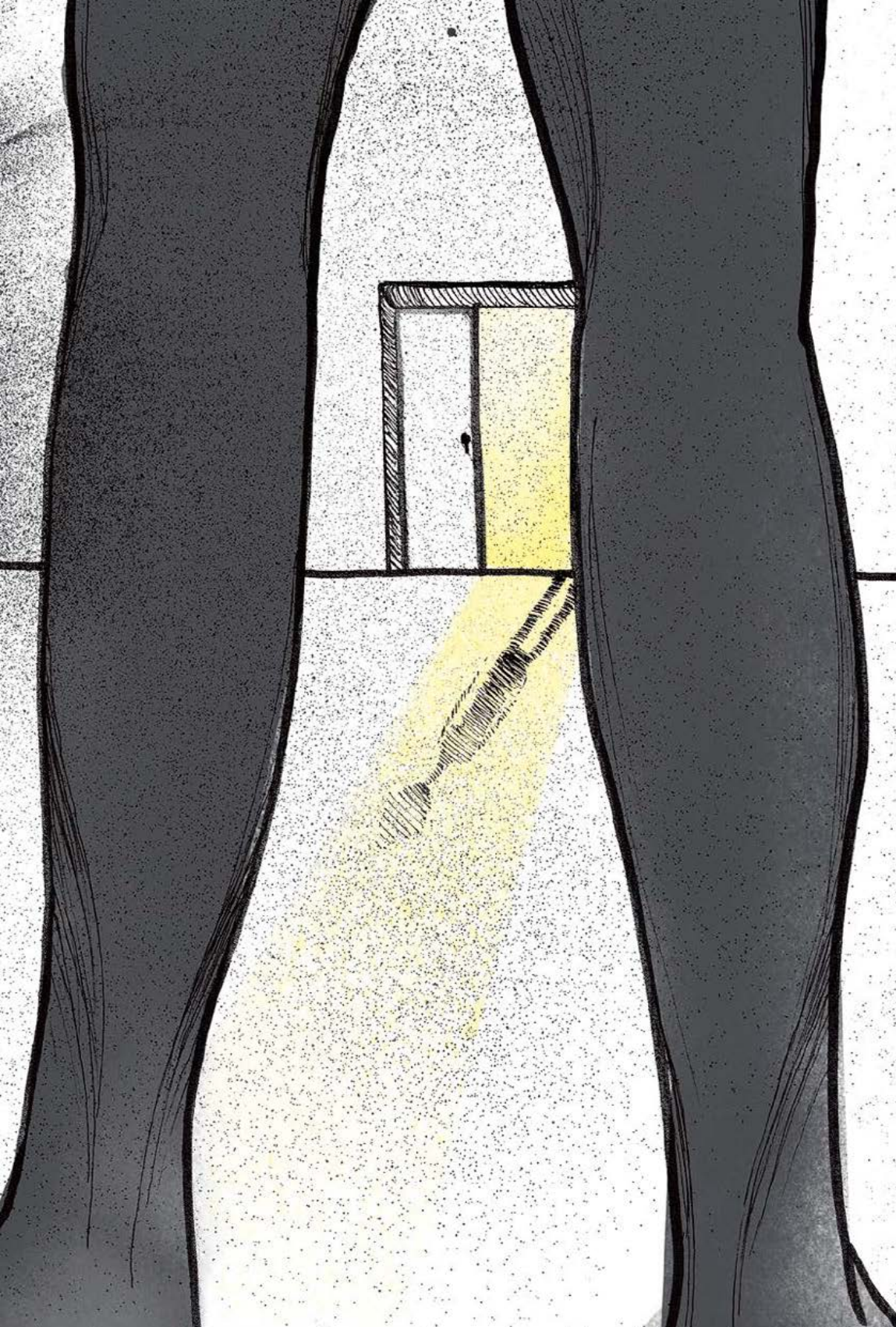

Kogut samotnik

Alain Mabanckou

Przełożył:

Jacek Giszczak

Ilustracje:

Martyna Marcinkowska

Liternictwo:

Zofia Frankowska

Projekt graficzny i skład:

Ada Krawczak

kogut samotnik

Podczas wakacji szkolnych matka często zabierała mnie do Lubulu. To mała wioska w regionie Buenza na południu Konga-Brazzaville. Najpierw wsiadaliśmy do pociągu na dworcu w Pointe-Noire, potem jechaliśmy wielką ciężarówką, w której podróżni siedzieli stłoczeni niemal jedni na drugich. Niektórzy wdrapywali się ze swymi towarami na wysokie burty i śpiewali przez całą drogę. A ja marzyłem już o tej wiosce. Zniecierpliwiony, bez przerwy pytałem matkę, kiedy tam dojedziemy.

– To już niedaleko, prześpij się i odpocznij. Kiedy się obudzisz, będziemy w Lubulu – odpowiadała.

Po dwóch dniach podróży i postojach w innych wioskach w końcu dostrzegaliśmy rzekę Mukukulu, jej imponujące kaskady i bujną roślinność. Ludzie się przepychali, uśpione niemowlęta nagle się budziły i zaczynały zawodzić. Podróżni uczepieni burt schodzili na ziemię.

Do Lubulu było już tylko kilkaset metrów…

Mama Paulina urodziła się w Lubulu, tutaj spędziła dzieciństwo i młodość, a później przeniosła się do Pointe-Noire, gospodarczej stolicy kraju, w której dorastałem.

Gdy myślę o tej wiosce, znów widzę siebie jako małego chłopca. Chodzę w plastikowych sandałach. Mam na sobie białą koszulę z krótkimi rękawami i beżowe majtki, wytarte na brzegach. Idę sam pośród traw albo próbuję łapać pstrokate motyle. Gdy się za nimi uganiam, coraz bardziej zbliżam się do buszu. Czasem odczuwam lęk, gdy grupa ptaków zrywa się do lotu, bo je wystraszyłem i pewnie biorą mnie za jednego z myśliwych z wioski. Maszeruję, nucąc jakąś piosenkę, której nauczyłem się w szkole. Sam nie wiem kiedy oddalam się od wioski i już kilka metrów przede mną zaczyna się busz. Zamiast zawrócić, chcę dalej iść tą ścieżką, żeby dotrzeć do rzeki, której szum już słyszę. Nagle przypominam sobie, co powtarzała mi zawsze mama Paulina, że dziecko nie powinno

zapuszczać się samo do lasu, bo właśnie tam kryją się najdziwniejsze z dziwacznych stworzeń.

Toteż wracam, trochę zawiedziony. W drodze powrotnej biegnę z otwartymi ustami do chwili, gdy dostrzegam pierwsze chaty Lubulu. Zwalniam, by ludzie, których mijam, nie pomyśleli, że oddaliłem się zbytnio od wioski. Niestety wpadam na matkę, która z zasępioną miną czeka na mnie przed drzwiami chaty.

– Popatrz na swoje nogi! – wrzeszczy.

Spuszczam oczy. Nie wiedziałem, że jestem cały podrapany. Pragnienie, by samemu zagubić się w naturze, sprawiło, że zapomniałem o bólu z powodu tych skaleczeń, który teraz odczuwam.

Moja matka wchodzi do chaty i wraca z jakąś buteleczką:

– Usiądź na ziemi, posmaruję to.

Nie znam tego lekarstwa. Matka wie, że przerażają mnie dwie rzeczy: chlorochina, ponieważ jest gorzka; spirytus, bo piecze.

Pytam z rozpaczą w głosie:

– Czy to jest... spirytus?

Parska śmiechem:

– Nie, to tłuszcz z węża boa…

Wzdycham z ulgą, a ona otwiera flakonik i smaruje mi skaleczenia. Ciepło jej dłoni i chłodny tłuszcz z węża boa sprawiają mi przyjemność.

Nazajutrz po przebudzeniu stwierdzam, że wszystkie rany się zagoiły, jakby za sprawą czarów, i mogę już nawet zerwać strupy…

Dziadek Mukila był wodzem wioski Lubulu. Chodziłem za nim wszędzie i wydaje mi się, że stale miał mnie na oku, bo był przekonany, że dzieci z miasta, jak ja, nie są tak grzeczne jak wiejskie. Gdy ktoś nadepnął roślinę w jego ogrodzie, dziadek od razu oskarżał mnie, by później się przekonać, że był to ktoś z dorosłych. Przepraszał mnie i chcąc mi to wynagrodzić, zabierał do małego ogródka przy chacie, gdzie zbieraliśmy dojrzałe owoce mango.

Znów go widzę, gdy pokazuje mi owcę i mówi:

– To zwierzę jest członkiem naszej rodziny. Masz je szanować, jakby było istotą ludzką.

Przez chwilę patrzę na owcę, która strzyże uszami, jakby chciała potwierdzić słowa mojego dziadka.

Trochę dalej koza skubie trawę, kiwając ogonem. Chcę do niej podejść, ale dziadek chwyta mnie za koszulę:

– Wnuczku, co robisz? Ta koza to twoja ciocia! Nie przeszkadzaj jej! Chciałbyś, żeby ktoś przerywał ci posiłek?

Kilka minut później gołąb siada na dachu chaty. Grucha i patrzy w naszą stronę. Ponieważ nie cierpię tego dźwięku, biorę kamyk, żeby rzucić nim w ptaka. Dziadek Mukila w ostatniej chwili chwyta mnie za ramię i szepcze mi do ucha:

– Wnuczku, co robisz? Czy wiesz, kim jest ten gołąb? To moja kuzynka, utopiła się w wodach rzeki Mukukulu! Co dzień pod postacią ptaka przynosi mi wieści od naszych przodków…

Uważałem słowa dziadka Mukili za urojenia starca. Mówiłem sobie, że żyje odcięty od naszego świata, ponieważ w Pointe-Noire rzucaliśmy kamieniami w zwierzęta, zwłaszcza w psy.

Któregoś dnia, rozdrażniony, spytałem go, dlaczego nie pozwala mi zbliżać się do niektórych zwierząt. Najpierw pogładził się po brodzie, potem odpowiedział:

– Możesz się do nich zbliżać, ale nie wolno ci im dokuczać, jak robią dzieci w mieście. Gdy przychodzimy na świat, każdy z nas

ma swoje zwierzę, nazywamy je sobowtórem. Ja mam swojego zwierzęcego sobowtóra, tak samo jak twoja matka, twój ojciec i ty także masz swojego zwierzęcego sobowtóra…
– A gdzie jest ten mój? – spytałem niepewnym głosem.
– Gdzieś w buszu…
– Mogę go zobaczyć?
– Nie, wnuczku, nie możesz, jesteś jeszcze za mały. Przeraziłby cię, a ty wystraszyłbyś jego…

Pewnego popołudnia, gdy moją uwagę przyciągnął kogut stojący nieruchomo na środku podwórza, dziadek podszedł bezgłośnie, stanął za mną i rzekł:
– Pod żadnym pozorem nie wolno ci skrzywdzić tego koguta samotnika…
Był to stary kogut z oklapłym grzebieniem. Stronił od reszty drobiu mojego dziadka. Jego pióra sterczały jak kolce jeżozwierza. Niedowidział i czasami wpadał na siatkę kurnika, zamiast wejść do środka przez małe drzwiczki. Miał nogi jak patyki i gdyby był istotą ludzką, liczyłby sobie co najmniej osiemdziesiąt lat i nosiłby okulary z grubymi szkłami. Idąc, kuśtykał i ciągle przystawał, żeby nabrać tchu. A gdy było bardzo gorąco, chował się w cieniu, z wysuniętym językiem, i drzemał. Kiedy stawał na środku podwórza, wszystkie kury otaczały go kołem i wydziobywały ziarenka, rzucając je w jego stronę. A potem zaczynały gdakać na znak uszanowania.
W ciągu dnia stale krążył po podwórku. Wieczorem, zamiast wejść do kurnika, wolał spać, stojąc na jednej nodze przed drzwiami chaty. Choć byłem dzieckiem z miasta, od dawna wiedziałem, że koguty pieją zawsze wczesnym rankiem, zapowiadając dzień. Jednak gdy z rzadka słyszałem pianie naszego koguta samotnika, było jeszcze ciemno. Niektórzy wieśniacy, zdezorientowani, wstawali wcześniej niż zwykle, by pójść na pola, i stwierdzali, że jest pierwsza w nocy. Wściekli wracali do łóżek i przeklinali koguta samotnika…

Mimo przestrogi dziadka przepędzałem tego koguta samotnika, bo silny odór jego odchodów nie pozwalał mi normalnie oddychać. Ale nawet gdy go przegnałem sprzed chaty, uparty ptak po kilku minutach wracał, rzucając mi wyzwanie. Zdenerwowany, znowu goniłem go aż na plantację manioku, gdzie w końcu ginął mi z oczu. Wracałem do wioski, zły, że nie zdołałem go złapać i ukarać. I wtedy ze zdziwieniem znów dostrzegałem go przed drzwiami chaty, z dziobem uniesionym do góry. Jakby ze mnie drwił. Zadawałem sobie pytanie: Jakim sposobem zjawił się tu przede mną, skoro przepędziłem go na plantację? Czy mógł być ode mnie szybszy, skoro ledwie chodzi i prawie nic nie widzi?

Ponieważ nie mogłem znieść uczucia upokorzenia, któregoś dnia chwyciłem szczapę drewna z nadzieją, że zdzielę nią tego koguta. Ledwo zdążyłem podnieść rękę, gdy usłyszałem za sobą gromki głos:

– Co ty wyprawiasz?

To był dziadek. Nigdy nie widziałem go tak rozsierdzonego.

– Wnuczku, chodź ze mną, muszę z tobą pomówić...

Wziął mnie za rękę, zaciągnął do chaty i kazał usiąść na gołej ziemi. Nagle oblał się potem, z trudem łapał powietrze:

– Chciałeś mnie zabić, tak?

– Nie, to nie ciebie chciałem uderzyć, tylko tego śmierdzącego koguta.

Jak zwykle długo gładził swoją siwą bródkę, po czym westchnął:

– To jedno i to samo! Jeśli uderzysz tego koguta, uderzysz także mnie. Kiedyś to zrozumiesz, ale czy wówczas będę jeszcze żył?

Dziadka Mukili nie ma już na tym świecie. Umarł z powodu łakomstwa mojego wuja Pandiego, który uparł się, że zje koguta samotnika, by uczcić Nowy Rok.

Wujek Pandi mieszkał za chatą dziadka. Zawsze pod koniec roku wybieraliśmy koguta z kurnika mojego dziadka na noworoczne święto. Aż dotąd kogut samotnik przeżył, ponieważ podsłuchiwał pod drzwiami, nie oddalając się zbytnio od miejsca, gdzie odbywała się rodzinna narada. Gdy zapadała decyzja, że w tym roku zjemy dwa młode białe koguty, kogut samotnik wiedział, że może być spokojny. I tak przez lata nie trafił do noworocznego garnka i do naszych żołądków. Ale tym razem, w grudniu, wujek Pandi oświadczył w obecności całej rodziny:

– Musimy zjeść tego koguta samotnika, jest stary i na nic już się nie przyda. W dodatku śmierdzi i pieje w samym środku nocy!

Dziadek, obecny na tej naradzie, zachował milczenie. Kogut samotnik usłyszał słowa wujka Pandiego. O świcie zniknął i wrócił dopiero piątego stycznia. Zjedliśmy zamiast niego dwa inne koguty...

Pod koniec następnego roku wujek Pandi wpadł na inny pomysł. Powiedział na zebraniu:

– Jednak nie zjemy tego koguta samotnika, jest za stary, nic już nie widzi, to kretyn, nie zasługuje na to! Jeśli go zjemy, wszyscy dostaniemy biegunki. Proponuję, byśmy zjedli raczej dwie kury, kupione w zeszłym roku na targu w Mouyondzi.

Kogut samotnik był pewien, że po raz kolejny uniknie fatalnego losu. Nie opuścił wioski. Pierwszego stycznia, o szóstej rano, mój wuj schwytał go przed chatą dziadka i jednym pociągnięciem poderżnął mu gardło. Świętowaliśmy długo, było bardzo wesoło. Dorośli pili wino palmowe i tańczyli przez cały dzień. Dzieci piły sok imbirowy i bawiły się w chowanego za

chatami wioski. Tylko dziadek Mukila wydawał się znudzony i drzemał w fotelu wyplecionym z lian.

Pod koniec dnia poszedł do swojego pokoju, mrucząc pod nosem:

– Myślałem, że mnie kochacie, ale łudziłem się przez całe życie. Życzę wam dobrej zabawy…

Nikt nie wiedział, że wymówił swoje ostatnie słowa i że więcej go nie zobaczymy.

Drugiego stycznia, około dziesiątej rano, wujek Pandi poszedł zapukać do jego drzwi. Znalazł dziadka leżącego na ziemi, z rozłożonymi rękami. Wokół niego walały się pióra koguta samotnika, choć przecież wyrzuciliśmy je daleko od wioski. Od tego dnia nie jemy już kogutów, z obawy, by nie zjeść zwierzęcego sobowtóra któregoś z członków naszej rodziny...

Cisza jako choroba genetyczna

Ołeksij Czupa

Przełożył:

Bartosz Popadiak

Ilustracje:

Sara Makuch

Projekt graficzny i skład:

Tomasz Fabianowicz

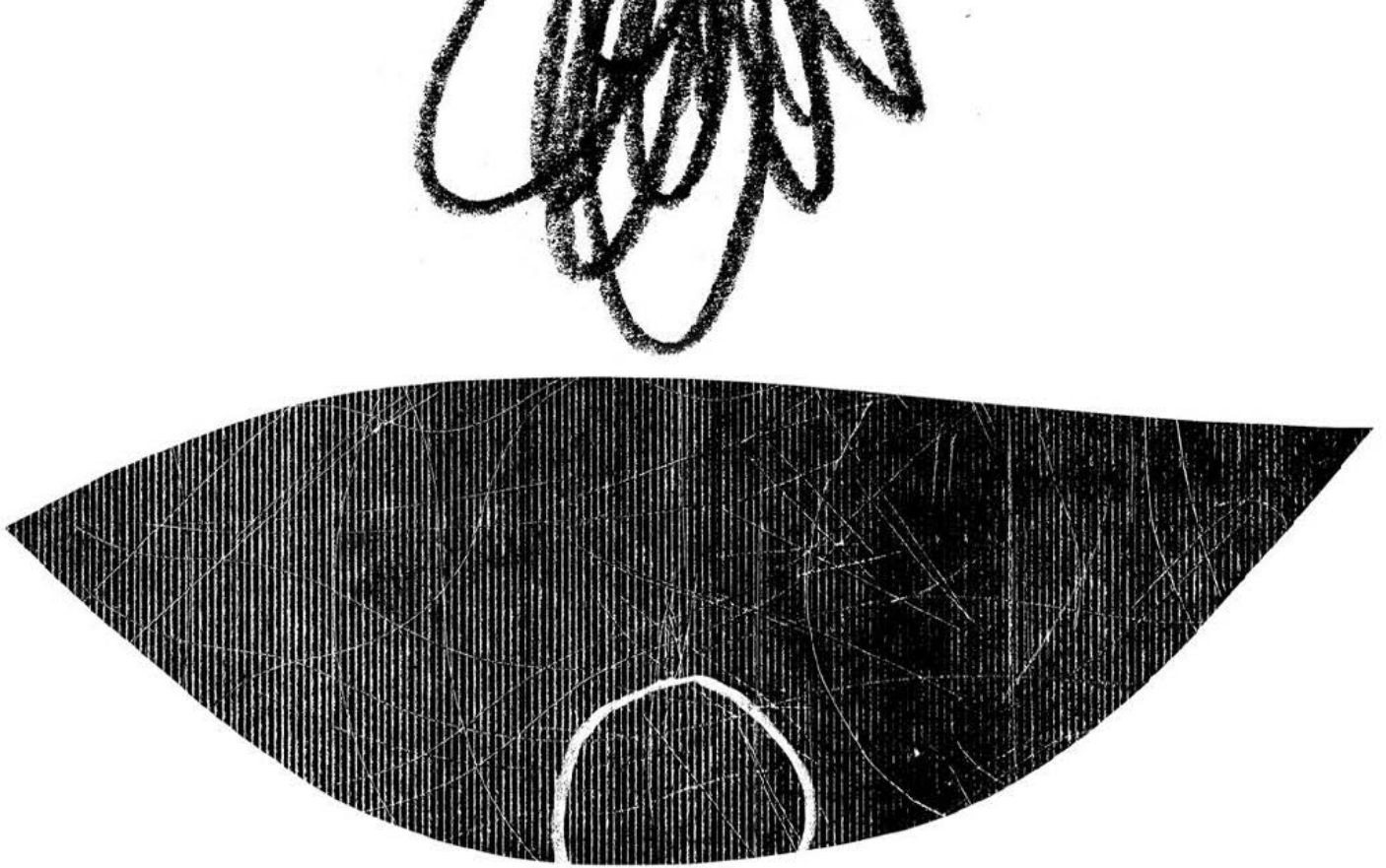

Porcelanowa baletnica – jedna z tych, które w latach pięćdziesiątych sprzedawano w każdym domu towarowym, służąca za element wystroju typowego radzieckiego mieszkania oraz przejaw kultury jego właścicieli – drgnęła nagle, po raz pierwszy w swoim zabawkowym życiu zdobywając się na samodzielny *en tournant*, i obróciwszy się na skraju kredensu, poleciała w dół. Uderzyła o drewnianą, dawno nielakierowaną podłogę i rozpadła się na kilka kawałków, po czym zastygła w bezruchu. Jedynie okrągła porcelanowa główka potoczyła się kawałek dalej, wpadła pod fotel, w którym odpoczywała pani Klawa, i pokręciwszy się trochę, również zamarła.

Pani Klawa, która przed chwilą przysnęła, otworzyła oczy. Przez słodką i ciężką drzemkę wyczuła jakiś ruch i usłyszała niewyraźne trzaśnięcie, które od razu wyrwało ją z półsnu, akurat by mogła zobaczyć upadek baletnicy. Fedir dał jej tę figurkę na pierwszej randce. Był to praktycznie jedyny przedmiot w mieszkaniu nabożnie przechowywany od lat sześćdziesiątych jako pamiątka jej młodości. Baletnica runęła w dół, uderzyła o ziemię i się rozleciała. Głowa poleciała gdzieś w bok. Klawa najpierw się wystraszyła, a potem poczuła ulgę.

No i po wszystkim – przeleciało przez zaspaną głowę staruszki. Fedir nie żyje już od piętnastu lat. Umarł ciężką i straszną śmiercią w alkoholowych majakach, z przepalonym od papierosowego dymu głosem. Kiedy wypowiadał swoje ostatnie słowa, miotając się w brudnej pościeli, właściwie już nie mówił, tylko wydawał z siebie syk podobny

do syku przebitej piłki, ale niższy i przerażający. Trzymała go za zgrubiałą, omdlewającą dłoń i żegnała się z nim, zapewniając: „do rychłego". Na zewnątrz dobiegały końca lata dziewięćdziesiąte i pani Klawa nie miała wątpliwości, że „rychłe" nastanie szybciej, niż ktokolwiek się tego spodziewa. Telewizja nie tyle to sugerowała, ile wręcz mówiła wprost. Świat realny – ten za oknami mieszkania – był tylko zbędnym potwierdzeniem świata telewizyjnego. Klawa uśmiechnęła się w myślach i zaczęła odkładać pieniądze na własny pogrzeb.

Mijały lata, dojrzały wiek przeszedł w starość, jej córka też wyraźnie się postarzała, a wnuczka dorosła i wychowywała prawnuka, podczas gdy Klawa wciąż żyła i żyła. Mimo tego, że już wcale nie miała na to ochoty. Ale rzadko dane jest nam umierać na własne życzenie, trzeba się dalej męczyć.

Mieszkańcy jej klatki, którzy wielką i pstrokatą chmarą osiedlili się tu jeszcze w połowie lat pięćdziesiątych, z czasem stawali się coraz bardziej bezradni i wzbudzali litość. Mężczyźni starzeli się powoli. Najpierw obnosili się ze swoją szykowną siwizną, spacerowali z wnukami i wnuczkami za rękę wokół bloku albo wzdłuż obsadzonej kasztanami ulicy. Cieszyli się swoją starością niczym przepustką do świata, który państwo odgrodziło od chemicznych wyziewów fabryk, przepustką do porannych partyjek bilardu w dawnych schronach przeciwlotniczych i cowieczornych rozgrywek domino pod dachem skleconej przez nich altanki. Pod lampą krążyły ćmy, a zmęczeni faceci bez ustanku walili dominem po drewnianej powierzchni stołu, każdym uderzeniem radośnie obwieszczając swój kolejny krok w stronę otchłani. Z satysfakcją uderzali raz po raz, szybko i z zadowoleniem przybliżając to, co nieuchronne. W tym czasie nam, dzieciom próbującym zasnąć w swoich łóżkach przy magicznej poświacie starych lampek nocnych, zdawało się, że to ktoś strzela na ulicy. W pewnym sensie była to prawda: szachy, bilard, domino, czy w co tam jeszcze grali, miały w sobie ostry smak pojedynku. I rzeczywiście – przegrani chodzili potem przez jakiś czas niczym zabici, zapiekle chcąc się odegrać.

Z czasem przychodziło najgorsze: wszyscy jak jeden mąż doczłapawszy do pewnej granicy, dociągnąwszy do pewnego wieku, zaczynali się

poddawać – nagle i bez walki. Wykańczały ich ataki serca i długie depresje. Tym pięknym, zrobionym ze stali mężczyznom zaczynały wypadać zęby i włosy, ich zasuszona skóra żółkła, a oczy zdawały się tracić kolor. Szli do łóżka z chorobami i więcej już nie wstawali, umierając z wyczerpania, ale pewnie szczęśliwi. To były ich ostatnie kochanki.

Kobiety natomiast – wręcz przeciwnie – starzały się szybko, w tempie dającym nadzieję na szybkie odejście, co się jednak kompletnie nie udawało. Traciły urodę, robiły się pękate, ciężkie i pochmurne. Mało który z nas – dzieciaków – zwracał na nie uwagę, nigdy nie pamiętaliśmy ich imion. Od czasu do czasu widzieliśmy je, jak niosąc wypchane siatki, wracały z targu czy spożywczaka, albo gdy awanturując się, wyciągały swoich mężów z jaskrawo oświetlonej, pełnej hałasu altanki. Ich mężowie byli praktycznie nieprzytomni od alkoholu, czy też od świadomości, że życie w lipcową, gorącą noc jest tak nieznośnie piękne. Niektóre z kobiet, ciężko dysząc, wynosiły swoich facetów na plecach, nie wydając z siebie ani jednego dźwięku. No i nigdy na nic się nie skarżyły. Z nadzwyczajnym oddaniem doglądały swoich mężczyzn, gdy ci zaczynali taniec ze śmiercią, mimo świadomości, że tak naprawdę nie ma dla nich – starych, brzydkich i zmęczonych – miejsca w tym miłosnym trójkącie. Potem, dostrzegłszy ostatni ruch dłoni ukochanego zamierający razem z oddechem, stawały się pochmurne i pełne zgryzot. Odprowadzały martwych na cmentarz i wracały wciąż żywe. Podchodziły do samego skraju otchłani, czekając, kiedy i je przeciąg popchnie w plecy.

Właśnie wtedy uświadamiały sobie, co jest przed nimi. Co to mogło być, jak nie rozwlekłe, męczące dni spędzane w samotnych mieszkaniach, czasem urozmaicane wizytami dzieci i wnuków czy wyjściami z klatki – zabójczymi dla nóg i serca – do takich samych kobiet z bloku, ich rozmów i zgryzot, rozwlekłe, nużące dni okraszone tradycyjną dawką telewizji. Z roku na rok telewizja proponowała coraz więcej kanałów, nie oferując tylko jednego – optymizmu. Czy przynajmniej spokoju.

Tak mijało im życie. Codziennie zerkały w stronę najbliższego cmentarza, zlęknione i z coraz bardziej błagalnym spojrzeniem. Jednak z tamtej

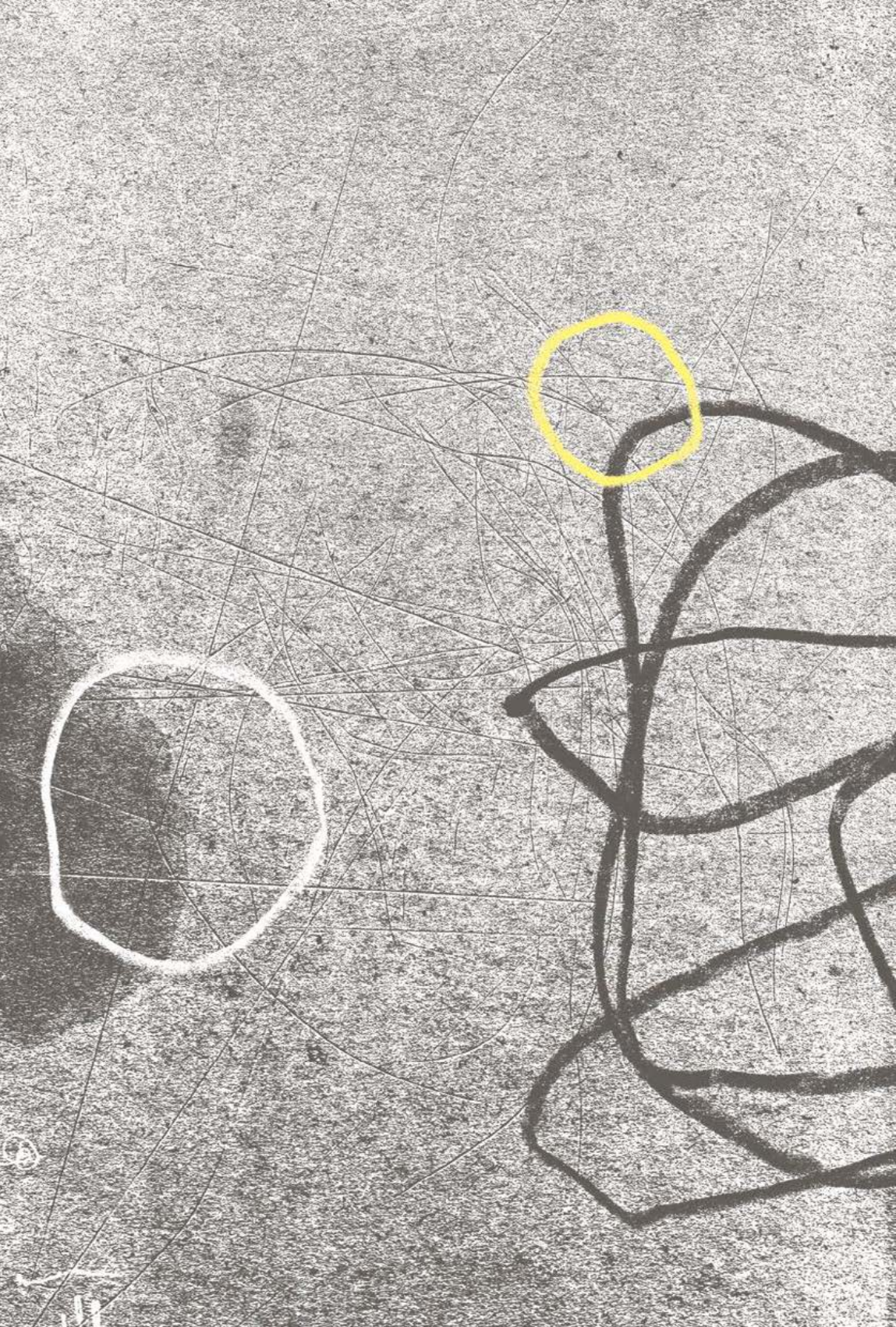

strony nie przychodziło nic oprócz obrzydłego już słońca i zimnych wschodnich wiatrów.

Ogólnie rzecz biorąc, Klawa nie miała nawet tego. Wszystkie te rozmowy i telewizja nie mogły jej rozerwać – po śmierci Fedira niemal całkowicie ogłuchła.

Wiedziała, że tak się stanie. Doskonale pamiętała swoją głuchą babcię, która opowiadając jej bajkę na dobranoc, krzyczała tak, że aż sen płoszył się i niczym ptak bił od wewnątrz w drżące szyby. Wnuczka znosiła to, bo dostrzegała w tym wyraz babcinej miłości, choć tak strasznie brzmiący. Cóż zrobić, miłość naszych bliskich w pierwszej kolejności budzi lęk, a dopiero potem daje nam ciepło i ukojenie. Klawa dobrze wiedziała, że jej matka też niedosłyszy, choć nigdy o tym nie mówi, i że z czasem też ogłuchnie i obok Klawy znów zagości przenikliwy i dźwięczny kobiecy głos. Matka nie zdążyła się zestarzeć, nie dożyła nawet czterdziestu pięciu lat, jednak wszystko świadczyło o tym, że głuchota postępowała: potrącił ją i zabił samochód na cichej, spokojnej ulicy niedaleko bloku. Kierowca twierdził, że trąbił jak szalony, ale ona nie reagowała.

Klawa czekała z lękiem na pierwsze objawy głuchoty u siebie i doczekała się ich w wieku trzydziestu kilku lat. Kiedy uświadomiła sobie, że czasami nie słyszy, co inni do niej mówią, uspokoiła się i pogodziła z tym. Z jeszcze większym strachem czekała na pierwsze objawy u córki i kiedy się ich doczekała, zrozumiała w końcu, że i jej córka, i wnuczka, tak samo jak ona, skazane są na ciężką, przeżytą w ciszy starość.

A spróbuj porozumieć się ze swoimi bliskimi, kiedy nic nie słyszysz! Nie będą ci w stanie niczego normalnie zakomunikować, bo nie dotrą do ciebie żadne słowa. Wątpliwe, czy tobie uda się opowiedzieć im coś, co trzyma się kupy, bo z czasem, spędzonym w całkowitej ciszy, coraz bardziej i bardziej odrywasz się od normalnego biegu rzeczy i każde twoje słowo brzmi, jakby je wypowiadała istota z zamierzchłej przeszłości, jeśli nie z obcej planety. Oddalasz się, odchodzisz w niepamięć, na twoim fotelu osiada kurz, pokrywa cię pleśń i wyblakły odcień starości niczym złota poświata. Nagle któregoś dnia okazuje się, że z nikim nie

możesz się porozumieć, bo nikt już właściwie tego nie potrzebuje, wychodzi na to, że jesteś starym meblem, czekającym tylko dnia, w którym wyniosą go na śmietnik.

Klawa pochyliła się odrobinę do przodu i próbowała dojrzeć pod fotelem porcelanową główkę baletnicy. Niczego nie zobaczyła. Poszurała starymi nogami ubranymi w grube pończochy – i znowu nic. Co za świństwo, pomyślała. I myśląc o cholerstwie, które nie pozwala jej znaleźć i wziąć w dłonie kawałka własnej młodości, Klawa zastygła w swoim fotelu i po chwili spała już, sparaliżowana snem dziewięćdziesięcioletniej kobiety.

Nie słyszała, gdy w przedpokoju skrzypnął zamek, nie dotarł do niej chłodny przeciąg z klatki schodowej, który wpadł do dusznego wnętrza mieszkania, nie zauważyła, że jej wnuczka Natka wróciła ze spaceru ze swoim synem, ruchliwym i niegrzecznym przedszkolakiem. Andrij – synalek Natki – jak huragan przeleciał przez mieszkanie, kilka razy zdążył pacnąć starą po plecach, po czym zasiadł do jedzenia. Nawet uderzenia prawnuka nie wytrąciły staruszki ze snu. Tylko przez pomarszczoną twarz przebiegł grymas bólu, niczym fala po zarośniętej powierzchni stawu, i tyle. Nic więcej.

Dopiero później, kiedy Andrij usadowił się na kanapie tuż obok prababki, włączył telewizor i zaczął go z sekundy na sekundę pogłaśniać, by sprawdzić, czy głośnikom telewizora wystarczy skali, żeby stara się obudziła, Klawa otworzyła oczy. Zareagowała nie tyle na dźwięk – bo przecież nawet teraz, po przebudzeniu, do jej uszu dolatywał tylko słabiutki szmer – co na ruchomy obraz z ekranu i jego światło. Mały włączył jakąś debilną, jak wydawało się Klawie, kreskówkę, której scenarzystę w dawnych czasach zesłano by do obozu, albo na przymusowe leczenie do wariatkowa. Ale małemu się podobało, siedział zadowolony i nawet rechotał z czegoś zupełnie dla Klawy niezrozumiałego.

– WYŁĄCZ! – wrzasnęła Klawa – TO NIE DAJE MI SPAĆ!

Jej głos ledwo przebił się przez huk telewizora, jednak mały siedział obok i wszystko słyszał. Lekko podniósł się z kanapy i ze złośliwym uśmiechem na twarzy nachylił się do prababcinego ucha, i krzyknął:

– CO TY BREDZISZ! JAK TO CI NIE DAJE? TY PRZECIEŻ GÓWNO SŁYSZYSZ! MAMA MÓWI, ŻE NIE WOLNO KŁAMAĆ. NIE UCZ SWOJEGO PRAWNUKA KŁAMAĆ! SIEDŹ CICHO.

Jego wrzask dochodził do Klawy pod postacią głośnego szeptu – bolesnego i obraźliwego. Poczuła się dotknięta.

– TY DRANIU! – krzyknęła. – TO JA CIĘ WYCHOWUJĘ, NICZEGO CI NIE ŻAŁUJĘ, TY NIEWDZIĘCZNIKU!

Chciała jakoś dosięgnąć małego, wytargać za ucho albo dać po łapach, pokazać że tak naprawdę jest jeszcze całkiem na chodzie i nie warto jej obrażać, choćby dlatego, że potrafi się odpłacić. Jednak ten gwałtowny ruch ręką, który sobie wyobraziła i który starała się wykonać, w rzeczywistości przeszedł niezauważony i zupełnie bez wyrazu. Z początku Andrij nastroszył się cały, ale kiedy zobaczył, że nic mu nie może zrobić, ze złośliwym uśmiechem sprzedał jej swoją dziecięcą piąstką kuksańca w ramię i wrócił na kanapę.

– A SIEDŹŻE SOBIE! WYCHOWUJESZ?! CAŁYMI DNIAMI SIEDZISZ, WIĘC SIEDŹ SOBIE DALEJ, NIE RZUCAJ SIĘ! – krzyknął „wdzięczny" wnuk w stronę babcinego fotela, po czym wlepił oczy w kreskówkę.

Klawa zapłakała cicho. Łzy popłynęły jej zmarszczkami niczym wyschniętymi korytami rzek.

Do pokoju weszła Natka – niziutka, chuda i samotna kobieta przed trzydziestką, również przygłuchawa – podeszła do drzwi balkonowych i otworzyła je, wypuszczając rozgrzane powietrze na ulicę. Pochyliła się ostrożnie nad babką, żeby przekonać się, czy śpi, czy nie, a może – różnie to bywa – nareszcie umarła? Nie, stara siedziała bez ruchu, tylko oddychała ciężko, a oczy miała mokre. Natka spojrzała groźnie w stronę synka, ale ten udał, że to nie jego sprawka. Westchnęła więc i z głębokiej kieszeni podomki wyciągnęła notes i długopis. Natka już od dawna, bo od jakichś dziesięciu lat, nie starała się dokrzyczeć do babki. Kosztowało ją to zbyt wiele i w trosce o swoje struny głosowe miała zawsze przy sobie notes, w którym w razie potrzeby pisała do babki wielkimi literami. Całkowicie zmieniło to ich relacje, Klawa traktowała Natkę

lepiej niż kogokolwiek innego w rodzinie. Wnuczka oparła notes o jej ramię i naskrobała szybko: „Czego ryczysz?".

Pokazała babce, ta przeczytała i znowu wpadła w szloch. Po czym machnęła ręką, jakby odganiała od siebie złe myśli razem ze złymi dziećmi. Prawdę mówiąc, ani jedno, ani drugie nie zamierzało zniknąć, ale wciąż nad nią wisiało. Natka znowu podsunęła jej kartkę z pytaniem, na co ta westchnęła ciężko i przekrzykując telewizor, poinformowała wnuczkę:

– TWÓJ ANDRIJ MNIE UDERZYŁ!

Oczy Natki błysnęły złowrogo, obejrzała się na syna i znów sięgnęła po notes. „Co? Znowu? Za co?" – przeczytała Klawa po chwili.

– PROSIŁAM GO, ŻEBY WYŁĄCZYŁ TELEWIZOR, BO MI PRZESZKADZA, A ON MNIE UDERZYŁ! – poskarżyła się staruszka.

Natka szybkim krokiem podeszła do kanapy, złapała małego za ucho i bez zbędnych słów zaczęła mu je wykręcać. Andrij wrzasnął rozpaczliwie, nie spuszczając wzroku z groźnego matczynego oblicza.

– Ale za co? Za co?? – wył, próbując się wyrwać.

– Ty gnojku jeden, czemu babce dokuczasz? – Nie rozluźniała chwytu, kręcąc palcami, w których zaciśnięte było dziecięce ucho.

– Ona mnie chciała uderzyć, a ja się broniłem! – jęczał mały. – STARA SUKA! – dorzucił.

Gdy Natka to usłyszała, zupełnie straciła nad sobą kontrolę, puściła ucho i przyrżnęła mu z otwartej dłoni w prawy policzek, tak mocno, że chłopak spadł z kanapy na podłogę i wyjąc, wpełzł pod fotel, w którym siedziała zapłakana babka. Zdążył się jednak schować tylko do połowy, kiedy Natka wyciągnęła go za nogę i przyłożyła mu jeszcze raz, tym razem z lewej.

– Nie waż się tak do niej mówić! Nigdy! – krzyczała do Andrija. – Gdzieś ty coś takiego usłyszał, hę?

– Przecież od ciebie – ryczał mały. – Wczoraj, jak piłaś z Oksaną w kuchni, to tak o niej powiedziałaś, wszystko słyszałem!

– A niech cię, ty..! – Zbita z tropu Natka miała wrażenie, że ślepa furia opanowuje ją do reszty. – I jeszcze podsłuchujesz?

Mały szybko wykorzystał chwilę konsternacji Natki, wślizgnął się pod fotel i jak małpa zaparł nogami i rękami o jego stare drewniane nogi, żeby nie dać się wyciągnąć. Próbowała, ale Andrij dobrze wiedział, że trzeba trzymać się z całej siły i przeczekać, dopóki matka się nie uspokoi. Klawa siedziała przestraszona, wczepiona palcami w poręcze fotela i czekała, kiedy burza ucichnie.

Natka starała się jeszcze jakiś czas wykurzyć Andrija spod fotela, po czym machnęła ręką, wyłączyła telewizor – przez co w pokoju zapadła niespodziewana cisza – zrzuciła z siebie podomkę i założyła pstrokatą krótką sukienkę. Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów, złapała ze stolika przy drzwiach zapalniczkę i klucze, po czym wyszła z mieszkania – dosyć nerwowo, prawdę mówiąc, bo zamykając za sobą drzwi, dopiero za czwartym razem trafiła kluczem do zamka.

Andrij z grymasem bólu na twarzy, pociągając cicho nosem, odczekał jeszcze z pięć minut i wyszedł. Potarł rączkami piekące z bólu, czerwone policzki. Obszedł fotel dookoła i stanął przed Klawą. Babka uspokoiła się już całkiem, tylko oddychała z trudem – w jej wieku podobne sceny dawały się mocno we znaki nerwom i siłom fizycznym. Mały patrzył jej prosto w oczy, najwidoczniej chcąc jej coś powiedzieć, ale nie miał odwagi. Chce mnie przeprosić, czy co? – przyszło jej do głowy, ale od razu porzuciła tę myśl. O ile pamiętała, żadne z jej dzieci, wnuków, czy prawnuków, nigdy nie potrafiło przepraszać. Jeśli już musiało to zrobić, wypadało to tak żałośnie i fałszywie, że już lepiej było nawet nie próbować.

Ale Mały wciąż tylko milczał i patrzył na nią. Minęło kilka minut, które zmęczyły Klawę.

– ANDRIUSZA – nie wytrzymała jego spojrzenia. – ZRÓB COŚ DLA BABCI. GDZIEŚ TAM POD FOTELEM JEST GŁÓWKA PORCELANOWEJ BALETNICY. ROZBIŁA SIĘ DZISIAJ. PODASZ MI JĄ?

Andrij wzdrygnął się, słysząc jej przeszywający krzyk, ale po namyśle znów zajrzał pod fotel, spod którego niedawno wypełzł. Była tam, leżała spokojnie koło jednej z nóg fotela. Mały wyciągnął rękę, ostrożnie i z ciekawością podniósł chłodny kawałek martwej porcelany niczym żuka. Pokręcił ją w palcach, obejrzał, jednak nie zobaczył nic, co by go

zainteresowało, więc znów odwrócił się do Klawy. Wyciągnął do niej rękę z kawałkiem porcelany.

Klawa podniosła na niego zmęczone życiem oczy. Mały jeszcze nigdy niczego jej nie dał, oprócz kuksańców. Z ufnością wyciągnęła do niego swoją zimną, zgrabiałą dłoń i już po chwili poczuła na skórze chłód rozbitej baletnicy, a razem z nim nieoczekiwane ciepło dziecięcych palców. Serce zabiło jej mocniej, próbowała chwycić Andrija za rękę, ale ten z obrzydzeniem się jej wywinął. Wtedy ścisnęła w garści główkę baletnicy, żeby ją ogrzać. Zmrużyła oczy, wspominając swojego Fiedię, i wzdrygnęła się.

– ANDRIUSZA – krzyczała, nie otwierając oczu. – DOSKONALE WIEM, ŻE MASZ MNIE ZA STARE, ROZKLEKOTANE BABSKO, BO TAK WŁAŚNIE JEST, ZGADZAM SIĘ. ALE TO JESZCZE NIE ZNACZY, ŻE MOŻESZ MNIE TRAKTOWAĆ JAK JAKIŚ MEBEL. NIE MOŻESZ MNIE BIĆ I PONIŻAĆ. JA TEŻ JESTEM CZŁOWIEKIEM, CHOCIAŻ PRAWIE MARTWYM. OCZYWIŚCIE TY TEGO NIE ROZUMIESZ, BO Z CIEBIE JESZCZE MAŁY, GŁUPIUTKI I NIEDOŚWIADCZONY CHŁOPCZYK. ALE KIEDYŚ UŚWIADOMISZ SOBIE, ŻE GDYBY NIE JA, CIEBIE BY NIE BYŁO. NIESTETY, JA JUŻ TEGO NIE DOCZEKAM. WĄTPIĘ, ŻE ZMĄDRZEJESZ PRZED MOJĄ ŚMIERCIĄ. ALE TO NIEWAŻNE, JAKOŚ TO PRZEŻYJĘ, CO MI TAM. CHCĘ CI TYLKO JEDNO POWIEDZIEĆ, COŚ NAPRAWDĘ WAŻNEGO. GDY BĘDZIESZ JUŻ DOROSŁY, WNUSIU, POZNASZ JAKĄŚ KOBIETĘ. NAJPIERW BĘDZIE CI SIĘ PODOBAŁA, PÓŹNIEJ JĄ POKOCHASZ, A JESZCZE PÓŹNIEJ ZROZUMIESZ, ŻE ŻYĆ BEZ NIEJ NIE MOŻESZ. OJ TAK, TO SIĘ NA PEWNO STANIE. TYLKO PAMIĘTAJ O TYM, ANDRIUSZA, ŻEBY NIE POPEŁNIĆ Z NIĄ TAKICH SAMYCH BŁĘDÓW, JAKIE JA POPEŁNIŁAM Z FIEDKĄ. JEŚLI BĘDZIESZ ŻYŁ DŁUŻEJ NIŻ ONA, ALBO PRZYNAJMNIEJ DŁUŻEJ NIŻ WASZA MIŁOŚĆ, NIGDY NIKOMU NIE POZWÓL WYRZUCIĆ ALBO SPRZEDAĆ TYCH RZECZY, KTÓRE WAS OBOJE ŁĄCZĄ. STRZEŻ ICH DO OSTATKA I NIE ZWRACAJ UWAGI, GDY BĘDĄ GADAĆ – A NA PEWNO BĘDĄ GADAĆ – ŻE SKŁADUJESZ W DOMU GÓRY NIKOMU NIEPOTRZEBNYCH ŚMIECI, NIE WIERZ TYM, CO GADAJĄ, ŻE PRZESZŁOŚCI TRZEBA

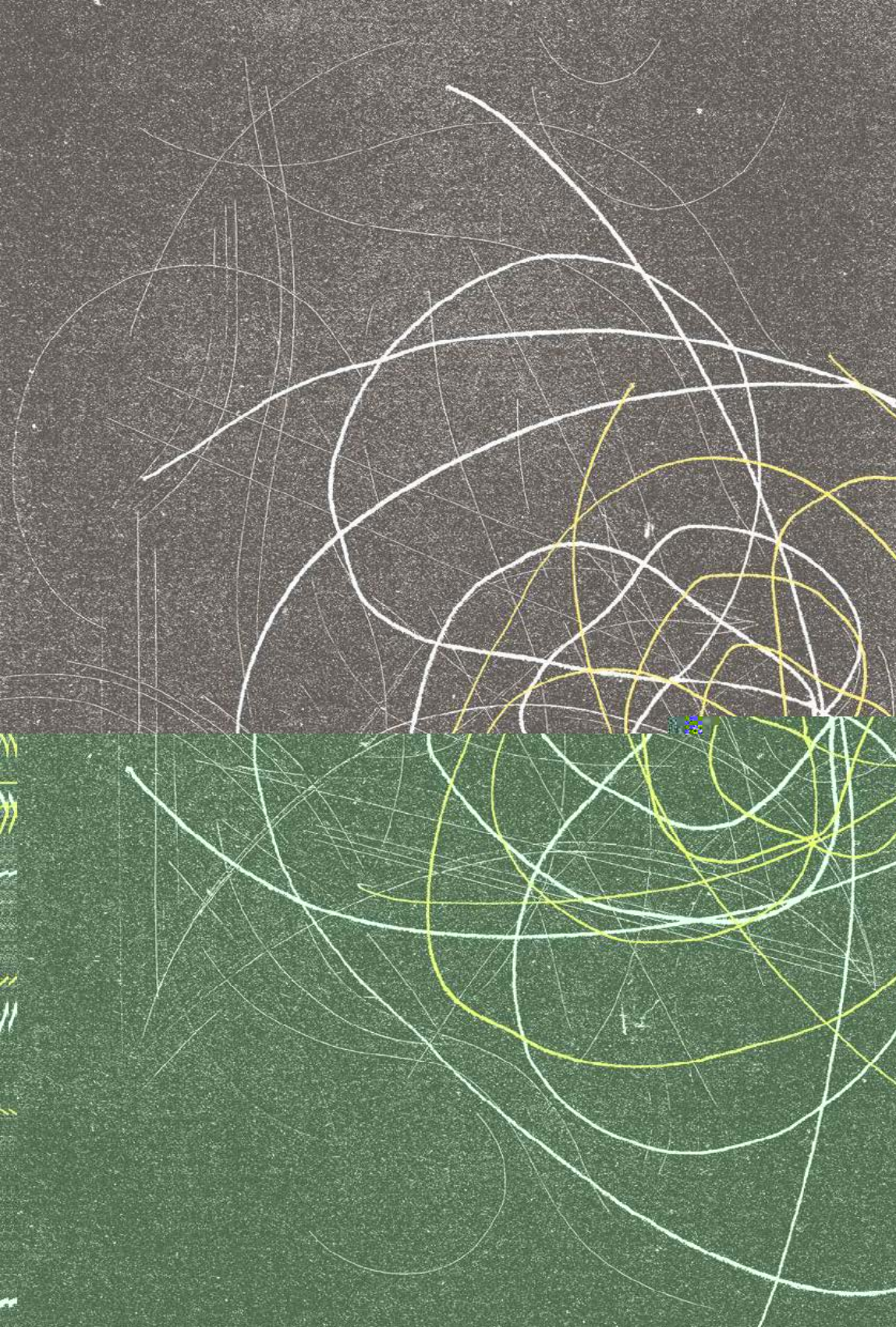

SIĘ POZBYĆ. NIECH IDĄ W CHOLERĘ. RZECZY, KTÓRE WIĄŻĄ NAS Z UKOCHANYMI – OTO CO JEST WAŻNE, NA ŚWIECIE NIE MA NIC WAŻNIEJSZEGO, NO CHYBA ŻE SAMI UKOCHANI. A CI, KTÓRZY TEGO NIE ROZUMIEJĄ, NIECH IDĄ W CHOLERĘ. TAK IM PRZEKAŻ OD BABCI KLAWY.

OTO MOJE POZDROWIENIE DLA NICH.

I tak mówiła dalej, nie otwierając oczu, pochrypując i zdzierając przy tym struny głosowe, mówiła wciąż i wciąż do swojego prawnuka, z pierwszym prezentem od Fedira zaciśniętym w omdlewającej z wysiłku dłoni. Przed tym małym głuptasem, który okładał ją co dnia, krzyczała niczym na spowiedzi, przekazując mu zaśniedziałe kawałki swojej mądrości, których jeszcze nie zdążyła zagubić – wszystko to było balansowaniem nad przepaścią starczego wieku. Mówiła, krzycząc, dopóki zmęczenie nie pokonało jej ostatecznie i nie przerwała w pół słowa, zasypiając po raz kolejny tego dnia w swoim fotelu.

Dobrze, że nie otwierała oczu od początku swojej opowieści aż do chwili, gdy zapadła w sen, bo świadomość, że Andrij prawie od razu uciekł do innego pokoju, jeszcze zanim wypowiedziała do końca pierwsze zdanie, mogłaby ją zabić.

Ale to nie byłoby takie znowu złe. Niechby i już sobie umarła, czy co tam. Bo ta śmierć wydaje się jej czymś bardziej oczekiwanym niż pierwsze dziecko.

Znikająca wyspa
Wioletta Grzegorzewska

Ilustracje:
Łukasz Drzycimski

Liternictwo:
Marta Sieczkowska

Projekt graficzny i skład:
Zuza Waligórska

Znikająca
Wyspa

Aleja Wolności

Poznaliśmy się pod koniec lat dziewięćdziesiątych w Częstochowie, w klubie literackim „Czterdzieści i cztery". Szymek studiował zaocznie filologię polską na Uniwersytecie Jagiellońskim i dorabiał w barze. Ja mieszkałam wtedy w akademiku Skrzat, kończyłam pisać licencjat o motywach snu w literaturze dla dzieci i młodzieży, a wieczorami razem z przyjaciółką prowadziłam audycję literacką Noc z Kaliope w radiu Fon. Szymek często zapraszał mnie do Antyku, gejowskiej kafejki znajdującej się na parterze wieżowca, za kinem Wolność, gdzie nigdy nie było ruchu i pod męskimi aktami można było w spokoju wypić herbatę i pogadać o poezji. Po każdej randce dzielił się ze mną lekko już zwietrzałą mieszanką ziół prowansalskich, którą dostawał od swego szefa zamiast premii, podwoził mnie pod Skrzata na ramie roweru, w niedzielę zabierał nad Wartę. Po ślubie zawalił studia, ja urodziłam syna i przeszłam na indywidualny tok nauczania. Tak rozpoczął się nasz exodus po akademikach, stancjach, wynajętych mieszkaniach, aż wreszcie zatrzymaliśmy się na dłużej na mansardzie przy Alei Wolności.

Po niecałej dekadzie biedowania, przeprowadzek, imania się różnych prac: w warszawskiej firmie fasad aluminiowych, fabryce produkcji firanek, Urzędzie Przewozu Poczty Katowice, dożywszy wieku chrystusowego, Szymek zdał sobie sprawę z tego, że co prawda posadził drzewo, spłodził syna, wydał książkę, to jednak nie czuje się najlepiej w kraju, w którym premier rządu, Kazimierz Marcinkiewicz, zapowiada dymisję oraz wyjazd za granicę. Szymek też postanowił opuścić Polskę, ale w ostatniej chwili dostał wsparcie z funduszu europejskiego dla drobnych przedsiębiorców i w krótkim czasie stał się tego funduszu zakładnikiem, prowadząc niezbyt dochodowy zakład „Bulion – naprawa i komis sprzętu RTV" przy Alei Wolności. Gdy banki zaczęły mamić ratami „zero procent", ludzie przestali naprawiać sprzęt, szymkowy serwis przy Alei Wolności podupadł. Tydzień później mąż zwinął interes, zdał lokal i przepływał kanał la Manche, aby zamieszkać u brata, na małej wyspie należącej do archipelagu brytyjskiego, między hrabstwami Dorset i Sussex, obok Kornwalii. Ja zostałam sama z dzieckiem w kraju.

„Przyjedź – pisał Szymek – To majorka Anglii. Będziesz mieszkać w kurorcie". Przyjaciele ostrzegali: „Nie jedź. To wyspa duchów, dinozaurów i Reptilian. Ugrzęźniesz tam na całe życie". Zwlekałam z decyzją, ale kiedy odmieniony, pewny siebie Szymek przyjechał po mnie, pomachał mi przed nosem biletami, nie wytrzymałam, rzuciłam pracę w księgarni i wyruszyłam w najdłuższą podróż mojego życia.

O piątej nad ranem wynajęty van zawiózł nas na lotnisko w Pyrzowicach. Na terminalu jakaś kobieta rozbiła butelkę z przyprawą do zup i na zatłoczonym pokładzie samolotu tanich linii lotniczych unosił się zapach lubczyku, jakbyśmy gotowali się w rosole. W trakcie lotu kilka razy wymówiłam nazwę wyspy Wight po angielsku „aj low łajt", „aj low łajt", jakbym mówiła „kocham biel", jakbym mówiła „tabula rasa".

Była połowa lipca dwa tysiące szóstego roku; dzień, w którym prezydent Polski zaprzysiągł nowy rząd utworzony przez jego brata bliźniaka.

Demon ruchu

Po drodze myliły się nam bagaże, ulice, języki, ale w końcu dotarliśmy na dworzec Luton Airport Parkway. Przysiadłam na walizkach naprzeciwko „chińczyka" i wdychając zapach czosnku, sosu sojowego, imbiru, oglądałam bilbord z reprodukcjami starych fotografii podróżnych z początków dwudziestego wieku. Podobnie jak my czekali na jednym z brytyjskich dworców: blada dziewczynka w berecie w wieku naszego syna, kobieta w kapelusiku ozdobionym piórkiem bażanta i blondyn pod wąsem z blizną na prawej dłoni w kształcie rombu, który przypomniał mi pewnego pisarza fantastyki nazywanego polskim Poe, Stefana Grabińskiego.

Dwadzieścia lat temu spóźniłam się na pociąg z Myszkowa do Częstochowy i gdy dotarłam w połowie zajęć z literatury dwudziestolecia, profesorka, która właśnie przydzielała tematy półrocznych prac zaliczeniowych, zleciła mi napisanie monografii na temat Stefana Grabińskiego, mało znanego pisarza urodzonego ponad wiek temu w Kamionce Strumiłowej nad Bugiem, autora zbioru nowel grozy *Demon ruchu*.

Dlaczego akurat mężczyzna z blizną na dłoni przypomniał mi tego galicyjskiego pisarza? Gdy młody Grabiński rozpoczął studia filologiczne na Uniwersytecie Lwowskim, jeden z jego kolegów zranił go niechcący brudną stalówką w rękę. Wdało się zakażenie. Rana nie chciała się zagoić. Pojawiła się groźba amputacji dłoni i niemal w ostatniej chwili Grabiński trafił pod opiekę znachora, który zastosował szokującą, ale skuteczną terapię – wypalał mu codziennie ranę za pomocą soczewki. Po zakażeniu pozostała na dłoni blizna w kształcie rombu.

Grabiński chorował na gruźlicę, budził się w środku nocy, włóczył się po dworcowych halach, zasypiał na ławkach, zaglądał do starego kasyna kolejowego, gawędził z konduktorami i w stanach podgorączkowych spisywał anegdoty kolejarzy, tworząc opowieści grozy o pociągach widmach, halucynacjach, zagubionej stacji, ślepych torach, gdzie jak w Trójkącie Bermudzkim ginęli podróżni, o fantasmagorycznym olbrzymie Smoluchu, który pojawiał się w pociągach, wywołując katastrofy kolejowe: „Wrzało bujne życie i ujęte w zbyt ciasne ramy dworca przelewało się z szumem poza jego brzegi. Chaotyczny gwar pasażerów, nawoływania tragarzy, gwizd świstawek, szum wypuszczanej pary zlewały się w zawrotną symfonię, w której traciło się siebie, oddawało zmalałą, ogłuszoną jaźń

na fale potężnego żywiołu, by niósł, kołysał, odurzał...". W końcu, z powodu zaawansowanej gruźlicy, wycofał się z życia, zamieszkał w Brzuchowicach, w podlwowskiej miejscowości kuracyjnej, gdzie godzinami przechadzał się wzdłuż torów w stronę Zawadowa.

W trakcie pisania pracy o Grabińskim, zafascynowana jego teoriami o polimorficzności świata, zaczęłam inaczej patrzeć na dworce, skradałam się przejściami podziemnymi, czytając graffiti jak hieroglify, zagubiona w labiryntach sztucznych świateł odbijających się w posadzkach korytarzy, zbierałam klepsydry, ogłoszenia o doliniarce, która szukała wspólniczki, zabazgrane cetelki – porzucone bilety, podsłuchiwałam rozmowy pasażerów, z których mogłam się między innymi dowiedzieć, ile kosztują olsztyneckie jagodzianki, jak szmugluje się złoto z Kraju Radu, kogo uwiodła Lola w Nowych Laskach i że berza to dworzec, a skóra portfel w języku kieszonkowców.

Traf chciał, że w pierwszym dniu wyprawy na Wight, oglądając bilbord, przypomniałam sobie Grabińskiego, tego stałego bywalca Gara de Nord w Bukareszcie, Roma Termini w Rzymie, neobarokowego dworca w Przemyślu, i na tej stacji londyńskiej ośmiornicy z odnogami metra, gdzie prawie nigdy nie cichnie pikanie automatów do trawelek, pośród przekleństw w kilkudziesięciu językach świata, w niebywałym harmiderze, kakofonii telefonów, salonów gier, okrzyków podróżnych uciekających przed strażą pod żółtymi taśmami, nagle usłyszałam płynący z głośników fragment koncertu Mozarta.

A ci ludzie z bilbordu tacy eleganccy, w ciepły dzień dopięci na ostatni guzik, do jakich zakątków Zjednoczonego Królestwa zmierzali, we władaniu jakiego demona ruchu wtedy byli i po jakim teraz krążą ślepym torze?

W stronę Wyspy
Londyn – Portsmouth

Ragtime, ragtime pociągu. Za oknem kołysały się pola rzepaku, wrzosowe wzgórza unosiły się we mgle, lśniły po deszczu liście osik. Wsłuchana w synkopowe gaworzenie szyn przeglądałam przewodnik po wyspie Wight i jak *W starym kinie* wyświetlałam sobie ląd na kanale la Manche, który zniknie za pięćset lat z powierzchni Ziemi. Jego mapa przypominała mi nadgryziony liść grążela, preparat kraba zanurzony w pleksi, wyprawione skrzydełko papużki. Na ilustracjach „perfect England", istna Anglia, jak nazywał wyspę Wight w latach sześćdziesiątych fotograf, Robert George Clark, trzy godziny i trzydzieści lat za Londynem: wiktoriańskie kamienice porośnięte bluszczem, chaty okryte gontem, ogrody z krzewami laurowymi, figowcami i palmami, kobiety w kwiecistych sukienkach spacerujące po nadmorskich deptakach, mężczyźni z fajkami. Wreszcie znudzona tą sielankową scenerią wykreowaną na potrzeby działu promocji regionu, wyjrzałam za okno, gdzie na murze starego cmentarza mignął mi czerwony napis: Red bull doda ci skrzydeł.

– Podróże? A na co ci to? Tylko byś się poniewierała po świecie jak twój ojciec? – Mówiła babcia, gdy prosiłam ją o pożyczkę na kolejny wyjazd. Ona, Stefania Lubas z domu Walo, która urodziła sześcioro dzieci na sienniku, nigdy nie przekroczyła granic województwa katowickiego; siedemdziesiąt lat chadzała tymi samymi ścieżkami, a znała się

na świecie lepiej niż niejeden z samozwańczych herodotów. Stawała na podwórku, przykładała do czoła łódeczkę dłoni i wpatrując się w horyzont, od razu wiedziała, kiedy można spodziewać się powodzi, burzy, plagi stonki i że w nocy jakiś obcy na górce siedzi w krzakach tarniny. Wyjazdy napawały ją lękiem, bo ktokolwiek z najbliższych opuszczał wieś, tracił życie, jak jej córka Anna, albo wracał półżywy, pokiereszowany jak jej mąż. A jednak wciąż kazała sobie opowiadać o Błędnych Skałach, kaplicy czaszek z Czermnej, ruchomej szopce z Wambierzyc, smaku winogron z żylińskiego kraju.

Myślałam o niej, gdy przekraczałam z mężem i synem granicę hrabstwa Hampshire, gdy mijaliśmy dok z kutrami, a na horyzoncie pojawiła się biała na tle jeszcze bielszych chmur, przypominająca stumetrowy żagiel, wieża Spinnaker i gdy dojeżdżaliśmy do rodzinnego miasta autora *Wielkich nadziei*, gdzie, jako mały chłopiec, pracował w fabryce pasty do butów i za sześć szylingów naklejał nalepki na opakowania z czernidłem. Myślałam o niej, gdy w kawiarni przy promowisku naprzeciwko mnie usiadła staruszka z tatuażem na ręce „sink or swim" – „raz kozie śmierć".

Na cieśninie Spithead

Katamaran wypłynął z Portsmouth i skręcił trzydzieści stopni na południowy zachód, w stronę Wight. W bulajach krople wody kołysały się na żyłkach słońca. Na cieśninie pojawiły się żaglówki, dwa turystyczne liniowce i kontenerowiec załadowany skrzyniami jak klockami lego. Im bliżej wyspy, tym lepiej było widać dwa wystające z wody pagórki jak denka od słoika – stare forty obronne zmienione w luksusowe hotele.

Na pokładzie moja bujna wyobraźnia zaczęła rozwijać film instruktażowy o zakładaniu kamizelek ratunkowych w długometrażową produkcję o katastrofach na Spithead: statku Royal George, Mary Rose, łodziach wikingów, okrętach siedemnastowiecznych piratów, władców Jutów, Sasów, galer starożytnych Rzymian, którzy nazywali tę wyspę Vectis – po łacinie lewar lub dźwignia. Ląd „podźwignięty" nad większą wyspą, czy wyspa pod lądem jak dźwignia umożliwiająca rzymskiemu legionowi skok do kraju barbarzyńców?

Ani się nie obejrzeliśmy, a nasz fastcat dobił do promowiska w Ryde, lecz zamiast, jak się spodziewałam, widoku dzikiego wybrzeża z klifowym wąwozami, zobaczyłam

panoramę jakby śródziemnomorskiego miasta. Czy nie dopłynęliśmy do Francji?

Ciągnąc wypchane walizki na stację kolejki zrobionej ze starych wagoników londyńskiego metra, deptałam ulotki z atrakcjami turystycznymi wyspy: zamek Carisbrooke, rezydencję królowej Wiktorii Osborn House, ruiny rzymskiej willi i co mnie zainteresowało najbardziej, jeden z siedmiu cudów natury południowej Anglii – skalny przylądek The Needles w zatoce Alum Bay – trzy kredowe skały wystające z wody jak ogon zamienionego w kamień stegozaura. Holenderski malarz, Lambert Doomer, utrwalił na akwarelach jeszcze jedną wapienną opokę przypominającą słup soli – Żonę Lota. Zanim powódź z lodowców zalała dolinę położoną nad pradawną rzeką Solent, Żona Lota była szczytem wzgórza porośniętego dębikami i wierzbą zielną. Przechadzały się po niej mamuty i inne plejstoceńskie ssaki. Geolodzy próbowali rozwikłać zagadkę jej zniknięcia, bo jak tu uwierzyć, że Żona Lota tkwiła w zatoce Alum Bay od dwóch milionów lat, a w osiemnastym wieku, w ciągu kilku minut, zniszczył ją sztorm?

Antylogie w Ryde

Kiedy Szymek poszedł na postój zamówić taksówkę do Wootton Bridge, przechadzałam się z synem po nadmorskiej esplanadzie oszołomiona mieszanką zapachów: zgniłych ryb, węgla drzewnego, spalin z silników poduszkowców. Nadmiar przestrzeni, nadmiar światła i mew przyprawiły mnie o zawrót głowy. Zamiast „perfect England" ujrzałam podupadły Słoneczny Prestatyn z wiersza Philipa Larkina. Wyglądało na to, że współczesność dogoniła wyspę i naznaczyła ją swymi abstrakcjami i antylogiami. Obok plaży zbudowano kryte lodowisko. W kamienicach z epoki regencji i wiktoriańskich przybyły fishandchipsy, chińska restauracja Hong Kong i włoska lodziarnia o znajomo mi brzmiącym nazwisku, Minghella. Naprzeciwko lunaparku powstał lupanar Balkon – klub nocny w pawilonie stylizowanym na chiński pałac letni. Zielone autobusy piętrowe i pomarańczowa kolejka woziły turystów wzdłuż wybrzeża.

W drodze powrotnej na postój podeszłam pod bramę Wschodnich Ogrodów i zrozumiałam, dlaczego Lewis Carroll lubił spędzać wakacje na Wight. Przy klubie the Ryde Marina Bowl rozgrywała się scenka tak sugestywna jak ostatni obraz meczu tenisowego z *Powiększenia* Antonioniego: za siatką boiska dwie drużyny kilkudziesięciu staruszków w białych uniformach grały kulami na murawie. Nieopodal krążył dżip stylizowany na karawan, z trupią czaszką i szyldem: „Park umarłych – Apokalipsa".

Sny nocy letniej nad Wootton Creek

Taksówka minęła znak drogowy z symbolem czapli i most nad rozlewiskiem. Wreszcie dojechaliśmy do wsi Wootton Bridge, gdzie mieliśmy spędzić kilka tygodni w wynajętym domku kampingowym. Tymczasem, gdy wysiedliśmy na High Street przed zaniedbanym, dwupiętrowym domem i wynosiliśmy walizki, Szymek w końcu się przyznał, że pracodawca nie przelał mu na czas pensji i kilka dni musimy pomieszkać w ob-

Isle o

# of Wigh

skurnej przybudówce domu wynajętego przez znajomych emigrantów z Polski.

Nasza nowa kwatera, wypisz wymaluj cela francuskiej malarki prymitywistki, Séraphine Louis: trzy metry na pięć, dwa materace, stolik i krzesło, na ścianach nacieki grzybni, odpadająca tapeta, ubrania zawieszone na gwoździach, w oknach zamiast firanek frędzle pajęczyn. Rozłożyłam kurtkę na śmierdzącym morską trawą i skisłym cydrem materacu i zasnęłam na kilka godzin.

Po obiedzie włóczyłam się nad rozlewiskiem Creek, podjadając jeżyny i orzechy laskowe, które na wyspie dojrzały miesiąc wcześniej niż w Polsce. Na polanach rozsiały się lejkowce, gąski, zieleniaki. W niedzielne popołudnie lipca fish-and-chipsy, bary z chińszczyzną, grille w ogrodach i na polach kempingowych pracowały pełną parą. Telefony budziły mieszkańców z letargu. Pajęczyna impulsów z satelitów ciążyła nad wioską jak wojskowa siatka maskująca.

Na Creek woda pojawiała się i znikała zgodnie z fazami księżyca. Estuarium wciąż zmieniało kształt i gdy podczas odpływu odsłaniało się brudnoszare jak papier pakowy, usiane kamieniami dno, brzegi rozlewiska wciąż lśniły soczystą zielenią. Wiatr mącił kształty wierzb odbijające się w wodzie. Nieopodal Creek znajdowała się willa kliniki chirurgii estetycznej. Kiedy wieczorem sprzątacz wynosił śmieci, pod budynek podchodziły lisy, które rozszarpywały worki z organicznymi odpadami.

Po powrocie do przybudówki zastałam syna drzemiącego w ogrodzie. – Miałem ciekawy sen – odezwał się do mnie lekko zachrypniętym głosem. – Śniło mi się, że mieszkałem na planecie miękkiej i giętkiej jak piłka. Nic tam nie musiałem robić, tylko cały dzień odbijałem się od ziemi, a chmury były na wyciągnięcie ręki. – I co było dalej? – spytałam zaciekawiona. – A później ty się zjawiłaś i wypuściłaś z mojej planety powietrze.

Zwiedzanie Wootton Bridge postanowiłam rozpocząć od rekonesansu cmentarza. Liczyłam na to, że znajdę tam groby dawnych kapitanów statków, poetów i entomolożki z wyspy, Eleanor Glanville. Znalazłam tylko kamienną układankę, pośrodku której rósł dąb, idealny na huśtawkę albo domek w gałęziach. Spacerując trotuarem zrobionym ze starych nagrobków, czytałam inskrypcje i dotykałam płyt zapisanych alfabetem Braille'a. Nagle przy płycie trzyletniej Ann usłyszałam dziwny dźwięk przypominający syczenie żmii. Odskoczyłam przerażona, ale ciekawość kazała mi zawrócić. Odsłoniłam

patykiem liść łopianu, a tam zabawka, mechaniczny piesek rzęził niedawno zmarłej dziewczynce ostatnią tego lata kołysankę resztkami baterii.

Nadszedł koniec lipca. Ponieważ wciąż nie przeprowadziliśmy się do obiecanego domku, zaczęłam urządzać naszą przybudówkę. W sklepiku organizacji charytatywnej z używanymi rzeczami kupiłam za grosze nowy dobytek: talerze, sztućce z wygrawerowanymi napisami nieistniejących już pensjonatów i hoteli, miskę na sałatki, kilka kubków, garnek, pościel i ręczniki. Przy okazji czytałam metki na starych ubraniach, w podszewkach których, jak mi się zdawało, w kurzu, wyschniętych na wiór włosach, wciąż koczowali zmarli. Z obrzydzeniem i fascynacją oglądałam bombille i fajki i inne ślady tego halogenowego świata, gdzie urządza się pikniki na grobach protoplastów, buduje trotuary z płyt nagrobnych, a ławki na cmentarzach funduje Towarzystwo Karnawałowe.

Nie mogłam zasnąć z powodu mdłości i bólów w podbrzuszu. O świcie czułam się tak, jakbym przepłynęła Tamizę, ocean, potem Kongo i dotarła do jakiegoś jądra ciemności. „Człowiek cierpiący na bezsenność tak naprawdę nigdy nie śpi i nigdy nie jest przebudzony" mówił bohater *Podziemnego kręgu* Orhana Pamuka. Tak dokładnie się czułam, dryfując pomiędzy jawą a snem, idąc do warzywniaka, podtrzymywałam się murów, pni drzew, słupów, jakby ulice wioski stały się nagle zapadniami. Ukojenie przynosił mi tylko zapach pobliskiej pralni. Przechadzałam się tamtędy kilka razy dziennie, zaglądałam do środka i obserwując wirujące pralki, czytałam porzucone na podłodze gazety.

Podczas pierwszego spaceru do opactwa benedyktynów Quarr Abbey nie miałam pewności, czy między gałęziami dębów, platanów i buków prześwituje niebo czy fragment cieśniny. Morze wdzierało się na ląd, zacierało granice, stemplując mury, parapety i ramy okien. Grzyby gnilce, żółte kropidlaki rozrastały się na wiktoriańskich murach, zwijały się jak olbrzymie larwy liście palm w udeptanych, zasypanych żwirem ogrodach. W pajęczynach, na liściach bluszczu lśniły kryształki morskiej soli. Wight znikała jak Malediwy, Sylt, wyspa Salomona. Każdego roku morze zabiera jej trzy metry wybrzeża i w tym czasie kanikuły, pod rozbłyskującym coraz jaśniej Syriuszem w gwiazdozbiorze Psa, w czasie bezsennych nocy ubywałam razem z nią.

Mąż dostał nową pracę na plantacji pomidorów, wstawał o piątej rano. W szarówce

migała jego jaskrawożółta kamizelka – wyruszał na rowerze do oddalonej o osiem mil wsi Aretton, gdzie wycinał nożykiem naloty pleśni z łodyg pomidorów. Wracał po piątej pokryty zielonym pyłem jak kosmita, jak jego dziadek Henryk, który w czasie drugiej wojny światowej trzy lata spędził na przymusowych robotach w Lublińcu. Zanim słońce wzeszło nad Wootton, wyobrażałam sobie w tych szklarniach robotników dwudziestu narodowości, głównie z dawnego bloku wschodniego, którzy od świtu do zmierzchu wyciskali siódme poty w służbie Zjednoczonemu Królestwu.

Po czterech godzinach poszukiwania starego młyna, który, jak się okazało, został tylko w nazwie zatoczki Millpond, postanawiam spędzić kolejną niedzielę nad Creek. Tym razem ominęłam las i zatrzymałam się przy zaroślach mangrowych, gdzie, jak przeczytałam, znajdowało się siedlisko czapli białej. Raptem z zaparkowanego nieopodal dżipa wybiegł mężczyzna i skradał się z aparatem fotograficznym w stronę namorzyn. Błysk lampy wypłoszył czaplę, która jak porwana podmuchem wiatru papierowa baletnica w baśni Andersena *O dzielnym ołowianym żołnierzyku*, uniosła się z gracją nad Wootton, wpadając w dysze rozżarzonego zachodem słońca nieba.

Ten zapierający dech w piersiach widok białego ptaka przypomniał mi mit o księżniczce Skylli, ale nie tej z Odysei, która była potworem morskim i wraz z Charybdą czyhała na żeglarzy na cieśninie Mesyńskiej. Inna, mniej znana w śródziemnomorskim świecie, Skylla, była księżniczką Megary, córką króla Nisosa, która zakochała się w Minosie. Ukochany najechał jej ojczyznę, jednakże nie mógł pokonać Nisosa, dopóki na jego plecach rósł złoty włos. Skylla, kierowana miłością do Minosa, a także obietnicą małżeństwa, wyrwała ojcu ów magiczny włos, co go zabiło. Pomimo tego, że Minos dokonał łatwego podboju Megary, nie okazał księżniczce wdzięczności, wprost przeciwnie, skazał zbrodniczą córkę na śmierć. Przywiązał Skyllę do rufy statku i byłby ją utopił, gdyby na czas bogowie nie przemienili jej w czaplę.

„Są noce, których nie wymyśliłby nawet najbieglejszy specjalista od tortur. Wychodzimy z nich pogruchotani, ogłupiali, zagubieni, wyżęci ze wspomnień i przeczuć, niewiedzący nawet, kim jesteśmy." – napisał Emil Cioran w *O niedogodności narodzin*.

Czy to była taka noc? Nie mogłam zasnąć do trzeciej nad ranem, a kiedy wpadłam w letarg, śnili mi się umarli, rozpoznałam ich jakimś innym zmysłem, choć nie

mieli twarzy ani cech indywidualnych. Ta siła – jedno wytrącone z wielu, grzęzawisko.

– Wsiąknij w nas! Wypłyń! Wsiąknij! – To było przedwiośnie po zimie tysiąclecia, w którym po chwilowym ociepleniu mróz ściął roztopy, zamieniając łąki wokół domu w mozaikę potrzaskanych luster. Siedzieliśmy w pokoju stołowym, prowadząc pogawędki. Goście mieli dziwne, jakby zdegustowane, miny. Czułam się wśród nich jak wśród obcych. Nagle zaczęli kolejno wychodzić z pokoju i gdy długo nie wracali, szukałam ich w sieni, w izbach, na strychu; pobiegłam do drzwi, aby sprawdzić, czy nie ma ich na zewnątrz, ale nie mogłam przekroczyć progu.

Obudziłam się przed dziewiątą zmęczona, jakby wyżęta, z bólem ucha, i wtedy zrozumiałam, że to nie nadmorski klimat czy zmiana wody wywołują moje mdłości, tylko ciąża.

Atlas świata

Petra Soukupová

Przełożyła:
Julia Różewiczz

Ilustracje:
Hania Turzyńska

Projekt graficzny i skład:
Kinga Gazda

Atlas świata

Kiedy tata od nas odszedł, w ogóle się nie przejąłem. I tak nie widywałem go zbyt często, późno wracał z pracy, już spałem, czasami się budziłem, a on siedział po ciemku przy moim łóżku, ten moment zawsze napędzał mi niezłego stracha, jemu też, potem głaskał mnie i wychodził, a ja zostawałem z walącym sercem, w ciemności. Raz obudziłem się w nocy, bo zachciało mi się pić, a oni siedzieli w kuchni, w milczeniu, w ogóle nie zwrócili na mnie uwagi. Raz, jak poszedłem się napić, tata spał na kanapie. A raz, jak poszedłem do ubikacji, to mama spała na kanapie. Czyli od dawna wiedziałem, że im się nie układa. Wiem takie rzeczy ze szkoły. Tomáš mówił, że gdy jego rodzice się rozwodzili, jego mama strasznie płakała i ciągle wrzeszczała na tatę. Ale u nas jest inaczej, podejrzewałem, że chyba raczej nie będzie żadnych wrzasków, no i faktycznie nie było, nawet kiedy tata jeszcze z nami mieszkał, mama była zajęta własnymi sprawami, ja też, a tata ciągle siedział przy komputerze, miałem mu nie przeszkadzać, mogłem mówić, ale śpiewać już nie, no to jak go chciałem wkurzyć, zaczynałem śpiewać, a śpiewam całkiem nieźle, chodzę na chór, wiem, że trochę siara, ale na chórze jest naprawdę fajnie, no i tata zawsze w końcu pakował komputer i szedł do sypialni, potem mogłem już włączyć telewizję i normalnie oglądać, w kuchni obok mama gotowała obiad, pachniało jedzeniem, a taty, nawet kiedy był, właściwie jakby nie było w domu, więc co. No to teraz nie ma go nawet w tej sypialni, teraz jest gdzie indziej. A mama dużo częściej robi dania, które lubię, na przykład bułeczki z kremem waniliowym, a nie ciągle mięso, które chyba lubił tata, ale ja nie za bardzo, na przykład bitki wołowe z ryżem. Jemy w dużym pokoju przed telewizorem, tego też nie robiliśmy wcześniej, mówimy z pełną buzią i mama się śmieje, więc wygląda na to, że ona też się nie przejmuje, poza tym ma mnie. Mamy siebie i fajnie nam. Fajnie nam, nawet bez taty. Mam siedem lat. I pół.

Tata zabiera z domu wszystkie ubrania, raz szukam czegoś u mamy w szafie, i szafa jest jakby smutna, do połowy pusta, jakby mama miała strasznie mało ubrań, gdy to widzę, czuję się dziwnie. Po jakimś czasie zauważam też, że ubywa książek z biblioteczki, zastanawiam się, kiedy tata po to wszystko przychodzi, i myślę, że mama chyba powinna zabrać mu klucze, skoro już tu nie mieszka, i widzę, że zniknął też taki bardzo stary atlas świata, który bardzo lubię oglądać, to chyba moja najukochańsza książka, kontynenty mają tam inne kształty niż teraz, ludzie w tamtych czasach nic nie wiedzieli, odkrywcy myśleli, że byli już wszędzie, no i nanieśli na mapy wszystkie te kraje i góry, ale wszystko źle. A jak się zamknie ten atlas, zamknięte strony są jakby pozłacane, i tata wiedział, że to moja ulubiona książka i zawsze mówił, Adaś, jak tak na ciebie patrzę, to coś mi się zdaje, że będziesz podróżnikiem, uważaj tylko, żeby nie uświnić map, a raz, jak jadłem coś słodkiego, bardzo się wkurzył, że nie umyłem rąk, Adam, mówi, co ty, nie wiesz, jaki to cenny atlas, chcesz go zniszczyć, czy co? Raz powiedział też, że kiedy umrze, to odziedziczę po nim atlas, a ja na to, że przecież on nigdy nie umrze, a on, że faktycznie, że mam rację, nikt z naszej trójki, chodziło mu też o mamę, nigdy nie umrze. Pytam więc mamy, co z tym atlasem, czy tata naprawdę go zabrał, a ona na to, no wiesz, Adaś, a tak zwraca się do mnie naprawdę rzadko, gdy chce być bardzo, ale to bardzo miła, tata miał ten atlas po dziadku, po swoim tacie, jest dla taty bardzo ważny, lubi go nie tylko dlatego, że to fajna książka. Ale przecież ja też go lubię. Pytam więc mamy, czy nie mogłaby zabrać tacie kluczy, i mówię to całkiem poważnie, ale mama wybucha śmiechem, śmieje się bardzo głośno, no to ja też zaczynam się śmiać, chociaż wcale nie uważam, że to zabawne. Pytam więc, czy dałoby się jakoś załatwić taki atlas, mama przestaje się śmiać, ciężka sprawa, mówi, zobaczymy, ale po tonie, jakim to mówi, słyszę, że w ogóle jej to nie obchodzi, nic nie rozumie, spokojnie wraca do przerwanego zajęcia, a ja patrzę na biblioteczkę, gdzie książki położyły się na boczkach, tak ich teraz mało, a potem, jesienią, w niedzielę, po raz pierwszy na obiad przychodzi Richard i przynosi mi supergrę na kompa, bardzo się stara i jest nawet zabawny, z początku wcale nie chcę się śmiać z tego, co mówi, ale nie daję rady i się śmieję, widzę też, że mama jest cała szczęśliwa, myślę więc sobie, hm, no i po atlasie, ale nie szkodzi, jak zdobędę więcej pieniędzy, kupię sobie taki sam, skoro tata mi go nie zostawił.

Potem przez jakiś czas wszystko jest w porządku. Richard często przychodzi i jest dla mnie okropnie miły, przynosi mi różne rzeczy, fajne rzeczy, supersłodycze, widzę, jaką mama robi minę, ale nie może mi ich zabrać, albo gry na kompa, albo filmy. Czasem, kiedy idę spać, Richard jeszcze jest, siedzą z mamą w dużym pokoju i gadają, ale rano, gdy wstaję, już go nie ma, raz rano, jak mama nie patrzy, szybko otwieram drzwi od sypialni i widzę, że połówka łóżka, na której kiedyś spał tata, jest nieposłana, ale nie przeszkadza mi to. Weekendy są jeszcze lepsze, bo mama zwykle gdzieś mnie zabiera, chyba jej się zdaje, że kiedy Richard jest u nas, to ona za mało się mną zajmuje, raz nawet mówi, dzisiaj spędzimy razem dużo czasu, co, Adaś? Czasami mam wrażenie, że zajmuje się mną aż za bardzo, nie musiałaby na przykład pilnować, żebym nigdy nie grał w gry dłużej niż trzy godziny dziennie. W weekendy jeździmy do centrum handlowego, mogę zamówić w Macu co tylko chcę, no, może oprócz frytek, frytek prawie zawsze mama zabrania, chyba że mam urodziny albo jest inna specjalna okazja. Ale poza tym mama prawie zawsze kupuje mi wszystko co chcę i idziemy do kina na co chcę. Czasem w weekend jest też z nami Richard, jedziemy gdzieś na wycieczkę autem, w jakieś miejsce, które uważam za fajne, jak wystawa motocykli. Albo spędzam weekend u taty i mogę cały dzień grać w gry i oglądać w telewizji co tylko chcę, a on pracuje. Jego mieszkanie jest trochę brzydkie w porównaniu z naszym, nie ma zbyt dużo mebli, nie ma też żadnych kwiatków i ciągle słychać, jak hałasuje winda i huczy wiatr, ale za to ma piękny widok z okna, na całe miasto, bo tata mieszka aż na trzynastym piętrze. Tata pozwala mi na przykład zjeść na obiad cztery pączki i popić fantą. Sam nie wiem, która z tych opcji spędzania czasu jest fajniejsza, a już na pewno nie wiem, co by się musiało stać, żeby mi było źle. Niczego się nie boję, nie zauważam, że tata nieraz dziwnie na mnie patrzy, nie widzę też, jak mama patrzy na Richarda, myślę więc, że pewnie już zawsze będzie dobrze, tak jak teraz. A atlas leży u taty w mieszkaniu na stole, nie ma tam biblioteczki, oglądam go więc za każdym razem, kiedy u niego jestem, czyli właściwie ciągle jest tak trochę mój, mówię o tym tacie, pytam go, i co, dalej twierdzisz, że odziedziczę po tobie ten atlas? A tata cały drętwieje, dziwnie na mnie patrzy, a potem przytula mnie, no jasne, kto inny miałby go odziedziczyć, mówi, i ma dziwny głos.

A dwa tygodnie później, przy śniadaniu, akurat jem słodką bułkę z makiem, Richard siedzi obok i czyta gazetę, a mama nagle mu ją zamyka i patrzą na siebie, ale tak dziwnie, nie tak jak zawsze, potem mama zerka na mnie, widzę, że coś jest grane, jakby chcieli mi powiedzieć coś bardzo ważnego, może chcą mnie wziąć na rejs transatlantykiem, w zeszłym tygodniu oglądałem o tym film dokumentalny, i najbardziej na świecie chciałbym się przepłynąć transatlantykiem, mówię więc, no mówcie, mówcie, o co chodzi, a oni jeszcze chwilę trzymają mnie w napięciu, a potem mama wypala, że będę miał braciszka. Aha. Lepsze to, niż siostra, myślę. Dobrze, że nie siostrę, mówię głośno. Śmieją się, że przecież jeszcze nie wiadomo.

Nie wszystko zmienia się od razu. Ciągle jeździmy na wycieczki. Chociaż czasem jeżdżę już z samym Richardem. Mama zostaje w domu, trzyma nogi w górze. Potem Richard się wprowadza. Oczywiście najpierw rozmawiają o tym ze mną. Adaś, to dotyczy nas wszystkich, teraz będziemy rodziną, jasne, wiem, że nie jestem twoim tatą, ale jesteś dla mnie ważny, i zawsze możesz do mnie ze wszystkim przyjść. Wiadomo, że nic mu nie odpowiadam. Bo niby co miałbym powiedzieć? Zabieraj to dziecko z mamy brzucha, możesz tu wpadać tylko z wizytą, chcę być z mamą sam, bo to moja ziemia, mój świat?

Idziemy na uroczystą kolację, oboje są bardzo weseli i dosłownie zmuszają mnie, żebym jadł frytki. Kiedy po raz pierwszy rano natykam się w łazience na Richarda, jestem w szoku, jaki jest włochaty. Nawet na plecach. W sypialni staje łóżeczko i jakieś inne meble dla niemowlaka. Nie mają już miejsca na biurko z komputerem, więc przenoszą je do mnie, ta zmiana właściwie mi się podoba, zresztą, gdy pewnego razu wracam od taty, i biurko z komputerem już u mnie stoi, cały mój pokój jest jakiś inny, musieli przesunąć łóżko i regał z książkami, i wtedy nagle myślę sobie, że cały świat to taki stary atlas, wszystko zawsze jest na nim źle oznaczone, bo nikt nigdy nie może wiedzieć wszystkiego, ta kraina jest teraz zupełnie inna niż rok temu. I mówię o tym tacie, o tym, co sobie pomyślałem, ale na to skojarzenie z atlasem tata akurat nie zwraca specjalnej uwagi, bo niechcący mówię też, że mama i Richard będą mieli dziecko, czego tak naprawdę wcale nie chciałem mówić, bo wiedziałem, że się raczej nie ucieszy, ale tata udaje, że nie jest mu smutno, wiem, że tylko tak udaje, przede mną, a kiedy budzę się w nocy, znowu siedzi przy moim łóżku, znów napędza mi tym stracha. Przepraszam, mówi i wychodzi, idzie spać. A rano odwozi mnie do domu wcześniej, niż musi, mama otwiera drzwi, a tata wchodzi do mieszkania, już dawno tak nie robił, Richarda nie ma, wysyłają mnie do mojego pokoju, a sami idą do kuchni wypić kawę, nie słyszę, o czym rozmawiają, słyszę, jak potem tata wychodzi, wyglądam z okna, żeby jeszcze go zobaczyć, tata wychodzi przed blok, idzie w stronę auta, naciska pilota, pipczy, migają światła, ale tata nie otwiera drzwiczek, tylko siada na krawężniku i się kuli. Nie wiem, co robić, patrzę. Tata nawet nie drgnie. Patrzę tak długo, aż mi się to nie znudzi.

A potem nic. Rodzi się Rysiu. Dzidziuś. Mama jest strasznie zmęczona, ciągle to powtarza, a Richard mówi, teraz musisz dużo pomagać mamie, no to się staram, ale oni w kółko gadają to samo, Richard długo ze mną rozmawia, robi mi dobrą kolację, tosty z keczupem, ale potem siada naprzeciwko i nie mogę nawet nacieszyć się jedzeniem, bo to jest tak zwana ważna rozmowa, nagle jestem już duży, muszę być samodzielny i rozsądny, przy dzidziusiu jest dużo pracy, potrzebuje opieki, co nie znaczy, że będą mnie teraz mniej kochać, po prostu muszę zrozumieć, że już jestem duży chłopak. I nie mogę ciągle tylko przesiadywać przed komputerem, muszę się uczyć, być odpowiedzialny i samodzielny, muszę zrozumieć, że świat nie kręci się wokół mnie, co fakt, to fakt, nic już nie kręci się wokół mnie, Richard już nie jest tak miły jak wcześniej, nie mówię, że jest zły czy coś, ale już mu tak nie zależy, i kiedy nieraz kłócę się z mamą, że jeszcze nie jestem śpiący, mówi na przykład: Adam, proszę natychmiast iść umyć zęby, i mówi to całkiem na poważnie, jakby miał prawo mi rozkazywać. Cały czas jest w naszym mieszkaniu, jakby mieszkał tu od zawsze, nigdy nie zostaję sam na sam z mamą, jak wcześniej, gdy tata odszedł, nie jemy przed telewizorem, siedzimy w kuchni, mama ciągle karmi Rysia, nie jeździmy na wycieczki, albo przynajmniej nie tak fajne, z dzidziusiem nie można za daleko jechać, zawsze trzeba zabierać dla niego pełno różnych rzeczy, zresztą i tak psuje nam każdą wycieczkę, bo zaczyna wyć akurat wtedy, kiedy się dobrze bawię, w samym środku zwiedzania wystawy motocykli, nie da się go uciszyć, musimy wyjść, a potem wracam na wystawę już tylko z Richardem, mama i Rysiu czekają w kawiarni, Richardowi strasznie się spieszy, więc koniec końców i tak wszystko jest do bani. Potem prawie każdy weekend spędzam u taty u niego w mieszkaniu, tam właściwie jest dużo fajniej. Zdążyłem już przywyknąć do jego mieszkania, dziwne dźwięki już nie są dziwne, a tata nie karze mi nic robić, nie muszę w niczym pomagać, mogę grać na kompie, nie muszę się uczyć, tata pyta wprawdzie, czy nie mam żadnych lekcji, ale jak mówię, że nie, daje mi spokój, nigdy nie mówi „pokaż dzienniczek", na obiad zawsze zamawiamy pizzę, do tego fanta albo sprite, jak chcę. Tylko atlas świata znika ze stołu, pewnego razu przychodzę i po prostu go nie ma, pytam więc taty, ale nie odpowiada nic konkretnego, mówi tylko, że na pewno gdzieś jest, bo gdzie miałby

być. Chwilę go szukam, ale nie znajduję. Chcę, żeby tata pomógł mi szukać, ale on nagle mówi, ach tak, już wiem, wziąłem go do pracy, pokazać kolegom. Zupełnie o tym zapomniałem! Daję więc spokój, ale atlasu nie ma także w kolejny weekend, ani w kolejny, myślę więc, no trudno, bo niby co mam zrobić. Pewnego dnia będzie mój, więc co. I tak, nawet bez tej książki, weekendy u taty są jedynym, co pozostało z mojej starej mapy świata. Wszystko inne się zmieniło.

W listopadzie Rysiu kończy rok, drepta już po domu i zrzuca wszystko na podłogę. Ciągle trzeba na niego uważać, jest wyjątkowo szybki i bardzo mądry, w sensie, że zawsze wie, co jest najbardziej niebezpieczne, i dokładnie to próbuje robić. Kiedy go pilnuję i nie pozwalam mu czegoś zrzucić albo wyjąć albo dokądś iść, straszliwie ryczy. Nie lubi mnie. Ja jego nie wiem. Czasem bardzo fajnie się śmieje. Ale zwykle jest okropnie upierdliwy. Czasem tak głośno ryczy w nocy, że aż się budzę, a przecież nie śpimy nawet w jednym pokoju. Mimo to mama i Richard są zachwyceni wszystkim, co on robi. Nawet gdy je kaszkę i rozbabra ją wszędzie naokoło, chwalą go jak małego Einsteina.

Nawet nie wiem, kiedy przychodzi mi do głowy ten pomysł. Nic takiego się nie dzieje, nie mam przerąbane w szkole ani nic, w domu też nie, Richard nie prowadzi ze mną akurat poważnych rozmów, nic z tych rzeczy. Po prostu siedzimy na kanapie i oglądamy film, „Epokę lodowcową", strasznie się śmieję z tej wiewiórki, mama i Richard też siedzą, ale oboje czytają, a potem w pokoju obok budzi się Rysiu i zaczyna ryczeć, mama go przynosi, ale on ciągle beczy, chyba się nie wyspał, okropnie mi to przeszkadza, nie mogę spokojnie pooglądać filmu, w sumie nic takiego, ale nagle wpadam na tę myśl, co by było, gdybym mieszkał z tatą, a tutaj przyjeżdżał tylko na weekendy, mama by się cieszyła, że mnie widzi, poświęcałaby mi więcej czasu, a ja miałbym święty spokój u taty, grałbym sobie na kompie i nie przeszkadzałby mi żaden dzieciak. Zupełnie przestaję się skupiać na filmie, wyobrażam sobie, jak by się mieszkało u taty, i coraz bardziej napalam się na ten pomysł, nie widzę w nim ani jednego minusa. Decyduję więc, że w sobotę, jak pojadę do taty, powiem mu, zapytam, czy mogę z nim mieszkać, tak się cieszę z mojego superpomysłu, że nawet uśmiecham się do małego Rysia, a Rysiu bardzo szybko chwyta pilota i zrzuca go na podłogę, aż wylatują baterie.

W weekend u taty jest okropnie zimno, bo na dworze zaczął się mróz, niedługo będę mógł iść na łyżwy na staw przed blokiem. Chociaż kaloryfer jest odkręcony na maksa, a ja siedzę w bluzie i w grubych skarpetkach, to i tak, kiedy gram na kompie, ręce telepią mi się z zimna. Nic nie mówię tacie, bo jest w dziwnym humorze, pewnie ma dużo pracy, jak ma dużo pracy, jest strasznie nerwowy, lepiej więc nie mówić mu wtedy nic ważnego, trudno, zostawię to na przyszły weekend. Gdy wychodzimy z mieszkania, widzę, że tata zakręca kaloryfery we wszystkich pokojach, pytam więc, czy jedzie gdzieś w delegację, bo jeśli tak, to żeby coś mi przywiózł, a on, że tak, ale mówi to jakoś obco, jakby się wahał, jakby myślał o czymś innym, i dziwnie na mnie patrzy, wolę więc nie pytać, dokąd jedzie.

Myślę o tym
cały tydzień, układam w głowie,
co dokładnie mu powiem, ale potem w piątek wieczorem tata dzwoni, że nie mogę przyjechać w ten weekend, że zobaczymy się w środę po szkole, pójdziemy na obiad i do kina. Okej, myślę, to nic takiego, powiem mu w środę przy obiedzie. Ale nie wiem czemu, coraz bardziej się denerwuję. Spotykam się z tatą w centrum handlowym Nový Smichov, mogę wybrać, dokąd pójdziemy. Chcę iść na chińszczyznę, ostatnio mi zasmakowała, idziemy więc, zamawiam kurczaka w sosie słodko-kwaśnym z ryżem, tata też kurczaka, gongbao, siadamy przy stoliku i jemy, z tych nerwów nie mam za bardzo apetytu, widzę, że tata też mało je, a potem odkłada widelec i mówi, Adaś, muszę ci coś powiedzieć. Wtedy myślę sobie, że może tata wpadł na to samo co ja, że weźmie mnie do siebie, ale tata uśmiecha się uśmiechem w stylu „nie martw się, wszystko będzie dobrze", i mówi, chciałbym, żebyś poznał Zuzkę. Wstaje i macha do takiej jednej dziewczyny, a ona idzie w naszą stronę, i już widzę, że o niczym mu nie powiem, że nie będę mógł się do niego przeprowadzić, że on wcale nie przebywa w tym mieszkaniu, dlatego wyłącza kaloryfery i dlatego nie ma żadnych rzeczy, i dlatego zniknął mój atlas świata, bo zaniósł go tam, gdzie tak naprawdę mieszka, do tej Zuzki. Czyli wygląda na to, że jednak nigdy go nie dostanę. Ale nie szkodzi. Kupię sobie własny. Znajdę taki sam gdzieś w antykwariacie i sam sobie kupię. I nagle dociera do mnie, że w moim atlasie wszystko jest nie tak. Że będę musiał wszystko nanosić od nowa.

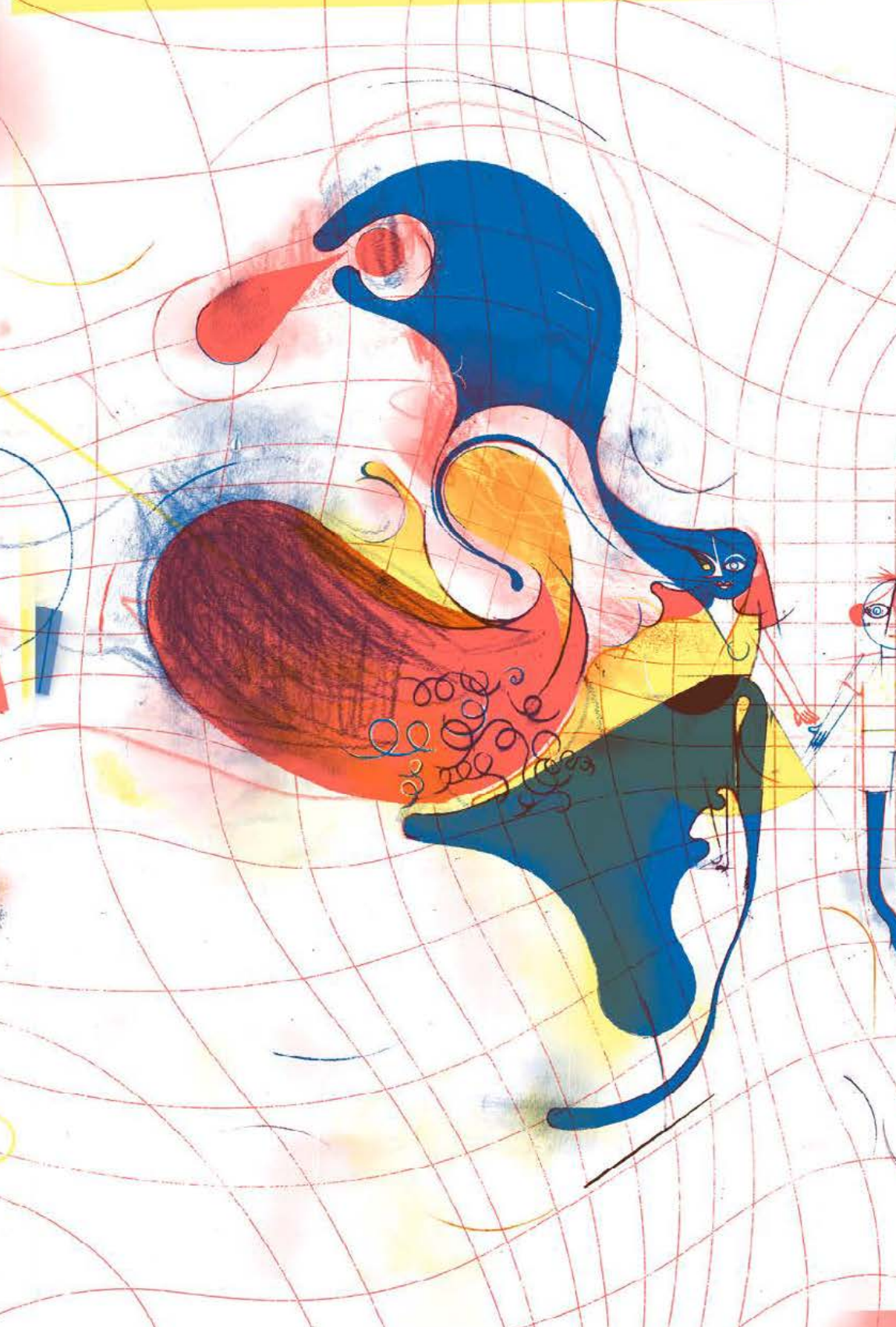

OPOWIADANIE
NR 3, LUTY 2016
ISSN 2299-4874

Redakcja:
Agnieszka Wolny-Hamkało
Korekta:
Agata Nocuń
Wydawca:
Towarzystwo Aktywnej Komunikacji
Projekt okładki:
Maciej Kodzis (Pillcrow)
i Grzegorz Owczarek (Pillcrow)
Ilustracja: Paweł Mildner

Wielkie podziękowania dla zespołu BWA Wrocław Galerie Sztuki Współczesnej za pomoc w realizacji zadania, szczególnie zaś dla dyrektora Marka Puchały, Magdaleny Sierżęgi-Dybek i Moniki Wyspiańskiej.

Copyright by the authors 2016
Copyright for this edition by Towarzystwo Aktywnej Komunikacji 2016

Publikacja powstała w ramach Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania oraz warsztatów Kopublikacja w galerii Dizajn BWA Wrocław.

BWA Wrocław

TOWARZYSTWO AKTYWNEJ KOMUNIKACJI

Publikacja w ramach Międzynarodowego Festiwalu Opowiadania, który dofinansowany jest ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz w ramach programu Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016 we współpracy z Biurem Festiwalowym Impart 2016.

Dofinansowane przez:

NARODOWY PROGRAM ROZWOJU CZYTELNICTWA

INSTYTUT KSIĄŻKI © POLAND

Współorganizator:

Pillcrow

Partnerzy:

UBS

STGU STOWARZYSZENIE TWÓRCÓW GRAFIKI UŻYTKOWEJ

WROCŁAW 2016 Europejska Stolica Kultury

EUROPEJSKA STOLICA KULTURY

SFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

WSPÓŁORGANIZATORZY
NFM
Impart

PARTNER STRATEGICZNY
KGHM

Udział wzięli:

LAYOUT

Tomasz Fabianowicz, Kinga Gazda, Marcin Homan, Anna Kaleta, Marta Kamieńska, Ada Krawczak, Martyna Leszek, Katarzyna Pisula, Alina Rybacka-Gruszczyńska, Joanna Smołońska, Ada Strzelczyk, Zuzanna Waligórska, Ola Wasilewska, Joanna Włoszczyńska, Ewelina Wojtyczka

Prowadzenie:
Zofia Oslislo

Tutorzy:
Dariusz Bieniek, Tomasz Bierkowski, Agata Korzeńska i Paweł Krzywda (Idee Studio), Marian Misiak

ILUSTRACJE

Sylwia Bartkowska, Marta Bilińska, Łukasz Drzycimski, Joanna Gębal, Łukasz Golędzinowski, Aleksandra Grzegorek, Nadia Linek, Sara Makuch, Martyna Marcinkowska, Joanna Okoniewska, Karolina Pospischil, Agnieszka Sierzputowska, Hanna Turzyńska, Joanna Wojniłko, Joanna Żamojta

Prowadzenie:
Paweł Mildner

Tutorzy: Sławek Czajkowski/ Zbiok, Wojtek Kołacz/Otecki, Ola Niepsuj

LITERNICTWO

Justyna Dybala, Zosia Frankowska, Joanna Gondek, Monika Kozub, Damian Langosz, Marta Olczak, Arkadiusz Radek, Sonia Ryszytyło, Marta Sieczkowska, Kaja Słojewska, Michał Sosiński, Ewelina Turkot

Prowadzenie:
Grzegorz Owczarek, Maciej Kodzis (pillcrow.com)

Tutorzy: Łukasz Dziedzic, Viktoriya Grabowska, Ewa Landowska

fot. Alicja Kielan

fot. Alicja Kielan

fot. Alicja Kielan

fot. Alicja Kielan

fot. Alicja Kielan

fot. Alicja Kielan

Na tej ostatniej prostej pracę organizuje Zofia, wszystko przebiega w gorączkowej, ale bardzo dobrej atmosferze. Warsztaty z projektowania przechodzą w pracę na ostrym dedlajnie. Przez chwilę nie działa sieć. Opiekunowie grup robią ostatnie korekty i motywują do pracy. Do ekipy powrócił Dariusz Bieniek i nadzoruje tu DTP. Trwają ostatnie ustalenia ze zleceniodawcą; Marcin Hamkało, dyrektor festiwalu, właśnie zaakceptował projekt okładki. Wszyscy teraz szlifują element, za który są odpowiedzialni. Redaktorka tomu, Agnieszka Wolny-Hamkało dopieszcza przedmowę. Rusza korekta. Pracujemy na żywo. Jutro wielki dzień – wszystkie elementy złożą się w całość i zostanie przedstawiona nam pierwsza wersja projektu. Za cztery dni idziemy do druku.

Katarzyna Roj
galeria Dizajn BWA Wrocław

W wierszu zdania są nagie i jakby bliższe skórze, ale mogą być całkiem abstrakcyjne. W powieści można zgubić się i odnaleźć, można przekłamać kompozycję, zburzyć proporcje i to ukryć. W opowiadaniu wszystko jest na zewnątrz, jest ono połączeniem precyzji wiersza i epickiego świata, jaki buduje powieść. Mówi się, że to najtrudniejsza formuła.

Agnieszka Wolny-Hamkało

Opowiadanie
nr 3, luty 2016

ISSN: 2299-4874